

Małgorzata Musierowicz

Frywolitki, czyli ostatnio przeczytałam książkę!!!

(Wybór z lat 2000–2004)

PIOTRUŚ

Zachorowałam na grypę, a ta się skomplikowała. Gorączka sięgnęła 40 stopni i mąż stracił zaufanie do moich metod samopomocy medycznej; udał się desperacko po ratunek do służby zdrowia. Prostoliniyjny jak zawsze, sprowadził — po raz pierwszy, odkąd płacimy na ZUS — rejonową lekarzkę pierwszego kontaktu. Tym samym musiał strzelić jakąś gafę, bo młoda pani doktor przybyła nadąsana. — No? — spytała groźnie, wchodząc do pokoju i obrzucając potępiającym wzrokiem bibliotekę, kwiaty i obrazy. — Co tu się dzieje?! — a kiedy wyjaśniłam, że nie mogę oddychać, młoda osoba nie powstrzymała już swego gniewu: — Oj, pani Musierowicz! Pani tu sobie żyje w swoim pogodnym, radosnym świecie, ale rzeczywistość jest całkiem inna niż w pani książkach! — wybuchnęła.

Mając zapalenie oskrzeli człowiek nie czuje się ani pogodnie, ani radośnie. Nie zdobyłam się jednak na żadną ripostę, bo mi się kręciło w głowie. A przecież riposty mam gotowe już od dawna, wszak parę razy w życiu tłumaczyłam rozmaitym cymbałom — przy okazji ich ideologicznych napaści — że beletrystyka, zwłaszcza przeznaczona dla młodych czytelników i dzieci, rządzi się innymi prawami niż drapieżne dziennikarstwo i inne zgoła stawia sobie cele; nie musi ona obowiązkowo tropić dewiacji ani odzwierciedlać ciemnych stron rzeczywistości i ponurych zakamarków ludzkiej duszy. Może to dla niektórych nie do pojęcia, lecz w gruncie rzeczy beletrystyka może się zajmować, czym chce, wedle upodobań i woli autora! Najwyżej czytelnicy się od niej odwrócą.

Znudziło mi się już dawno powtarzanie rzeczy dla każdego oczywistych, toteż milczałam i tym razem, i nawet nie powiedziałam pani doktor, że jeśli tylko zapragnie przeczytać książkę o ponurej rzeczywistości, bez trudu znajdzie takie dzieło w księgarni, na kupie innych nikomu nie potrzebnych dzieł. Ostatecznie, mogłaby też pani doktor napisać sobie taką książkę sama! Doprawdy, nic łatwiejszego niż wylać na papier swoje frustracje: trzask, prask — i książka gotowa. Trudu i wysiłku wymaga dopiero przetworzenie rzeczywistości, wyniesienie jej na poziom umowności oraz nadanie jej dodatkowego znaczenia.

Ale nic nie powiedziałam, bo było mi gorąco oraz słabo. Biernie poddałam się badaniom, usiłując zrozumieć, jakie są przyczyny gniewu młodej lekarki. Kiedy, wciąż naburmuszona, zaczęła się zbierać do wyjścia, wyobraźnia podsunęła mi wyjaśnienie: poprzedni pacjent, którego odwiedziła, musiał pani doktor wspomnieć o pavulonie i okazać jawny brak zaufania, zwłaszcza jeśli — jak u mnie — nie umyła rąk przed badaniem. Ani — po.

Postanowiłam wypróbować na młodej lekarce działanie Eksperymentalnego Sygnału Dobra. — Bardzo dziękuję za wizytę, pani doktor — powiedziałam. — I proszę za bardzo się nie przejmować tą rzeczywistością. W gruncie rzeczy ludność lubi lekarzy i szanuje ich pracę.

Bingo!!! — pani doktor raptownie odtajała, a na jej zacięte oblicze wypłynął całkiem miły uśmiech. — No już dobrze, dobrze — rzekła wybacząco i poszła sobie.

Padłam na poduszki i oddałam się rozmyślaniom, o których śmiało mogę powiedzieć, że były gorączkowe. Czy twórcy, ukazujący publiczności jasne strony życia, zasługują na stuprocentowe potępienie, czy też znajdują się dla nich jakieś okoliczności łagodzące? — zadawałam sobie pytania, łykając przepisany mi przez młodą lekarzkę antybiotyk (który, notabene, spowodował wystąpienie tak zwanych skutków ubocznych, co przedłużyło potem mój pobyt w łóżku o dwa tygodnie). Przypominałam też sobie „Amelię”, film pełen humoru i wdzięku, zrobiony z radością i talentem, a ukazujący dobitnie, że poezja sadowi się w rzeczywistości brzydkiej i trywialnej równie pewnie, jak pośród idyllicznych krajobrazów, i że potrafi żyć pośród ludzi śmiesznych, żalonych i

nieszczęśliwych całkiem tak samo, jak pomiędzy herosami poematów. Lecz i znakomita „Amelia”, za którą publiczność przepada, spotkała się z wrogością pewnego typu krytyków (o czym z przykrością przeczytałam w „Forum”). Zarzucali oni filmowi, że ukazuje pogodny, radosny świat, podczas gdy rzeczywistość jest zupełnie inna.

Kiedy tak rozmyślałam, w odpowiedzi nastąpiło wydarzenie zachwycające, iskrzące się cudownością i podnoszące na duchu. Do pokoju wpadła rozpromieniona postać, wołając: — Mamo, zgadnij, od kogo dostałaś list!!! — i podała mi wytworną, podłużną kopertę z kremowego papieru.

Nadawcą był Jeremi Przybora!

A list był prześliczny.

Powietrze w centrum grypowym zrobiło się złociste i orzeźwiające, jakby przez otwarte okno wleciała tu wróżka, siejąca iskierki. Z radości podskoczyłam na łóżku i straciłam kilka stopni gorączki. Muszę wyjaśnić, że od lat pięćdziesiątych, kiedy to w radio nadawano „Teatryk Eterek”, Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski są stale obecni w życiu naszej rodziny. Słuchamy, czytamy i oglądamy wszystko, co tylko stworzyli. Mówimy cytatami z „Eterka” („Słysząc, jak przepelnia się jakiś kielich”) i z „Kabaretu Starszych Panów” (np. „Deptanie dla tych stworzeń to pasmo upokorzeń”), a nasi przyjaciele porozumiewają się z nami w ten sam sposób. Nucimy i gwizdźmy śliczne melodyjki, kolekcjonujemy płyty Starszych Panów, taśmy i książki. Lecz przede wszystkim — zanurzamy się bez umiaru w pogodny, radosny świat wyobraźni pana Przybory, ciesząc się bogactwem jego słowa, subtelnym poczuciem humoru, wdziękiem, dystansem oraz elegancją i przekonując się, że poezja przebywa w kabaretowych piosenkach równie chętnie, jak w wierszach Miłosa, gdyż dla niej nie ma znaczenia, w jakim odnajdzie się gatunku. Gatunki jej nie interesują, ona chce określonych warunków. Potrzebuje też ludzi, którzy jej potrzebują. I oczywiście — kogoś, kto będzie jej przekąźnikiem.

Przekąźnik, występujący pod nazwą „Jeremi Przybora”, należy do najdoskonalszych: czego tknie, nasyca poezją.

Szczególnie ciekawe zaś wydaje się jego najnowsze dzieło, adaptacja „Piotrusia Pana”, arcydzieła literatury dla dzieci, którego autorem jest brytyjski odpowiednik (teraz to zauważyłam) Jeremiego Przybory, sir James Matthew Barrie (1860–1937), baronet, rektor uniwersytetu w Edynburgu, autor powieści, satyr i komedii, człowiek obdarzony znakomitym poczuciem humoru i czułą wrażliwością, dżentelmen, słowem — poeta. Ktoś może tu się obruszyć i oświadczyć, że poeta to nie żaden dżentelmen, tylko osobnik, który bije żonę krzesłem, używa mnóstwo alkoholu i z błazeńsko wykrzywionym, pogardliwym obliczem przesiaduje po knajpach, gdzie w bólach rodzi pełne goryczy, buntu i bezsensu nieudolne linijki, przesycone poczuciem wyższości. Ale ja nie muszę się zgodzić z taką definicją.

Książkowe wydanie libretta, wraz z płytą CD zawierającą gotowe już nagrania piosenek z musicalu „Piotruś Pan”, odnalazłam w załączonej do listu paczusce. Mam do powiedzenia sporo krytycznych słów na temat pana Janusza Stokłosa w roli wydawcy (dopuścił on do tego, że rzecz najcenniejszą, mianowicie tekst pióra Jeremiego Przybory, wydrukowano w tej oblanej lakierem i złotem książce na ciemnych aplach, różnorodnymi czcionkami rozsypanymi niby to malowniczo, zupełnie nieczytelnymi w towarzystwie zniechęcających ilustracji. Oby nie zaszkodziło to sprzedaży! Lecz oddać panu Stokłosi należy jedno: wiedział, do kogo się zwrócić po adaptację.

Ta adaptacja jest bowiem wzorowa! — nie gubiąc w koniecznych skrótach ani odrobiny czaru, prawdy i atmosfery oraz przesłania pięknej książki Barriego, Jeremi Przybora stworzył dzieło sceniczne całkowicie własne; dodał wiele uroczych tekstów piosenek, bawiąc się pysznie słowami, syjąc błyskotliwymi pomysłami jak z rękawa, rozśmieszając i wzruszając do łez (na przykład piosenką „Ogarnie nas przypyw”, która w swej czystości i łagodnie uśmiechniętym smutku

sprawia olbrzymie wrażenie).

Chociaż znam powieść na pamięć, musiałam chwilami po nią sięgać, by się upewnić, że poszczególne znakomite pomysły są dziełem adaptatora, nie autora — tak doskonale zostały wpasowane w styl Barriego, zachowując zarazem wszystkie zalety stylu Przybory. Jestem pełna podziwu dla tej misternej, znakomitej roboty, dla precyzji, fantazji i dla potęgi talentu pana Jeremiego. Nie muszę dodawać, że wszyscy chodzimy już po domu, recytując na wyścigi: „*Przed Piotrusiem okno zamknę, gdyby lotruś wrócił z nimi*”, lub: „*Wielki Wódz plemienia Pikaniny, Olbrzymia Panter Mniejszy pozdrawiać wielki mały blada twarzyczka Piotruś Pan*”, albo delektujemy się pieśnią kapitana Haka:

*Ach, synem byłem ja rodu
wysokiej rangi i sfery.
Łączyłem z wdziękiem urodę,
nieskazitelne maniery.
Wytwornych strojów gamą
pieściłem oczy dam.
A dziś na czele chamów
być dżentelmenem mam!
Choć ze mną ta halastra
na każdy stanie zew,
to straszne — żyć wśród chamstwa!
To straszne — być wśród chamstwa
nie znosząc go, psiakrew!*

Lub wreszcie: „*Piotrusiu Panie, twoja twarz I jest przecież twarzą dziecka. / Kim jesteś, że w spojrzeniu masz / moc, co jest czarodziejska?*”.

Właśnie, kiedy wypowie się te ostatnie słowa, można w pełni zrozumieć tajemnicę Jamesa Matthew Barriego i Jeremiego Przybory. Ich tajemnica jest wspólna: każdy z nich to Piotruś Pan we własnej osobie.

POCIECHA

Melduję się po przerwie, bo znów mi odebrało mowę oraz chęć wypowiedziania się na piśmie. Potrzeba mi zwykle czasu, żeby wyjść z przygnębienia, wywołanego horrendalnymi wypadkami. A tych mamy obfitość: w życiu politycznym skandale, którymi można by się tak mocno nie przejmować, gdyby nie to, że wstyd jest wspólny i wspólny jest los. Czas pomaga na przygnębienie o tyle, że można się zdobyć na jakąś refleksję, w czym wspierają człowieka ulubione lektury. Na przykład „Opis obyczajów za panowania Augusta III” Jędrzeja Kitowicza, gdzie, otwarłszy przypadkowo tom na stronie 308, wyczytałam co następuje:

„A gdy takim sposobem nie było żadnego pożytku z sejmów, przyszły też nareszcie do takiej pogardy, że arbitrowie, siedzący wysoko na ławkach, ciskali jabłkami i gruszkami twardymi na posłów perorujących, osobliwie, gdy który prawił co lada jako. Trafiony w łeb, a jeszcze według mody panującej natenczas wygolony jak kolano, poseł wołał na marszałka: »Protestor, mci panie marszałku, o zniewagę charakterowi memu poselskiemu przez arbitra uczynioną» — pokazując takowej zniewagi jawny i oczywisty dowód, świeży guz na czele lub pod okiem siniec. (...) Arbitrowie, prócz ciskania na posłów, jeszcze innym sposobem przerywali posłom mowy, kiedy spychając jeden drugiego z ławy, a spadający chwytając siedzących, razem kilku na ziemię spadło, z czego śmiech powszechny przerywał obrady. Taka była płochosć w izbie poselskiej. (...) Druga nieprzyzwoitość była między posłami — piwo butelkowe, wówczas będące w guście, musujące tak jak angielskie (...). Posłowie po dobrych śniadaniach naturalnie cierpieli pragnienie; nie chcąc wychodzić z koła dla tłoku zawsze panującego, kazali sobie przynieść owego piwa; to w ręku niesprawnego służalca albo też filuta otworzone, z butelki musując gdyby z sikawki po głowach i sukniach jakiego takiego, poruszyło bliskich do ucieczki, a stąd do zamieszania i śmiechu całej izby”.

W przypisach — arcyciekawych, jak to przypisy — zamieszczono małe à propos: fragment dziennika sejmku ordynaryjnego grodzieńskiego z roku 1752. *„Na sesji w dniu 5 listopada wystąpił z oskarżeniem Wilczewski, podkomorzyc wiski; wyznał zatem, jakowe są postronnych nacji około zepsucia obrad naszych starania; wyznał sam z siebie: jako był tentowany, a nie chcąc być Judaszem i tra dere patria m (zdradzić ojczyzny), dobył publice pieniędzy 350 dukatów, i n vim (jako środek) zerwania sejmku sobie danych, i one z indygnacją rzucił na środek izby poselskiej (...). Przystąpił potem imć pan Wilczewski do denominacji apretiatorum (wylczenia opłaconych) i najprzód czytał z rejestru imć pana Kietlińskiego — sandomirskiego, imć pana Grodzickiego — kaliskiego, imć pana Rogalińskiego — poznańskiego, Gurowskiego — podolskiego, Hurka — witebskiego, Wolbeka — mozyrskiego i Jeżewskiego — płockiego, posłów. Wprawdzie po kilku dniach (14 listopada) Wilczewski odwołał oskarżenie, ale skutecznie zatamował czynności sejmku, który miał uchwalić aukcję wojska”.*

Interesujące, że zachowania proste i naturalne u człowieka, obdarzonego przez naród godnością posła, takie jak powaga, uczciwość, spokój i odpowiedzialność za rozstrzyganie spraw państwowych, nie były w owych czasach w modzie. Dziś sytuacja jest jakże inna!

— nikt nie rzuca jabłkami, ani tym bardziej twardą gruszką, zaś piwa wnosić na salę sejmową nie wolno.

Tak się pocieszywszy, odkładałam na chwilę książkę i patrzę w okno. Ależ to istny huragan! Natura nie ustaje w ślaniu nam wciąż nowych sygnałów ostrzegawczych. Tylko że mało kto bierze ją na serio. „Dziwne znaki na niebie i ziemi”, które budziły lęk w naszych antenatach i zmuszały ich do zastanowienia nad przyczynami ewentualnej kary Bożej, zracjonalizowano dziś i oswojono.

Niesłusznie. Zracjonalizowane czy nie, odruchy obronne przyrody nie przestają być groźne. A co do kary Bożej, wciąż nic nie wiadomo na pewno.

Na razie natura wciąż funkcjonuje. I to jest prawdziwa pociecha. Wiosna na pewno przyjdzie za dwa miesiące; na forsycjach już nabrzmiewają pączki, a z ziemi wyłazą czubki niecierpliwych krokusów. Róże wyglądają jak martwe badyle, ale ja wiem, że krążą w nich soki i czai się tajemnicza energia, która w czerwcu każe im wybuchnąć lawiną misternych kwiatów w najpiękniejszych kolorach. Wciąż jeszcze wszystko jest tak, jak być powinno. „Słońce wschodzi, głaszcze powietrze. Dziecko się rodzi. Szumi deszcz” — pisał w roku 1948 Konstanty Ildefons Gałczyński, którego słowa dedykuję Noemi i Tomkowi, przyszłym rodzicom. „Ptak ptaka strofuje w gnieździe. Gwiazda dzień dobry mówi gwieździe. Dziecko się rodzi. Nasze dziecko się rodzi. Nadzieja.”

MOWA DŹWIĘKÓW

Kupiłam sobie cudowną książkę i nie mogę się nią nacieszyć! — nie wiem tylko, jak mogłam w roku 1995 przegapić jej ukazanie się — zapewne stało się tak dlatego, że „Muzyka mową dźwięków” wydana została, w małym z pewnością nakładzie, przez Fundację „Ruch Muzyczny”. Znalazłam ją dopiero w znakomitej księgarni „Kapitałka”, której obsługa zawsze niezwykle umiejętnie eksponuje najbardziej wartościowe tytuły (dziękuję za ten!). Autorem książki jest jeden z niewielu prawdziwych Mistrzów naszych czasów — Nicolaus Harnoncourt, austriacki wiolonczelista i dyrygent, profesor Mozarteum w Salzburgu, założyciel Concentus Musicus Wien. Na odwrocie okładki — cytat, który uderza swoją trafnością: *„Brahms powiedział kiedyś, że aby zostać dobrym muzykiem, trzeba poświęcić równie dużo czasu na czytanie, co na ćwiczenie na fortepianie. Tu właśnie tkwi istota sprawy także i dziś”*. Zapewne twierdzenie to można odwrócić i zastosować wobec tych, którzy piszą. Powinni poświęcić równie wiele czasu muzyce, co książkom — pomyślałam, a uniósłszy okładkę mojego nabytku, przeczytałam pierwszy akapit:

„Od średniowiecza aż do czasów rewolucji francuskiej muzyka była jednym z głównych filarów naszej kultury i naszego życia. Jej znajomość była częścią wykształcenia ogólnego. Dzisiaj muzyka stała się jedynie ornamentem, pozwalającym zappełnić puste wieczory. (...) Stąd bierze się ów paradoks, że wokół rozbrzmiewa znacznie więcej muzyki niż niegdyś (otacza nas prawie bez przerwy), ale nie ma ona dla naszego życia żadnego znaczenia. (...) Dziś cenimy zupełnie inne wartości niż te, które cenili ludzie minionych stuleci. Ile siły, cierpienia, miłości kosztowało budowanie katedr i świątyń, jak niewiele uwagi poświęcano urządzeniom, mającym służyć jedynie wygodniejszemu życiu. Człowiek współczesny przywiązuje większą wartość do samochodu czy samolotu niż do jakichś tam skrzypiec, większe znaczenie do schematu urządzenia elektronicznego niż do symfonii. Cena, jaką płacimy za to, co uważamy za wygodne i niezbędne, jest jednak zbyt wysoka: bez zastanowienia pozbawiamy życie intensywności w zamian za powaby komfortu — lecz, gdy raz coś się utraci, już się tego nie s odzyska”.

Dalej pisze Harnoncourt o gruntownej zmianie roli muzyki, jaka dokonała się w ciągu ostatnich dwóch wieków. Dawniej muzyka była mową, w której wyrażało się to, co niewysłowione. Mogła być rozumiana tylko przez współczesnych, a więc musiała być tworzona wciąż na nowo, odpowiadając na nowe potrzeby duchowe. (Muzyki dawniejszych epok słuchano wówczas tylko przy wyjątkowych okazjach!) Wszystko się zmieniło, gdy muzyka przestała zajmować centralne miejsce w życiu człowieka — jej funkcja miłej ozdoby wyklucza przecież funkcję zwierciadła, nie oczekujemy więc, by muzyka niepokoiła nas lub przerażała. Skoro jednak jesteśmy sami dla siebie straszni, a świat nasz jest w najwyższym stopniu niepokojący — zwróciliśmy się do muzyki dawnej, w niej odnajdując upragnione piękno i harmonię. Odbyło się to jednak z wielką dla tej muzyki szkodą, gdyż nie umiemy, czy też może nie chcemy, pojmować jej jako całości. *„Wciąż jeszcze wierzymy w siłę i władzę muzyki, ale jednocześnie musimy stwierdzić, że została ona zepchnięta z pozycji centralnej na margines — dawniej wzruszała, dziś tylko się podoba. (...) Im bardziej będziemy się starać, by zrozumieć i opanować jej język, tym wyraźniej okaże się, jak bardzo wykracza ona poza samo piękno, jak bardzo nas porusza i porywa bogactwem swej mowy. W efekcie (...) powrócimy też do muzyki współczesnej, przemawiającej naszym językiem, należącej do naszej kultury i stanowiącej jej kontynuację. Czyż nie jest tak, że wielu czynnikom, które sprawiają, że nasza epoka jest tak przerażająca i pełna sprzeczności, zależy na tym, aby sztuka nie oddziaływała już na nasze życie? Czyż zawstydzająco pozbawieni wyobraźni nie wyeliminowaliśmy już z naszego języka tego, co »niewysłowione«,?»*

To tylko pierwszy tekst z dwudziestu ośmiu poświęconych sprawom różnorodnym, a pasjonującym: rozumieniu muzyki, problemom notacji i artykulacji, tempa, systemów dźwiękowych i intonacji, dawnym instrumentom, powstaniu i rozwojowi mowy dźwięków, wreszcie — odczytywaniu autografów partytur. („Nic nie zastąpi rękopisu kompozytora — twierdzi Harnoncourt — ze względu na sugestię, jaka zeń emanuje — i z powodu licznych, konkretnych informacji, czerpanych z najpewniejszego źródła”) Nie są to bynajmniej teksty hermetyczne, zrozumiałe tylko dla fachowców — przeciwnie, pisane są językiem klarownym, prostym i zrozumiałym, zaś żar, pasja, miłość do muzyki, jaką żywi Autor, natychmiast udziela się czytelnikowi, porywa go i fascynuje, nawet jeśli jest on zaledwie chętnym amatorem. Jak przystało na prawdziwego Mistrza, Harnoncourt nie rozpatruje zresztą muzyki jako całkowicie odrębnego zjawiska, lecz z ogromną kulturą, wiedzą i przenikliwością tropi jej związki z innymi obszarami naszej egzystencji. Im głębiej czytelnik wchodzi w tę książkę, tym silniej przemawia do niego niezwykła osobowość Autora, jego godna podziwu drobiazgową wiedzę zastosowaną do życiowej pasji, odkrywczosć jego spojrzenia, świeżość i odwaga diagnoz, a także budzące wdzięczność jego poczucie odpowiedzialności za jakość świata, w którym żyje.

Niezwykle krytyczne jest spojrzenie Harnoncourta na ten nasz świat, zubożony i okaleczony w tak wielu dziedzinach, lecz może najbardziej — w kwestii rozumienia muzyki. Zdaniem Autora, dzisiejszy słuchacz nie uświadamia sobie nawet, jaką mu wyrządzono krzywdę, nie wie, że jest ofiarą infantyilizacji, będącej konsekwencją metody wprowadzonej przez rewolucję francuską. W metodzie tej chodziło o podporządkowanie muzyki ogólnej koncepcji politycznej — muzyka miała być dla każdego.

Muzyka czasów wcześniejszych zwracała się przede wszystkim do słuchaczy, znających język muzyczny. „Kiedy jednak tę istotną część wychowania, jaką jest wykształcenie muzyczne, odrzucono — pisze Harnoncourt — elitarna wspólnota muzyków i wykształconych słuchaczy przestała istnieć. Skoro zaś słuchacz nie musiał już muzyki rozumieć, eliminowano z niej wszystko, co było językiem wymagającym rozumienia; oczekiwano po kompozytorach, że będą tworzyć muzykę, zwracającą się w najprostszy sposób do uczuć. Ujmując rzecz technicznie — tłumaczy Autor — chodziło o to, by odmalowywać uczucia, zamiast o nich opowiadać”.

W fascynującym szkicu „Rozważania muzyka orkiestrowego na temat listu W. A. Mozarta” pisze Harnoncourt: kompozytorzy epok minionych mogli liczyć na audytorium uważne i znające się na rzeczy, które spostrzegało każdy nowy pomysł, każdy efekt instrumentacyjny, każdą osobliwość harmoniczną i melodyczną, i z zapałem opowiadało się za lub przeciw. Publiczność dzisiejsza skupia swe zainteresowanie nie na kompozycji, lecz na jej wykonaniu, które ocenia — trzeba to przyznać — ze znajomością rzeczy”.

Uderzająco trafne! Konsumujemy muzykę, oceniając jakość przekazu. Istota sprawy nam umyka. Jak zresztą we wszystkim.

Sprawozdanie Mozarta, w liście do ojca, z wykonania Symfonii Paryskiej daje Autorowi impuls do rozważań na temat reakcji publiczności ówczesnej i dzisiejszej: „*Mozart nie czuł się urażony w najmniejszym stopniu tym, że publiczność klaszcze w trakcie utworu czy pomiędzy częściami symfonii. Przeciwnie, przewidywał nawet takie reakcje. Te wyrazy uznania były dla niego świadectwem, że go rozumiano. Po reakcji publiczności widać, jak głęboko zmienił się sposób muzykowania i słuchania muzyki. Dawniej słuchacze chcieli, aby ich nieustannie zaskakiwano dotychczas nie słyszanyymi nowościami. Chętnie też dawali się sprowokować do wybuchów entuzjazmu, gdy jakiemś genialnemu kompozytorowi udało się wymyślić coś efektownego. To, co znane, nikogo nie interesowało; chciano nowości i tylko nowości. Dziś natomiast publiczność interesuje się właściwie tylko tym, co znane, aż nazbyt dobrze znane”.*

Czy to nie jest obraz upadku?

Mistrzostwo techniczne samo dla siebie nie wystarcza. Sądzę, że dopiero, gdy uda nam się ponownie nauczyć muzyków (...) języków właściwych różnym stylom muzycznym i równocześnie wykształcić słuchaczy tak, aby rozumieli te języki, wówczas któregoś dnia ta oghupiająca, ascetyzująca praktyka muzyczna przestanie być akceptowana, podobnie jak i owa monotonia programów, a w konsekwencji zniknie podział na muzykę rozrywkową i »poważną« oraz rozdźwięk między muzyką i jej epoką. Życie kulturalne znowu odzyska swoją jednolitość. To, co udało się osiągnąć rewolucji francuskiej — radykalna przebudowa życia muzycznego — powinno być osiągalne także w dzisiejszych czasach, pod warunkiem, że będziemy przekonani o konieczności tej przebudowy”.

Czytam to wszystko i dławi mnie wstyd. W naszym bowiem kraju życie kulturalne z wolna przestaje istnieć. Życie muzyczne — chyba dogorywa. A w dodatku, w ramach długo oczekiwanej reformy oświaty właśnie w III RP zlikwidowano w szkołach podstawowych tzw. wychowanie muzyczne i tzw. wychowanie plastyczne i zastąpiono je jednym zgrupowanym przedmiotem pod tytułem „sztuka”. Absolwenci ASP będą teraz uczyć plastyki i muzyki, zaś absolwenci Akademii Muzycznej — muzyki i plastyki. Lecz żeby uczyć przedmiotu „sztuka”, nie wystarczy posiadać dyplom ASP lub AM. Trzeba ukończyć (płatny) kurs dokształcający. I tak — absolwenci ASP kończą kursy na ASP, a absolwenci AM — na AM. Po takim podwyższeniu kwalifikacji plastyk będzie mógł już nauczać przedmiotu „sztuka” i muzyk też. Jak to będzie robił — dokładnie nie wiadomo, ale to nic nie szkodzi. I tak nie ma jasności, po co jest owa reforma. Bo na pewno nie po to, żeby wychować ludzi wszechstronnie wykształconych, zdrowych psychicznie, pogodnych i kulturalnych.

Tak więc, jeśli po lekturze książki Nicolausa Harnoncourta możemy użyć słowa „upadek” w odniesieniu do wykształcenia muzycznego i potrzeb muzycznych publiczności w krajach Europy Zachodniej, to w odniesieniu do naszej ojczyzny użyć go nie możemy. Upaść bowiem można jedynie z pewnego poziomu. A my jesteśmy poniżej.

POCZĄTEK DROGI

Bardzo dziękuję pani Annie Węgleńskiej, tłumaczce biografii Astrid Lindgren (Nasza Księgarnia, 2000), za przysłanie mi tej pięknej i pozywającej książki. Jako wierna czytelniczka i wielbicielka utworów szwedzkiej pisarki rzuciłam się na tę przesyłkę natychmiast i przeczytałam jednym tchem, z podziwem i wzruszeniem.

Autorką biografii jest Margareta Strömstadt. W przedmowie wyjaśnia, dlaczego po 20 latach ukazuje się drugie wydanie jej książki. Zdarzyło się mianowicie tak wiele (na przykład siedemdziesięcioletnia staruszka stała się nagle niekwestionowanym autorytetem w takich sprawach jak budowa elektrowni atomowej albo zmiana przepisów o ochronie zwierząt, a przy okazji stworzyła najwspanialszą swoją, obok „Braci Lwie Serce”, powieść — „Ronję, córkę zbójnika”) — że trzeba było napisać drugą, rozszerzoną wersję opowieści o życiu i twórczości Astrid Lindgren. *„Im bliżej ją obserwuję, tym bardziej zadziwia mnie głębia jej osobowości i bogactwo człowieczeństwa. Czuję, jak ogarnia mnie coraz większa miłość do niej. Niech bogowie biografów mają mnie w swojej opiece”* — pisze Margareta Strömstadt.

Książka jest fascynująca. Po raz pierwszy przedstawia tak pełny i bogaty portret jednej z największych pisarek naszych czasów — kto wie, czy nie największej. Jej książki, pisze Per Svensson, są *„swego rodzaju oazą ze słów”*, nieśmiertelne dlatego, że niosą ludziom pociechę. Lecz ten sam Per Svensson nazywa Astrid Lindgren „Dostojewskim z Bullerbyn”, który stawia czytelnikom żądania egzystencjalne, moralne, polityczne. *„To właśnie dlatego jej powieści w ogóle się nie starzeją. Raz po raz przed czytelnikiem pojawia się pytanie, które jest jednocześnie ponadczasowe i po dziś dzień aktualne: jak żyć w świecie, w którym istnieje zło”?*

Sama Astrid udziela na to pytanie odpowiedzi każdą linijką twórczości i każdym dniem swego długiego życia. W roku 1948, na przykład, jako felietonistka czasopisma „Świat Kobiet” znalazła się w Ameryce. Zawieziono ją do Wirginii, gdzie doznała szoku na widok warunków, w jakich wówczas żyła ludność murzyńska. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej. W Nowym Orleanie zagadała do czarnoskórej sprzątaczkii hotelowej. Rosie, z początku nieufna, oczywiście odtajała — Astrid nikt nie mógł się oprzeć. Kiedy pisarka opowiedziała Rosie o swoich dzieciach i pokazała fotografię, ta zrewanżowała się tym samym. Wtedy Astrid spytała, czy mogłaby odwiedzić dom Rosie i poznać jej rodzinę. Żaden biały człowiek nie udałby się z własnej woli do murzyńskiego getta. To mogło być niebezpieczne. Ale siła perswazyjna Astrid Lindgren jest olbrzymia (sam Gorbaczow musiał z nią korespondować w sprawie chłopczyka, który bał się wybuchu wojny atomowej) — Rosie dała się przekonać. Ustaliła termin odwiedzin. *„— Pogardliwy kierowca taksówki odmówił zawiezienia Astrid na miejsce, ale odwiózł ją na komendę policji, gdzie policjanci równie wzgardliwie ją odprawili. A potem poruszenie w getcie, gdy wreszcie szczęśliwie tam dotarła, zaciekawione spojrzenia, nieufność, radość i duma Rosie ze swych dzieci, a naokoło straszliwa bieda, brud, zaduch”. Droga powrotna do hotelu trwała bardzo długo. Astrid opisała to potem w pamiętniku: „Szłam najniebezpieczniejszą dzielnicą murzyńską, aż mi się zrobiły pęcherze na stopach. Sprawiało to ból. Ale większy ból czułam w sercu. I w jakimś stopniu wydawało mi się sprawiedliwe, że przynajmniej trochę cierpiałam wskutek pęcherzy. Szłam i szłam, cały czas ciskając przez zęby stłumione przekleństwa. Przekleństwa na moją własną rasę. W końcu złapałam taksówkę. Kierowca powiedział, że dobry Murzyn to Murzyn pięć stóp pod ziemią. Wtedy wysiadłam z samochodu i pokuśtykałam do hotelu. Tam zdjęłam buty i dmuchałam na pęcherze. Była to jedyna miła chwila tego dnia”.*

Rok wcześniej, pisze Margareta Strömstadt, znana dziennikarka największego szwedzkiego

dziennika „Dages Nyheter”, Eva von Zweiberg, także odbyła podróż do USA. Plonem jej podróży stała się książka „Jak było w Ameryce”, we wstępie do której dziennikarka zadeklarowała, iż celowo unikała w Ameryce gwiazd filmowych i Murzynów — te pierwsze jej nie interesują, od tych drugich stroniła dlatego, że problem ich jest zbyt wielki i trudny dla kogoś, kto przyjechał do Ameryki po raz pierwszy. Napisała więc dwustustronicową książkę o wszystkim — poza rasizmem.

Dwie Szwedki w tym samym niemal czasie odwiedziły Amerykę — konkluduje Margareta Strömstadt — i przyjęły dwie różne postawy. Jedna zademonstrowała dystans wobec trudnych problemów. Druga poszła bez wahania w sam środek tego, co najtrudniejsze.

Po prostu inaczej nie umiała. Kierowała się sercem i poczuciem sprawiedliwości.

Są to, moim zdaniem, dwa główne motory jej życia.

Trzecim jest poczucie piękna.

Kolejnym — poczucie humoru.

A wreszcie: „*Myślę, że najsilniejszym moim instynktem jest instynkt opiekuńczy*” — powiedziała kiedyś sama o sobie.

Dzieci były i są dla niej zawsze najważniejsze. Bez reszty angażowała się w walkę o ich prawa, protestując głośno przeciwko wychowywaniu przez przemoc i kary cielesne.

W przemówieniu, które wstrząsnęło niemiecką opinią publiczną w roku 1987, wygłoszonym z okazji przyznania jej prestiżowej nagrody Niemieckiego Związku Księgarzy we Frankfurcie, a którego nieomal nie pozwolono jej wygłosić (co za pyszna historia!), Astrid Lindgren powiedziała m.in.:

„A może po całych tysiącletniach nieustannych wojen powinniśmy zadać sobie pytanie, czy przypadkiem nie ma jakiegoś błędu konstrukcyjnego w ludzkiej naturze, ponieważ zawsze sięgamy po przemoc? Czy jesteśmy skazani na to, by ginąć wskutek naszej własnej agresji? Wszyscy chcemy pokoju. Czy zatem nie ma żadnej możliwości, byśmy się zmienili, zanim będzie za późno? Żebyśmy nauczyli się potępiać przemoc. Spróbowali po prostu stać się nowym gatunkiem ludzi. Ale jak to zrobić, od czego zacząć?

Myślę, że powinniśmy zacząć od podstaw. Od dzieci. (...) O tym, czy dziecko będzie serdecznym, otwartym, ufnym człowiekiem umiejącym współżyć z innymi, czy też zimną, samotną, destrukcyjną istotą — decydują ci, którzy przyjmują dziecko do świata i uczą, co to jest miłość, albo nawet nie starają się pokazać, czym jest miłość... (...) Dyktatorzy, tyrani, ciemięży'ciele, prześladowcy: należałoby zbadać, jakie było ich dzieciństwo. Jestem pewna, że w tle wielu z nich stoi ojciec tyran albo inny wychowawca z rózgą w ręce”.

Jej mowa została wydana drukiem, w masowym nakładzie. Jak twierdzi autorka biografii, wyrażone przed niemiecką publicznością stanowisko Astrid Lindgren, jej odwaga cywilna, z pewnością wywarły wpływ na zmianę tradycyjnego, autorytarnego modelu wychowania w Niemczech.

Cóż... my tu, w Polsce w roku 2001, moglibyśmy tylko marzyć o wydaniu tej mowy w nakładzie masowym. Nie mając jednak czegoś takiego jak opinia publiczna, interesująca się problemem wychowania dzieci i zresztą czymkolwiek, co dzieci dotyczy, nie oddajemy się złudzeniom, że możemy liczyć na sukcesy w dziedzinie ochrony praw dziecka.

Ciekawe, co by nam powiedziała Astrid Lindgren. Może walnęłaby nam, tak jak Niemcom, prosto w oczy, twarde słowa prawdy: „*To tak, jakby próbować przegnać diabła przy pomocy Belzebuba; na dłuższą metę prowadzi to tylko do większej przemocy i głębszej, straszniejszej przepaści między pokoleniami. Ta wyteśkniona »twarda ręka« może nawet przynieść pozorny efekt, który rzecznicy tej metody nazwą poprawą. Aż do chwili, gdy zostaną zmuszeni zauważyć, że przemoc rodzi przemoc — jak zawsze”.*

Autorka najpiękniejszych i najmądrzejszych książek dla dzieci, jakie powstały w XX wieku, siłą swoją — jak wynika z biografii pióra Margarety Strömstedt — czerpie niewątpliwie ze szczęśliwego dzieciństwa. W starym czerwonym domu w Smalandii, w Nas, gdzie pod opieką kochających się rodziców wznastało czworo kochających się i kochanych dzieci, wszystko dziś wygląda tak samo, jak w roku 1907, gdy urodziła się Astrid Ericsson. *„Bogobojny to dom. W pokoju paradnym wyłożona jest Biblia. Na pokojowych organach leżą nuty zarówno do Księgi Psalmów, jak i kolęd. Na ścianie błyszczą słowa »Bóg jest miłością«, wyszyte srebrną nicią na czarnym aksamicie”.*

Miłość na początku drogi.

A parę lat temu sędziwa pisarka opowiedziała Margarecie — biografce i przyjaciółce — swój sen:

„Śniło mi się że mam spotkać Najwyższego Szefa na jakimś pochodzie. Stawiły się bardzo silne oddziały i było bardzo uroczyście, ale gdy nadszedł, okazał się taki mały, taki mały jak dziecko. Musiałam go nieść na rękę przez cały Sztokholm”.

DZWON

Niewiele brakowało, a byłabym przegapiła spotkanie ze starym znajomym. Przyczyną było to samo, co zawsze w jego przypadku: od początku jakoś go lekceważyłam.

Znajomość ta zaczęła się w roku 1967. Byłam wtedy studentką Wydziału Malarstwa i Grafiki, a zarabiałam oprowadzaniem wycieczek. Delegacja twórców litewskich, z którą zwiedzałam poznańskie Muzeum Narodowe, odwdzięczyła mi się teką reprodukcji swojego najsławniejszego malarza. Tak właśnie poznałam Mikołaja Konstantego Čiurlionisa.

Niebieska teka zawierała reprodukcje jego pastelów i niektórych temper. Choć pochodziły z mojego ulubionego okresu (przełom XIX i XX wieku), wydały mi się niezbyt interesujące: przegadane i zarazem niedojrzałe, niewprawne, pełne dziecinnej prostoty i dość niewyszukanej symboliki. W młodości łatwo się wydaje werdykty!

Moim ulubionym malarzem przełomu wieków był (i jest do dziś) Konrad Krzyżanowski, notabene w latach 1902–1904 profesor Čiurlionisa w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Nic dziwnego, że w zestawieniu z obrazami Krzyżanowskiego, cechującymi się pasją i charakterem, malowanymi szeroko, z cełnym rozmachem, pełnymi siły i wyrazu, dzieła Čiurlionisa wydały mi się bezkrwiste. Przy Krzyżanowskim jego uczeń gasł jak świeczka i mógł wzbudzić tylko zniecierpliwienie.

A przecież z tej niebieskiej teki dochodził intrygujący szept. Zajrzałam do niej raz i drugi; a znów kiedyś porozkładałam reprodukcje na podłodze i obejrzałam wszystkie, po czym dokonałam bezlitosnej selekcji. Niektóre schowałam z powrotem, kilka powiesiłam na ścianie. Niewyraźne jak sen, zatarte, nieporadnie malowane wizje: sceny baśniowe, kosmiczne kręgi, obłoki, drzewa i anioły — przemawiały słabo i niepewnie, lecz majaczyła w nich jakaś tajemnica.

Musiałam oswajać się z nimi dość długo, nim wreszcie dostrzegłam ukryty za baśniową anegdotą cichy wdzięk; tak niekiedy po dłuższej dopiero obserwacji odkrywa się urok człowieka z pozoru nudnego, wiecznie skrępowanego i zmieszanego, nie umiejącego wyrazić się prawidłowo ani postępować w sposób zdecydowany. W jednej chwili zauważa się jego uśmiech, nagły gest, błysk spojrzenia — i budzi się porozumienie, sympatia, braterstwo.

Polubiłam Čiurlionisa. A potem z wolna mi spowszedniał. Tak w życiu bywa.

Na ścianach pracowni zawisły nowe reprodukcje. Kredowe arkusze z niebieskiej teki rozproszyły się i pogubiły. Zmieniły mi się gusta. Zmieniło się i moje życie. Ubiegło prawie 30 lat — i obrazy Čiurlionisa przyjechały do Poznania.

Przez miesiąc wisiały w Muzeum Narodowym, a ja wciąż nie mogłam się tam wybrać. Nie bardzo mnie tam ciągnęło. I właściwie nie wiem, dlaczego jednak ruszyłam tam w ostatnim dniu trwania wystawy, na dwie godziny przed zamknięciem.

Już było pusto. W olbrzymim hallu Čiurlionis spoglądał z powiększonego do wielkich rozmiarów zdjęcia, opatrzonego biogramem — ale nie chciałam zatrzymywać się przy nim zbyt długo. W pośpiechu odnotowałam tylko, że jego oczy są pełne przestrachu. Zdziwiło mnie to. Nigdy dotąd, co prawda, nie widziałam żadnej podobizny mojego starego znajomego, ale przestrachu oczekiwałamby najmniej. Już prędzej cichej melancholii albo łagodnego rozmarzenia.

W pierwszej sali — znów zaskoczenie. Wystawę rozpoczynała spora ilość fotografii, wykonanych przez samego Čiurlionisa na Kaukazie. Niewielkie i znów jakoś dziwnie mało wyraziste, przedstawiały niebo i obłoki, skały, morze i łodzie, a wszystko w starannie zakomponowanych kadrach. A więc te przestraszone oczy także i przez obiektyw widziały świat — inaczej. Z rosnącym zaskoczeniem zagłębiałam się w spuściznę jednej ludzkiej egzystencji.

Bardzo duży dorobek, jak na 35 lat życia! Przechodziłam z pustej sali do sali, za towarzystwo mając tylko panią, dozorującą wystawę, i odkrywałam nieznanne mi dzieła: winiety, rysowane cienkim piórkiem (istne szaleństwo miniaturowych, koronkowych form, punkcików, kreseczek, oczek i listków, drobiazgowej plataniny wykonanej z najzupełniej zbyteczną dokładnością). Tempery na kartonie — na wpół abstrakcyjne kompozycje, inspirowane muzyką, w zgasłych już na zawsze kolorach. Drzewa malowane lekko i swobodnie, choć delikatnie. Wdzięczne impresje na temat pór roku. Baśniowe wizje — królowy, zamki, góry i zwierzęta. Tempera „Aniołki”, przedstawiająca wybrzeże morskie ze zgromadzeniem skrzydlatych istot (ten obraz musiał chyba znać Wim Wenders!). Wszystko niejednorodne, niepotrzebnie drobiazgowo albo na odmianę niedopracowane, wszystko bez wspólnej koncepcji i organizacji, tak jakby przez całe życie ten wrażliwy człowiek ulegał ciągłym wahnieniom nastrojów i stylu. Tak jakby, pogrążony w półśnie, zrywał się niekiedy do odnotowania — z trudem i wysiłkiem, w sposób właśnie wtedy możliwy — ulotnej impresji czy wizji.

Byłam coraz bardziej zaintrygowana. Dziwne doświadczenie! Wędrowałam po wielkich, pustych salach, słysząc w zupełnej ciszy tylko stukanie obcasów kroczącej za mną dozorczyńi. Razem towarzyszyłyśmy Konstantemu Čiurlionisowi w jego drodze życia. Łagodny tryptyk z widokiem Rajgrodu zatrzymał nas na dłuższą chwilę i wymieniliśmy uśmiechy pełne uznania. Ta pani najwyraźniej dużo rozumiała.

Tak dotarłyśmy do końca ekspozycji, gdzie wisiał duży obraz olejny — jeden z nielicznych olejów pośród temper, grafik i rysunków. Przedstawiał dziwną formę, w której zrazu dopatryłam się głowy z lśniącym dziobem. Dopiero po chwili dostrzegłam, że obraz przedstawia bijący dzwon, widziany od dołu — niezwykle, pełne grozy ujęcie. Dzwon został namalowany w sposób dla Čiurlionisa nietypowy — z pasją i rozmachem, szerokimi uderzeniami pędzla, na ciemnym tle, złożonym z chaotycznie splątanych pasów czerni i granatu. Podpis, umieszczony w dole płótna przez artystę, objaśniał czerwonymi literami: TRWOGA.

Na kartoniku obok — informacja: ten obraz powstał w roku 1904. Jego projekt w formie pocztówki wysłał Čiurlionis do brata w dniu 24 stycznia 1903 roku. W tym dniu rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska. Niedługo potem wybuchła w Rosji pierwsza rewolucja.

A więc tak się skończyły jego baśniowe wizje.

To nie przestrach był w jego oczach, lecz trwoga — pomyślałam, stając na koniec w hallu, znów przed wielką fotografią portretową. Przeczytałam też biogram; Mikołaj Konstanty Čiurlionis zmarł w obłądnie, w roku 1911.

— Biedny — wyrwało mi się w momencie nagłego zawstydzenia i skruchy, a na to dozorczyńi odrzekła, kiwając głową:

— Wszyscy biedni.

POPATRZ WSTECZ

Nie należy przystawać od razu nawet na rzeczy oczywiste i jawne. Niektóre bowiem kłamstwa mają pozory prawdy. Zawsze trzeba poczekać: czas odkrywa prawdę.

Ruiny są złym probierzem wielkości.

Kto piętrzy zbrodnię na zbrodni, powiększa swój strach.

Często ogień i miecz zastępują lekarstwo.

Słonie i lwy przechodzą obojętnie obok tych, których pokonały.

Zaciekłość to znamię nikczemnej bestii.

* * *

Wszystkim wzgardził, kto już wzgardził śmiercią.

Czemuż miałby się bać ryzyka, kto nie ma nic do stracenia?

Najbardziej niebezpieczne jest takie męstwo, które wyzwala ostateczna desperacja. Strach powinien zostawiać jakiś margines bezpieczeństwa i o wiele więcej ukazywać nadziei niż zagrożenia...

* * *

Nikczemnością jest topić kogoś, aby wydobyć go z wody, przewracać, aby podnieść, więzić, aby uwolnić. Położenie kresu krzywdzie nie jest dobrodziejstwem, a usunięcie czegoś, co wraził sam usuwający, nie może nigdy stanowić zasługi.

Wszelkie zbrodnie zostają spełnione już nawet przed dokonaniem samego czynu, jeśli jest dostatecznie zbrodnicza intencja.

* * *

Gdzie nie ma wstydu, praworządności, uczciwości, pobożności ani wierności, tam władza nie jest stabilna.

Znienawidzone rządy nigdy nie utrzymują się długo.

Do okrutnego i krwiożerczego władcy nawet jego siepacze nieuchronnie są wrogo nastawieni. Nikt nie może mieć wiernych i lojalnych sojuszników w tych, którymi się posługuje przy torturach, i którym rzuca ludzi jakby dzikim zwierzętom. I żaden skazaniec nie niepokoi się ani nie dręczy tak jak on, który boi się bogów i ludzi jako świadków i mścicieli zbrodni, aż tam zaszedłszy, gdzie już nie może zmienić swego postępowania. Między innymi bowiem najgorszą klątwą okrucieństwa jest: mus upierania się przy nim i niemożność odwrotu ku lepszemu życiu. Bo zbrodnia musi zasłaniać się zbrodnią. Któż bowiem bardziej nieszczęśliwy niżeli człowiek, który już musi pozostać złym?

Okrutna władza jest niespokojna i pogrążona w ciemnościach, a kiedy ludzie drżą i wpadają w popłoch na każdy dźwięk, wtedy i ten, kto jest powodem tego całego zamętu, nie uniknie wstrząsów.

Tak ustanowiła natura, że cokolwiek urosło na cudzym strachu, samo nie jest odeń wolne. Co przeraża, samo także drży.

* * *

Wynik wojny zawsze jest wątpliwy i zawsze zwycięstwo jest w rękach Marsa, choćby się miało ogromne wojsko, które szeroko i daleko rozciąga swoje szeregi.

Żadna namiętność nie jest bardziej żądna zemsty niż gniew, który też z tego właśnie powodu jest niezdolny do wywarcia zemsty: gwałtowny i bezrozumny, jak prawie każda żądza, sam przeszkadza sobie w osiągnięciu tego, do czego dąży. Dlatego nigdy nie przynosi dobra, ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny; upodabnia bowiem pokój do wojny, a w boju zapomina, że bóg wojny jest obopólny, i sam nad sobą nie mając władzy, dostaje się pod cudzą.

Wrogość natychmiast znika, jeśli się jej wyrzeknie jedna ze stron. Biją się tylko tacy sami. Lecz oto obie strony ponosi gniew, rozpoczyna się walka: ten będzie lepszy, kto się pierwszy wycofa, zwyciężony ten, co zwyciężył.

Podobnie jak nie powinno się zawiązywać przyjaźni z człowiekiem niegodziwym, tak również nie należy dopuszczać go do korzystania z najświętszego prawa gościnności, które jest źródłem przyjaźni.

Napisał:
Lucjusz Anneusz Seneka (4 p.n.e. — 65)

Przełożył:
Stanisław Stabryła

Popatrz wstecz na przeszłość, na tak olbrzymie przemiany mocarstw. Możesz i przyszłość przewidzieć. Będzie ona bowiem zupełnie taka sama co do formy i nie będzie mogła uwolnić się od rytmu widocznego w wypadkach teraźniejszych. Stąd też jest to wszystko jedno, czy bada się życie ludzkie w przeciągu lat czterdziestu, czy lat dziesiątek tysięcy. Bo co więcej zobaczysz?

Napisał:
Marek Aureliusz (121 n.e. — 180)

Przełożył:
Marian Reiter

Wstecz popatrzała: Małgorzata Musierowicz

TEORIA WYSP

„Pan Jezus zmartwychwstał i przyroda zdaje się po swoim wypowiadać tę prawdę. Musi być dobrze, bo Opatrzność nie utraciła panowania nad tym, co się tu wyrabia.”

(Z listu Czytelnika)

Wyrabia się, oj! — wyrabia! — aż dreszcze chodzą po plecach. Człowiek patrzy i przeciera oczy, bo i ich świadectwu nie dowierza. Ale przecież w tym wszystkim, w tym zgiełku, kłamstwach, złości, upadku obyczajów (dość! — przerywam wyliczankę, bo ogarnia mnie niesmak i żal) — od czasu do czasu potrafi się wydarzyć coś ujmującego i budzącego zachwyt. I zaraz człowiek nabiera otuchy. A to nagle, przez jedną noc, dzika śliwa rozkwita chmurą gwiazdeczek i stoi tak, biejąc na tle jeszcze gołego lasu. A to znów, w centrum miasta, na zatłoczonym chodniku, dziecko tkwiące w wózku napotyka wzrok przechodnia, przez chwilę przygląda mu się ze skupieniem, po czym ufnie się rozpromienia w ślicznym uśmiechu. Albo — nadchodzi wspaniała, obfita poczta świąteczna: całe mnóstwo życzeń, dobrych słów i myśli — kartki, listy, pocztówki, fotografie i rysunki, a nawet prezenty! (Za wszystko z całego serca DZIĘKUJĘ!!!) Bezcenny dar nadesłał nasz stały Krytyk i Korespondent, ukrywający się skromnie pod nadto już samokrytycznym pseudonimem: Ohydny Typ z Warszawy. Ten dar to cieniutka (32–stronicowa) książeczka, wydana w Krakowie w roku 2001 przez Księgarnię Akademicką: „Barszcz w kulturze starożytnej Grecji” Jerzego Gota. Książeczka ta ma bardzo brzydką okładkę (grafik, jak słusznie zauważa Ohydny Typ, nie uznał za stosowne poinformować w stopce, że użył reprodukcji obrazu Arcimboldiego, zupełnie zresztą zmieniając jej barwy, żeby ją dostosować do marchewkowego tła; dlaczego Arcimboldi skojarzył mu się ze starożytną Grecją, dociec nie umiem. Jeśli zaś artysta miał zamiar iść raczej tropem buraka, to też dokonał złego wyboru, bo obraz przedstawia profil złożony jedynie z owoców i zbóż).

Ale poza tym książka ma już tylko zalety. Wspaniale, że w ogóle się ukazała. A jeszcze wspanialsza jest historia powstania rozprawki, która — z towarzyszeniem wstępu i korespondencji — składa się na książeczkę. W pięknie napisanym wstępie obszernie opowiada tę historię Jan Michalik. W skrócie przedstawia się ona następująco: dwaj tytani polskiej teatrologii, Zbigniew Raszewski i Jerzy Got, prowadząc — jeden w Warszawie, a drugi w Krakowie — pracę naukową i dydaktyczną, mieli zwyczaj listownie wymieniać poglądy, co rychło zaowocowało przyjaźnią. Korespondencja przybrała na sile, kiedy w roku 1978 Jerzy Got zamieszkał w Wiedniu. „Wtedy też łatwiej było mu realizować pasję, jaka o władnęła nim. kilka lat wcześniej — pisze Jan Michalik. — Pasją tą była Grecja, w każdym wymiarze: pejzaże, przyroda, ludzie, obyczaje, kultura, dzieje — oczywiście włącznie z antykiem”. I oto 7 października 1985 roku Zbigniew Raszewski pisze do Jerzego Gota list brzemienisty w skutki:

„Wyczytałem u Plutarcha, że Katon mł. dla ośmieszenia rzymskiej spektaklomani obdarzał aktorów (a na pewno i zawodników) rozmaitymi przysmakami (inni obsypywali ich złotem). Rzymianom dawał wieprzowinę, ogórki itp., Grekom — jarzyny. Otóż wśród jarzyn Plutarch na pierwszym miejscu wymienia buraki (sc. wśród jarzyn, które miały Grekom sprawić przyjemność). Proszę, napisz mi całą prawdę, niczego nie ukrywaj: czyja się słusznie domyślam, że starożytni mogli jadać barszcz?” I dalej, 21 listopada tegoż roku: „W końcu można by sobie wystawić taki obraz: Achilles wraca i uznojonny do namiotu: Chaire, Bryzejda, czy jest coś

ciepłego? A ta i mu barszczyk na wędzonce. Oczywiście, Grecy mogli nie dojść do barszczu. Mogli się zatrzymać na etapie zająca z buraczkami. I trudno by nawet żywić do nich o to jakieś specjalne pretensje. Ale człowiek chciałby WIEDZIEĆ”.

Jerzy Got potraktował zlecenie z całą powagą. *„Chodziłem do I bibliotek, przeglądałem różne źródła, tezaury, które mnie prowadziły do różnych pojęć i książek. To dość długo trwało, w końcu (...) napisałem rozprawkę, która rzeczywiście jest według źródeł nie do podważenia”.*

Rozkoszna rozprawka „Barszcz w kulturze starożytnej Grecji” podzielona jest na następujące części: „Zakres i metoda badań. Źródła. Zagadnienie tekstów poetyckich wykorzystywanych w przekładach. Sformułowanie procesu badawczego. Problematyka zająca. W świecie buraka. Wnioski końcowe”. Usiana jest cytatami greckimi (z Homera i Arystofanesa!), znaleźć też w niej można rycinę, i przedstawiającą przedmiot dociekań, a pochodzącą z podręcznika medycznego Dioskuridesa (I wiek n.e.). Czytelnik, pochłaniając ten ! misterny tekst, przepojony prawdziwą pasją naukową, doznaje erudycyjnego zawrotu głowy i z lubością wyławia momenty, kiedy i uczony autor nie panuje nad emocjami, wskutek czego wymykają mu się następujące stwierdzenia: *„Jedyny obszerny zbiór greckich przepisów kulinarnych zachował się w prymitywnej rzymskiej przeróbce. Jak wiadomo, Rzymianie nie byli zdolni niczego — prócz dyscypliny i taktyki wojskowej, zasad prawa i gramatyki — samodzielnie wymyślić, całą swoją kulturę czerpali od innych narodów, przede wszystkim od Greków, obniżając ją oczywiście do dostępnego im poziomu”.* Przeróbka ta jest dziełem rzymskiego kucharza Caeliusa.

O autorze należy stwierdzić, iż jest to gruboskórny Rzymianin, którego wersja greckiej kuchni jest prostacko zborsuczona. Do potraw mięsnych stosuje najczęściej dwa rodzaje bardzo ostrych sosów, do których przyrządzania używa absurdalnej ilości pieprzu. Nie ulega wątpliwości, że sosy te zabijały smak potraw. Tak więc potrawa (...) jest najpierw posypana pieprzem, a następnie oblane sosem z pieprzu, a po przyrządzeniu przed podaniem na stół ponownie posypana pieprzem. (...) Jest to więc wulgarna wersja greckiej kuchni, dostosowana do rzymskiego karczemnego smaku”.

Trafiają się i sensacje historyczne: *„Wpływ buraka na dzieje Rzymu ilustruje przebieg oblężenia miasta Casilinum (...) przez Hannibala. Według zgodnych świadectw Strabona oraz Liwiusza, Hannibal odstąpił od oblężenia, gdy ujrzał, że mieszkańcy miasta posadzili na murach rozsady buraków, które niebawem miały im zapewnić dostatek żywności”.*

Zafascynowany czytelnik mknie poprzez kolejne części rozprawy, by wreszcie z triumfem osiągnąć wnioski końcowe — lecz te zachowam do własnej wiadomości, pozostawiając ochotnikom dotarcie do prawdy poprzez nabycie książkowego wydania rozprawki. A jeśli nakład już został wyczerpany, zawsze można zasięgnąć informacji o dziejach barszczu u znajomego teatrologa. Rozprawka Jerzego Gota bowiem — jak informuje wstęp — przez 15 lat krążyła w odpisach wśród wąskiego grona historyków teatru. Chyba więc każdy przedstawiciel tej pięknej profesji wie już wszystko na temat buraka.

I pomyśleć, że kiedyś (w roku 1989 mianowicie) z nieufnym dystansem odniosłam się do opisywanej przez prof. Raszewskiego jego Teorii Wysp. Zalecała ona w przypadkach, gdy społeczeństwo oszaleje, ratowanie duszy poprzez separowanie się od ogółu, *„póki się da, wspólnie z innymi ludźmi zdrowego rozsądku”.* *„Czy można w takich sytuacjach ratować te wartości, które może pielęgnować tylko zbiorowość? Moja odpowiedź: można, póki możliwe jest istnienie zbiorowości ratunkowej. (...) Z moich doświadczeń wynika, że zbiorowość ratunkowa może być maleńka, np. kilkuosobowa, i mimo to twórcza. Ale musi być absolutnie wolna. (...) Chodzi mi o wolność umysłu, przede wszystkim. Żadnych uprzedzeń. Żadnej mody intelektualnej. Tak-jakby-się-w-ogóle-nic-nie-zdarzyło. Wolno rozważać naturę potopu. Nie wolno przyjmować do wiadomości, że jest dokoła”* (Zbigniew Raszewski, „Listy”).

Dlaczego, u licha, dystansowałam się wtedy od Teorii Wysp?!
Teraz bardzo mi się podoba.

ŚWIATŁO ROZUMU

*(...) Wielka Siostró
tak wiele mam do ciebie zapytań
zwłaszcza gdy łaska sensu
opuszcza stronice dni
A nawet karty mądrych książek
Czemu uparcie odpowiadasz mi
prostym pismem dymu
a ja ciągle boję się zrozumieć (...)*

Anna Kamińska, „Doktor Edyta Stein”

Piękny, piękny maj. Życie kipi, kwitnie, wzrasta, zieleni się w słońcu. W maju najczęściej chyba patrzy się w niebo. Trzynastego minęła kolejna rocznica zamachu na Jana Pawła II — tak, to też jest oblicze maja. Trzynastego również, na niespełna miesiąc przed referendum w sprawie powrotu Polski do Europy, powołano w Poznaniu, na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, Centrum Badań imienia Edyty Stein. Stało się to przy udziale władz kościelnych i uniwersyteckich, a także w obecności delegatów gminy żydowskiej i Kościoła ewangelicko–augsburskiego. Już samo gromadzenie się zaproszonych gości podnosiło na duchu; nie tak często obecnie udaje się ujrzeć tyle naraz twarzy myślących i uduchowionych, tylu ludzi przepełnionych spokojną pogodą. Nie przypuszczałam też, że przy okazji tej uroczystości spotkam aż tyle Znajomych Osób — z różnych zresztą wymiarów czasu i przestrzeni.

Spotkałam na przykład koleżankę ze studiów — znakomitą dziś malarkę Danutę Waberską, autorkę wielu obrazów o tematyce religijnej i metafizycznej.

Maja Komorowska nadesłała piękny list, w którym opowiedziała o swojej fascynacji osobą Edyty Stein, Teresa Budzisz–Krzyżanowska przyjechała, by przeczytać — po oficjalnym otwarciu Centrum Badań — fragmenty listów Edyty Stein do Romana Ingardena. Trudno było nie odczuć dreszczu, gdy słyszało się, wypowiedziane mocnym, elektryzującym głosem wielkiej aktorki, słowa Edyty Stein z roku 1917: „*Właściwie tylko dwie rzeczy dodają mi sił; chęć przekonania się, co będzie z Europą, i nadzieja, że dokonam czegoś z pożytkiem dla filozofii. Nie dam się odwieść od przekonania, że historia świata ma sens i toczy się swoim trybem, nawet gdy nie ma nikogo, kto wskazywałby jej kierunek*”, lub te z roku 1918: „*Może zainteresuje Pana następujący projekt. Przypomina mi trochę pomysł, z którym sama nosiłam się kiedyś, by w różnych krajach tworzyć instytuty do spraw »wymiany kulturalnej«, które służyłyby zadziernięciu wzajemnego porozumienia. Wprawdzie wygląda to tak, jak gdyby przede wszystkim chodziło o kwestie gospodarcze, ale przecież od pracujących tam ludzi będzie zależało, jaki kształt nadadzą tej sprawie*”.

Profesor Anna Grzegorzcyk, inicjatorka powstania Centrum Badań, wiele już lat poświęciła osobie i dziełu siostry Teresy Benedykty od Krzyża. Współpracując ściśle z Instytutem Duchowości Carmelitanum, a w jego ramach — z siostrą Immaculata Adamską OCD (pierwszą tłumaczką dzieł Edyty Stein i autorką licznych o niej książek), pani profesor postawiła sobie za cel nadrobienie wieloletnich zaległości humanistyki w recepcji filozofii Edyty Stein. W przemówieniu otwierającym uroczystość, Anna Grzegorzcyk powiedziała: „*Dzięki powołaniu tego Centrum Badań Edyta Stein, której za życia przyszło zmagać się z »byciem kobietą« i Żydówką, wraca na uniwersytet. Kobiecie i filozofowi bowiem środowiska uniwersyteckie Niemiec odmówiły prawa do habilitacji, a Żydówce rządzący od 1933 roku jej ojczyznę narodowi socjaliści zabronili nauczać*”.

Centrum Badań ma stać się odpowiedzią na współczesną kulturę wyczerpania, kulturę zbanalizowaną, nie umiejącą odróżnić dobra od zła. Ma napęlić ją sensem. Fenomenologiczna koncepcja Edyty Stein, z definicji będąca filozofią sensu, może być lekiem na kryzys kultury *homo postmodernus*, który utracił godność człowieczeństwa, prawdę, wiedzę i wiarę. *„Kultura musi się oprzeć na poczuciu porządku transcendentalnego. Opracowana przez Edytę Stein metoda »wzucia« pozwala poznać Innego (to jest — zarówno drugiego człowieka, jak Boga). Propozycja wznoszenia »twierdzy duchowej« opierająca się na »ćwiczeniach duchowych« i na fenomenologicznym, istotowym poznaniu, stanowić może bardzo współczesną metodę terapeutyczną, metodę, która ma starożytną proveniencję i metafizyczne zwieńczenie, tak potrzebne współczesnemu człowiekowi — mówiła prof. Grzegorzcyk, przytaczając następnie słowa Edyty Stein: »Im bardziej skupiony żyje ktoś we wnętrzu swej duszy, tym silniej promieniuje i innych w swą orbitę wciąga».*

Znakomita uczennica Husserla kształtowała swoją formację badawczą w czasach głębokiego kryzysu nauk europejskich. Jej dzieło wiele mówi o duchu epoki początku XX wieku, lecz i, rzecz zaskakująca, o duchu naszej epoki. Powinnością każdego człowieka nauki — ciągnęła prof. Grzegorzcyk — jest niestrudzone dążenie do prawdy. Dewizą naukową, a nie czysto światopoglądową, jest stwierdzenie Edyty Stein: *„Bóg jest prawdą. Kto szuka prawdy, szuka Boga, choćby o tym nie wiedział”.*

Trudno o bardziej aktualną dewizę.

Centrum Badań im. Edyty Stein ma integrować wysiłki badaczy w celu ożywienia ducha jedności Europy. „poznanie podług nadziei i miłości” stanowiłoby zaplecze dla dialogu europejskiego i pokojowego uczestnictwa w kulturze. Obok badań nad biografią i spuścizną naukową Edyty Stein, prowadzone będą badania nad integracją europejską (we współpracy z międzynarodowym stowarzyszeniem Anima Europae) oraz nad filozofią dialogu. Opracowany zostanie program badawczy dotyczący etosu kobiety współczesnej, a także — dialogu nauki i religii.

Gdy przysłuchiwałam się obradom, spotkałam — w myślach — kolejną Znajomą Osobę.

Rozmawialiśmy o Edycie Stein — pisał Tomasz Kubikowski we wspomnieniu o profesorze Zbigniewie Raszewskim („Pamiętnik Teatralny” 3–4/93). — Jej portret, który mu z żoną podarowaliśmy, Profesor zawiesił w ostatnich miesiącach w swoim pokoju. »Ona się po to urodziła, żeby pojednać trzy narody« — powiedział kiedyś”.

Profesor Raszewski zmarł w roku 1992. Czy mógł przypuszczać, że w kilka lat później Jan Paweł II ogłosi Edytę Stein patronką Europy? Jak widać dzisiaj, ONA nie tylko po to się urodziła, by pojednać trzy narody — także po to, by światło rozumu zajaśniało nad połączoną Europą, w trwałym związku wiedzy i wiary.

ZGADUJĘ

Po Mszy św. na Błoniach — w oknie, drugiego wieczoru — i ostatniego dnia na lotnisku — trzykrotnie Ojciec Święty powiedział coś, co spodobało się słuchaczom tak bardzo, że wybuchnęli entuzjastycznymi okrzykami, przerywając Papieżowi. W każdym z tych trzech przypadków nie kontynuował już swojej myśli.

Najbardziej żał mi tej trzeciej wypowiedzi.

Kto widział telewizyjną transmisję z pożegnania w Balicach, ten wie: Ojciec Święty podniósł smutne, przenikliwe spojrzenie znad kartki i dodał po prostu, z głębi serca: — „A na koniec — cóż powiedzieć? Żał odjeżdżać!...” — Już miał mówić dalej, gdy przerwały mu wielokrotne okrzyki „Zostań z nami!” i Papież umilkł, czekając. Ale skandowanie trwało dość długo; ucięła je nagle orkiestra, grając Chopina.

Jaka szkoda!

Tym sposobem nie usłyszeliśmy słów, które już–już mogły zostać wypowiedziane; słów, które — zważywszy, po jakim wyznaniu miały nastąpić — musiały być niezwykle, naładowane emocją i znaczeniem. Może to były słowa najważniejsze z całej pielgrzymki? A może tylko (tylko?!) pełne czułości? Może miały zawierać przesłanie otuchy, życzenia odwagi? Może — prośbę? A może — przestrożę?

Co Papież chciał nam powiedzieć, w porywie serca łącząc się z nami przed odlotem, w ostatniej chwili?

Już się nie dowiemy.

Szkoda, szkoda, szkoda.

Te słowa nie uleciały, do nikogo nie dotarły, nikt ich nie nagrał, nikt ich nie utrwalił w druku. Zatrzymały się w sferze tajemnicy.

Teraz możemy tylko żałować. Ale też — myśleć, dedukować, zastanawiać się, uruchamiać intuicję, próbować przeniknąć tę tajemnicę.

Co to były za słowa?

Każdy, zapewne, domyślił się innych.

Więc może żałować nie trzeba? Może tak miało być, jak się stało?

Może to dobrze?

Co do mnie — właśnie za te niewypowiedziane słowa chciałabym podziękować najbardziej — z całego serca.

PRAWNIK

Fotografie, wykonane w czwartek, 28 czerwca 1956 roku przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, podczas tzw. „wydarzeń poznańskich”, miały służyć za podstawę do prześladowań. Teraz, świeżo odtajnione, składają się na album „Zranione miasto”, wydany przez Instytut Pamięci Narodowej. Przy okazji promocji tego albumu w siedzibie poznańskiego oddziału IPN dokonano, w obecności prof. Leona Kieresa i zastępcy ambasadora Szwecji, Jana Henrika Amberga, odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci mecenasa Stanisława Hejmowskiego. Mecenas był czołowym obrońcą robotników, oskarżonych w tzw. procesach poznańskich.

Jan Henrik Amberg, mówiący piękną polszczyzną, świetnie zorientowany w polskich sprawach, w polskiej historii i terażniejszości, jest urodzonym w Szwecji wnukiem mecenasa Hejmowskiego. O swoim dziadku wie wszystko i mówi o nim z wielkim wzruszeniem, choć widział go zaledwie raz w życiu.

Mec. Hejmowski w latach PRL raz jeden tylko dostał paszport — po październikowej „odwilży”. Mógł wtedy odwiedzić żonę i dzieci, wysłane zaraz po wojnie, potajemnie, „pod węglem”, do Szwecji. Po „odwilży” był z nimi trzy tygodnie. Powrócił do kraju po telefonie kobiety, błagającej go o ratunek (jej syn dostał wyrok śmierci — uważała, że tylko mecenas Hejmowski potrafi go wybronić). Odtąd już nigdy nie otrzymał paszportu, choć podanie ponawiał co roku. Czasem, owszem, zawiadamiano go, że jego prośbę rozpatrzono pozytywnie, lecz kiedy jechał do Warszawy, by paszport odebrać, dowiadywał się, że zaszła pomyłka. Dopiero w roku 1969, gdy po drugim już wylewie leżał w szpitalu, odwiedzili go urzędnicy. „Pan mecenas starał się o paszport? — spytali bardzo uprzejmie. — Oto on”. Było to na trzy dni przed śmiercią Stanisława Hejmowskiego.

Obecny przy odsłonięciu tablicy pamiątkowej profesor Witold Kulesza, prokurator, wspominał szybkość działania stalinowskiego wymiaru sprawiedliwości. Jeden z aresztowanych siedział w swojej celi, kiedy przyniesiono obiad: miskę gorącej zupy. Jednocześnie wezwany został na rozprawę. Kiedy wrócił do celi z wyrokiem śmierci, zupa była jeszcze ciepła. — *„Nie waham się powiedzieć, że od procesów poznańskich, od chwili wystąpienia mecenasa Hejmowskiego, władze zrozumiały, że nie uda się im zamiar przeniesienia do Polski sowieckich wzorców, nie uda się organizowanie procesów pokazowych, skoro istnieją tu tacy adwokaci. Hejmowski zdumiał oskarżycieli. Był genialnym erystykiem”* — wspominał prof. Kulesza. W swojej piętnastominutowej replice na słowa oskarżycieli, Hejmowski zwrócił się bezpośrednio do sędziów: *„Za chwilę zostaniecie sam na sam z waszym sumieniem. Oskarżeni mają prawo do apelacji. Wy tej szansy nie macie”* — i wezwał ich, by przy podejmowaniu decyzji o winie kilkunastu oskarżonych robotników mieli przed oczami dowód rzeczowy: pokrwawioną, podziurawioną kulami kurtkę dziecka, ugodzonego z okien Urzędu Bezpieczeństwa. — *„Kogo chcecie sądzić? Czy to oskarżeni są sprawcami, czy też ci, którzy spowodowali śmierć dziecka?”* — pytał. *„Nie mogę zapomnieć tego chłopca, który trzymał na ul. Kochanowskiego sztandar w gradzie kul. Nie wiem, co się z nim stało, czy żyje. Chciałbym, żeby wspomnienie o nim z pewnym szacunkiem przechowano”* — powiedział w mowie obrończej wygłoszonej 16 października 1956.

Mecenas drogo zapłacił za swoją odwagę. Chociaż w cztery dni po jego mowie, 20 października 1956, na VIII Plenum KC PZPR Gomułka powiedział: „Przyczyny tragedii poznańskiej tkwią w nas, no kierownictwie partii, w rządzie”, a prokuratura generalna PRL zarządziła rewizję wszystkich aktów oskarżenia — poznańscy adwokaci, Stanisław Hejmowski i Michał Grzegorzewicz, zostali zawieszani na rok w obowiązkach, pod pretekstem wykrycia drobnych

uchybień skarbowych w ich kancelariach. Wymierzono im olbrzymie kary grzywny i praktycznie zrujnowano. Mec. Grzegorzewicz został przeniesiony do Koła, potem — na emeryturę. Mecenasek Hejmowski stracił bardzo wielu klientów. Ludzie bali się go zatrudniać. Kolejne sprawy dyscyplinarne — cóż z tego, że bezpodstawne — ciągnęły się latami, aż do roku 1966. W 1967 mecenasek Hejmowski został częściowo sparaliżowany po wylewie. Osamotniony w środowisku, pozbawiony właściwie środków do życia, zmarł po drugim wylewie, 31 maja 1969.

„Strzelano do tłumu bezbronnego, dlaczego? — pytał 16 października 1956. — Przecież ten tłum nikomu nie zrobił krzywdy (...) Przecież słyszeliśmy, że gdy na Junikowie w Komisariacie MO ktoś rzucił hasło, żeby wystąpić czynnie przeciwko milicji, to jakaś tramwajarka zasłoniła milicję i powiedziała: »Jak możecie, oni tacy sami ludzie jak my i tak samo mało zarabiają«. Na jakiej podstawie mogło się UB spodziewać, że będzie traktowane inaczej niż przedstawiciele wszystkich innych władz na terenie Poznania? Czy miało poczucie winy, o którym Zygmunt Freud mówi we »Wstępie do psychoanalizy«? (...)

Sąd ma mandat od narodu polskiego, żeby orzekać i wymierzać sprawiedliwość, i ja się pytam, czy naród polski czeka na ukaranie Kulasa, czy żąda kary dla Bulczyńskiego lub jakiegokolwiek innego? Czy naród widzi w tych tutaj ludziach sprawców nieszczęścia z dnia 28 czerwca roku bieżącego? (...) Zapewniam Wysoki Sąd, że nie na to czeka naród polski. Na swoich prokuratorów czekają biurokraci, którzy zawinili w wypadkach czerwcowych, którzy się oderwali od mas, ale co to znaczy: oderwali od mas, bo tym pojęciem bardzo często się operuje, a muszą powiedzieć, że to jest pojęcie dosyć mgliste — oderwanie się od mas. Znaczący, że biurokraci rządzący przestali być elitą ideową, stali się elitą konsumpcyjną. (...)

Wysoki Sądzie! Krew przelana 28 czerwca przypieczętowała pewien okres naszej historii, okres dziesięciolecia, które przeminęło. Co w tym dziesięcioleciu było piękne, ideowe i twórcze, to będzie żyło w naszym narodzie wiecznie, a co było złe i niegodziwe, oby nie odżyło już nigdy. Wierzę, że krew ofiar tych zająć nie została przelana na próżno. Ja wierzę, że na grobach tych, którzy polegli, spełni się zapowiedź, którą w »Nocy Listopadowej« Stanisław Wyspiański włożył w usta Korze, bogini wiekuiście odradzającego się życia:

*Krwi przelanej nie zmamię,
Krwia tą pola i rolę użyźnię,
I synów z krwi tej dam kiedyś Ojczyźnie.*

Proszę Wysoki Sąd dla Romana Bulczyńskiego o wyrok ludzki. I to jest wszystko, co chciałem powiedzieć”.

(cyt. za: „Poznański Czerwiec 1956” Zofii Trojanowicz i Jarosława Maciejewskiego, Poznań 1981, Wyd. Poznańskie)

NAD POZIOMY

„Nawet lekki płomień, który tylko migoce, uchyla ciężką zasłonę nocy”
— Jan Paweł II, Toronto, homilia do młodzieży.

Patrząc na tych „młodych przyjaciół”, ramię przy ramieniu słuchających Papieża–poety, Adam Mickiewicz byłby pewnie uszczęśliwiony. Czyż nie to się właśnie dzieje, do czego wzywał? — „Opaszmy ziemskie kolisko, zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy!”. Papież, jak wszyscy polscy uczniowie w swoim czasie, uczył się w szkole „Ody do Młodości” na pamięć — i wziął to wezwanie na serio. Pośród miliona młodych osób, uczestniczących w Mszy św. w Toronto, na pewno znajdują się takie, które na serio wezmą słowa Papieża. W czasach błazeńskich, kiedy wygłupiać się wypada, kiedy trzeba koniecznie przybierać minę zgorzkniałego cynika, kiedy być kimś na serio właściwie nie uchodzi — powaga i prostota słów Jana Pawła II, ich mądrość i piękno, muszą zaskakiwać i wzruszać. Czy poderwą do działania? — oto jedno z najważniejszych pytań.

„Jakie hasło wybiorą strażnicy poranka?” — pyta Papież–romantyk. Homilia, wygłoszona na zakończenie Światowego Dnia Młodzieży ma moc i wagę testamentu. Jej tekst, wraz z tekstem przemówienia z 25 lipca, porusza do głębi. Widnieje w nich wielki piękny Zamiar, program jasno określony: „Jezus nie ograniczył się do głoszenia Błogosławieństw. On nimi żył!”.

Jak wiemy, w Nowym Testamencie nie ma ani słowa o tym, jak naprawdę wyglądał Jezus Chrystus. Żaden z apostołów nie ośmielił się skreślić jego portretu — fizycznego. Lecz przecież „tym najuboższym z ubogich, najszlachetniejszym pośród cichych, człowiekiem o najczystszej i najbardziej miłosiernym sercu jest właśnie Jezus. Błogosławieństwa są niczym innym, jak tylko opisem twarzy. Jego twarzy.” — powiedział Jan Paweł II i tymi słowy wydobył, jak z zamglenia, tę TWARZ. Jest to obraz niezapomniany.

Kościół, wraz z całym światem, przechodzi właśnie przez swoją Ciemną Dolinę. Ale naprawdę możemy się nie lękać. Ktokolwiek usłyszał tę papieską „Ode do Młodości” w Toronto, wie już, że wciąż jeszcze wszystko jest możliwe — i pokój, i miłość, i czystość, i przebaczenie, i ludzka solidarność, i zwyczajna dobroć, i nowe jutro chorego świata. Nadzieja jeszcze nie umarła.

I to jest najlepsza wiadomość, jaką mogliśmy usłyszeć.

ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Pewien redaktor „TP” wzbudza we mnie — choć jest w wieku mego najstarszego syna — spory respekt. Jeden telefon — pełne łagodnego wyrzutu brzmienie tego barytonu w słuchawce — i już ogarnia mnie nerwowe poczucie winy, jak niegdyś, gdy nie odrobiłam lekcji. Do licha! — więc to już miesiąc minął, odkąd ostatni raz pisałam felietonik? — A minął, minął. Troszkę długo, Małgorzato. — Oj, no tak, no prawda, ale miałam tyle na głowie, a to córka zdawała maturę, a to syn pisał testy sprawdzające dla ósmoklasistów, a to w zawrotnym tempie przygotowywałam do druku drugi tom „Frywolitek”, a to jechałam na Targi Książki, żeby tam nową książkę podpisywać, a to znów spadały na mnie niespodziewane obowiązki, nagle wydarzenia stresujące oraz, jak zwykle, sprawy nie cierpiące zwłoki. Do tych ostatnich zaliczyłabym plagę ślimaków winniczków, które — w trwodze przed niespotykanymi wiosną upałami — postanowiły się schronić akurat w moim bujnym, cienistym i obficie podlewanym ogrodzie. Upodobały sobie zwłaszcza rabate bylinową i właśnie zaczynają nieopanowanie się rozmnażać, pożerając liście aksamitek i ostróżek. To okropne, ale gdyby je zostawić samym sobie, skonsumowałyby mi cały ogród. Zmobilizowałam więc siły do walki i rozstawiam w strategicznych punktach rabatek plastikowe miseczki, napełnione jasnym piwem. My, doświadczeni ogrodnicy, nie lubimy zwalczać tych wrażliwych stworzonek za pomocą gotowych trucizn i szeroko dostępnych w handlu preparatów parzących (zgroza). Nasza metoda jest humanitarna i pozostawia ślimakom wolność wyboru: wcale nie muszą pełznąć, zwabione kuszącą wonią, ku miseczkom. Mogą sobie nadal przeżuwać aksamitki. Ale nie, one zdecydowanym marszem posuwają się masowo ku płynom alkoholizowanym. Włazą na brzeg naczynia, chlepczą piwo bez umiaru, po czym, łagodnie podchmielone, osuwają się w bursztynową toń. Kolejny jednakże problem pojawia się w związku z brązowymi żuczkami, tymi małymi ohydkami, które zapuszczają się w głąb róży i pożerają ją żywcem. Trochę im się nie dziwię, sama bym chętnie robiła to samo. Pięknie musi być wewnątrz róży, wśród prześwietlonych słońcem czerwonych, białych lub żółtych ścian labiryntu, w wonnych, upajających oparach takiej ilości smakołyku! — ale przecież róża ma także prawo do życia — nie ośmielam się powiedzieć, że większe, ale jakoś... bardziej uzasadnione. (?) Obżerający się właśnie żuczek daje się z łatwością pojmać palcom doświadczonego ogrodnika, lecz zaraz nadlatują dziesiątki następnych napastników. Właściwie trzeba by nieustannie warować przy każdym krzaczku różanym, by niszczyć wraże siły. Ale nie mogę, choćbym nawet chciała, bo muszę pilnować ósmoklasisty, który właśnie teraz powinien zdwoić wysiłki, by poprawić oceny końcowe na świadectwie. Od tego bowiem, ile uzbiera punktów, zależy jego przyszłość, czyli to, czy się dostanie do liceum. Powinno to być dobre liceum — nie znaczy to wcale, jak na przykład znaczyło w zeszłym roku, że liceum takie powinno się przede wszystkim cechować zdolnością maksymalnie dobrego przygotowania uczniów do egzaminu na wyższe studia. W tym roku — jak wykazuje proste zestawienie — najwięcej osób wybrało inne wartości. Dobre liceum to dziś takie, w którym nie biją, nie piją, nie palą, nie poniżają i nie rozprawiają narkotyków. I jeszcze przy tym — uczą się. Takich liceów w naszym mieście wojewódzkim jest zaledwie kilka, jeśli w ogóle nie dwa. Jakoś nie mogę pojąć, dlaczego.

Ale zostawmy temat oświaty i w ogóle — szkoły polskiej. Jest to temat potwornie stresujący, zwłaszcza, gdy się w tej szkole ma swojego zakładnika. Jeśli nie nastąpią wydarzenia niepożądane, do opisu stanu szkolnictwa zabiorę się za cztery lata. Nie przypuszczam, żeby to było za późno. Powiem śmieiej: sądzę, że jeszcze długo będzie o czym pisać. Jak tak dalej pójdzie.

A pójdzie.

Cóż, wolę myśleć raczej o rzeczach miłych i krzepiących. Na przykład o tym, co mi się przytrafiło na Międzynarodowych Targach Książki. Pewna miła pani opowiedziała mi, mianowicie, że jako mała dziewczynka bawiła się często w ogrodzie Bronisława Gałczyńskiego, w Piasecznie koło Warszawy. O tym cudownym ogrodzie pisałam w „TP” — można ten tekst znaleźć w wydanym przez Akapit Press zbiorze „Frywolitki 2”. Po tamtym felietonie odezwała się pani Anna Modrzejewska z Warszawy, opisując historię rodziny mieszkającej w owym różanym ogrodzie. (Była nauczycielką prawnuczki Bronisława Gałczyńskiego. On sam zaś był wujecznym bratem pisarki, Marii Dąbrowskiej, która zresztą bywała w Piasecznie.)

Pani, która podeszła do mnie na targach, zapewniła, że ogród Bronisława Gałczyńskiego istnieje, mimo upływu czasu. Przetrwał wojnę, nic go nie zniszczyło. Jeśli tylko zechcę, mogę pojechać do Piaseczna i obejrzeć wszystko; róże kwitną tam do dziś. Postanowiłyśmy z córką udać się tam lada dzień — kwitnienie róż zbliża się właśnie do apogeum — i obejrzeć to magiczne miejsce. Po powrocie, rzecz jasna, napiszę o wszystkim!

A dziś mogę opowiedzieć o jeszcze jednej rzeczy miłej — przemilej! — która mi się przydarzyła. Dostałam list od Czesława Miłosza. W kopercie były dwie stroniczki, odbite na ksero, opatrzone notatką, nakreśloną pismem tak znanym i charakterystycznym: Stanisław Jarocki — „Okolice Wilna”, 1925. Czytam — i oczom nie wierzę: rozdziałik nosi tytuł: Borejkwoszczyzna.

„Zbiórka na Placu Katedralnym. Idziemy ulicami: Zamkową, Wielką, Ostro–Bramską, Beliny, Traktem Lidzkim i Traktem Oszmiańskim (pierwszy spotkany za Wilnem trakt na lewo), dalej przez Niemież, Ogrodniki, Kotłówkę do Borejkwoszczyzny. Kierunek wschodni, odległość 16 km (...). Na szczycie płaskowzgórza miasto się kończy... Droga rozdziela się w kierunku południowym, wiodzie do: Jaszun, Bieniakoń i Lidy, w południowo–wschodnim zaprowadzi nas do Borejkwoszczyzny.

Z okolic Wilna droga ta jest najmniej ładna, okolica płaska, lasy ukazują się z dala... Smutny Trakt Napoleoński, po którym szła wielka armia przez Oszmiany, Mińsk, Orszę, Smoleńsk, do... Moskwy.

Przez długie wieki trakt ten był główną linią komunikacyjną między Polską a Moskwą. Tędy gnano na Sybir tych, którzy pragnęli być Polakami... Ileż ta droga ma wspomnień? ... Ile krwi i łez przelano wzdłuż tego traktu?...

Pejzaż ożywia się dopiero w okolicy Niemieży: silnie zarośnięty park, wioska ukryta w zieleni, meczet na tle drzew robią nadzwyczaj miłe wrażenie...”

Stroniczki te sprawiły mi ogromną przyjemność — ale oprócz tego wywołały wielką rodzinną sensację: w tej samej bowiem Niemieży pod Wilnem, w tym zapewne parku, a ściślej — w pałacu, pośrodku parku ukrytym, w czasie wojny zamienionym na schronisko Czerwonego Krzyża, zamieszkał leśnik, Tadeusz Musierowicz, z żoną Haliną i dwojgiem dzieci. W październiku 1941 roku urodził się im — w tym właśnie pałacu, w suterenie, gdzie mieszkali — syn Bolesław.

Czyli — mój mąż.

Gdybym wymyśliła podobny zbieg okoliczności dla potrzeb powieściowych, nikt by w to po prostu nie uwierzył. Takie rzeczy — powiedziano by — nie zdarzają się w życiu.

A przecież właśnie się zdarzają. Mój przyszły mąż urodził się w okolicy Borejkwoszczyzny — i do dziś o tym nie wiedział. Ja też nie! (nie wiem nawet, bo mam tylko dwie stroniczki przewodnika, czy jest to miasteczko, majątek, czy wręcz powiat?) — a jednak dałam bohaterom swoich powieści nazwisko Borejko. prawda, nie wzięło się ono znikąd: miałam miłych sąsiadów o tym nazwisku. Ale nie umiem sobie tego wszystkiego racjonalnie wytłumaczyć.

I jak tu, wśród takich wydarzeń, pamiętać o pisaniu felietonów?

Uprzejmie proszę o usprawiedliwienie.

NIESPODZIANKA

Całkiem możliwe, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, że więcej, niż nam się wydaje, zależy w życiu od naszych oczekiwań. Cuda zdarzają się tym, którzy w nie wierzą. Opilki lgną do magnesu. Fala wypełnia dokładnie zatoczkę w piasku, treść wypełnia formę. Tajemnicze wydarzenia, zagadki i zaskakujące zbiegi okoliczności pojawiają się w życiu tych właśnie ludzi, którzy bardzo je lubią i nawet sami je wymyślają. Należę do tego grona, co pewnie ma za przyczynę fakt, że jako dziecko byłam baśniożercą. Dobrych parę lat przesiedziałam murem w dziecięcej filii Biblioteki Raczyńskich. Byłam jej stałą, najwierniejszą bywalczynią. Przychodziłam zaraz po obiedzie, wybierałam z półki kolejny zbiór baśni, siadałam w czytelni i nie wychodziłam wcześniej niż wieczorem. Pochłaniałam tom za tomem z regału opatrzonego tabliczką „Baśnie” — antologie, wybory, zbiory, wydania wielotomowe oraz broszurowe. Wychodząc, wstępowałam do wypożyczalni, by zabrać ze dwie książki: jedną do czytania w łóżku, a drugą — do szkoły. W otaczającej mnie rzeczywistości PRL-u lat pięćdziesiątych przebywałam właściwie tylko skrawkiem duszy — z całą jej resztą pogrążona byłam w świecie cudów, czarów, dziwacznych stworów, syren, królewien i smoków, przypowieści, zaklęć czarodziejskich, alegorii, pieśni rycerskich i wyrazistych morałów. Na dalsze lata wyniosłam z lektury baśni przekonanie, że za każdym rozstajem dróg znajduje się nowa zagadka, i że na szklaną górę trzeba się wdrapywać nie bacząc na trudy i koszty, i że złą czarownicą nie trzeba się przejmować, bo z reguły ginie ona od własnej trucizny, i że każdy smok ma słabostkę — a jest nią pycha — która prowadzi go do zguby. Przekonanie to zostało potem wielokrotnie potwierdzone przez życie, więc baśnie lubię do dziś. Nawiasem mówiąc — skoro mowa o smokach — po drodze natknęłam się na „Baśnie dla dorosłych” Jewgienija Szwarca, przełożone z rosyjskiego przez Jerzego Pomianowskiego i przez niego też opatrzone prześliczną, mądrą i zajmującą przedmową. Książkę wydało Wydawnictwo Literackie, w roku nie wiem którym, bo już dawno zgubiłam okładkę — a zilustrował Daniel Mróz. Polecam Wam bardzo tę książkę, jeśli jeszcze gdziekolwiek ją znajdziecie. Warto przeczytać te piękne i pełne prawości baśnie sceniczne — może zresztą jeszcze kiedyś Wam o nich napiszę. A dziś — ciąg dalszy serialu o Borejkowszczyźnie, rozpoczętego w poprzednich „Frywolitkach” cytatem z przysłanych przez Czesława Miłosza stroniczek książki „Okolice Wilna”. Ledwie o nich napisałam, poczta przyniosła mi — jak to baśniożercy — niespodziankę w postaci listu od pana Adama Wiercińskiego. Pamiętacie go zapewne? Polonista, wykładowca uniwersytecki z Opola, autor omawianej przez „Frywolitki” książki „Przywracanie pamięci”, poświęconej Kresom, publicysta, walczący o czystość języka polskiego, nasz stały Czytelnik i Korespondent. *„Przeczytałem felieton z zakończeniem wspaniałym i prawie nie z tej ziemi” — pisze pan Wierciński. „Znalazłem trochę wiadomości o Borejkowszczyźnie i Niemieży. Załączam stosowne odbitki i kopię mapy (niemieckiej sztabówki, sprokurowanej z polskich map przedwojennych)”*.

Tu właśnie baśniożerca otrzymuje swoją porcję stawy: cuda i dziwy, zbiegi okoliczności, zaskakujące wiadomości. Pierwsza ze „stosownych odbitek” pochodzi z „Ilustrowanego przewodnika po zabytkach kultury na Litwie” Grzegorza Rękowskiego (wyd. 1999 — przegapiłam, ale zaraz kupię!) i czytamy w niej: *Borejkowszczyzna (Bareikiškes) okręg Wilno, rejon Wilno. „Dwór na terenie dawnego folwarku należącego w XIX w. do rozległych dóbr Tyszkiewiczów z Niemieży. W r. 1853 dzierżawcą folwarku został znakomity poeta Ludwik Kondratowicz, używający pseudonimu Władysław Syrokomla (1823–1862), który mieszkał tu i tworzył do 1862 r. Odwiedzali go tu liczni przedstawiciele wileńskiej inteligencji, m.in. pisarz Ignacy Chodźko, poeta Antoni Edward Odyniec, malarz Wincenty Dmochowski, archeolog*

Eustachy Tyszkiewicz, i in. Ze względu na patriotyczne wystąpienia publiczne poety władze carskie w l. 1861–62 nałożyły na Syrokomlę areszt domowy. Wobec gwałtownie postępującej choroby pozwolono mu w lipcu 1862 wyjechać do Wilna, gdzie wkrótce zmarł. Drewniany dwór w Borejkwoszczyźnie zbudowany został na początku XIX w. Jest to budowla parterowa, wzniesiona na kamiennej podmurówce na planie prostokąta, z niedużym gankiem od frontu, nakryta naczółkowym dachem. W pobliżu dworu znajduje się kamienne młyńskie koło, umieszczone tu przez poetę oraz granitowy pomnik w kształcie stołu, postawiony w 1897 r. ku czci Syrokomli, z wrytym wizerunkiem liry i napisem w języku polskim. W l. 1919–1969 w dworze mieściła się szkoła, a od 1969 r. jest tu biblioteka. W jednym z pomieszczeń dworu znajduje się ekspozycja muzealna upamiętniająca poetę, urządzona w 1975 r., w 150-tą rocznicę urodzin Syrokomli”.

Stroniczka zaś, skopiowana z „Przewodnika po Litwie i Białejrusi” wydanego w Wilnie w roku 1909, przynosi jeszcze trochę szczegółów: „Borejkwoszczyzna, niewielki był to folwarczek za życia Wł. Syrokomli, który mu wynaleźli przyjaciele, jako cichy a malowniczy wiejski zakątek. Należy do klucza Niemieżańskiego dóbr Ben. hr. Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu (gub. kowieńska). Za Syrokomli liczył 2 i pół włóki roli i łąk oraz 2 poddanych, dziś — 5 włók. Leży przy trakcie osmiańskim, na 14 wiorście w prawo od gościńca z Wilna.

Od śmierci »Lirnika« folwark stale pozostaje w rękach pp. Markiewiczów, dzierżawców, którzy są z prawdziwą czcią dla pamięci zasłużonego poety. W r. 1897 grono wielbicieli talentu Syrokomli wniosło tu, w Borejkwoszczyźnie, swoim kosztem stół pamiątkowy z granitu z odpowiednim napisem. Przechowuje się również w ogrodzie oryginalny stół z kamienia młyńskiego, przy którym, jak niesie tradycja, Syrokomla rad siadywał i pracował w cieniu gruszy”.

Zapewne i Wy, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, poznaliście, jak ja, w szkole, gawędę Syrokomli „Urodzony Jan Dęboróg” — i, być może, jak ja na niej poprzeszaliście. Lecz zaraz zajrzałam do źródeł i oto, co mam dla Was na temat Władysława Syrokomli, a właściwie: Ludwika Kondratowicza, syna ubogiego szlachcica ze Smolhowa na Białorusi: nauki pobierał u dominikanów w Nieświeżu, a potem — w szkole powszechnej w Nowogródku. Skończył piątą klasę — i dalej ani rusz. Przez trzy lata począwszy od 18 roku życia, pracował jako kancelista. Potem ożenił się i zadebiutował jako literat (gawędą „Pocztylion”). Zawód pisarski stanowić miał odtąd podstawowe, choć nie zawsze wystarczające, źródło utrzymania dla coraz liczniejszej rodziny Władysława Syrokomli. Musieli mu dominikanie nieźle wpoić łacinę, skoro w ciągu jednego roku przełożył sześć tomów poezji polsko-łacińskiej (Kochanowskiego, Janickiego, Klonowica i Sarbiewskiego). Ledwie z tym skończył, już wydał w roku 1853 — tom „Gawęd i rymów ulotnych”, zarys „Dziejów literatury w Polsce” (dwa tomy), a potem mnóstwo innych dzieł, które, przyjęte życzliwie, zapoczątkowały rosnącą z czasem popularność „Lirnika wioskowego” — jak sam się nazywał.

Nawiązawszy kontakty z elitą intelektualną Wilna, Syrokomla wydzierżawił w jego pobliżu folwark Borejkwoszczyzna i przeżył w nim dziewięć lat, z czego rok ostatni — w areszcie domowym. Na ilustracji w książce „Kresy” z serii „A to Polska właśnie” widać, że dwór Borejkwoszczyzna to po prostu skromna, nieduża chatka, tyle, że z gankiem i kolumienkami. W tej to chatce poeta tworzył, zapewne wśród gwaru potomstwa, „rymy ulotne”, gawędy, a nawet dramaty historyczne. Rozgłos i uznanie zyskał nie tylko w okolicach Wilna, lecz i w Warszawie, i w Krakowie, i nawet w dalekim Poznaniu! W czerwcu 1858 roku, w obecności bawiącego w Poznaniu Syrokomli, przy okazji premiery jego dramatu, doszło w tutejszym teatrze do manifestacji uczuć patriotycznych. Publiczność zgotowała olbrzymią owację, po czym, przy wtórce orkiestry, odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego”. Tyle wyczytałam dla Was w różnych księgach i teraz wiem na pewno, że Borejkwoszczyzna ma z Poznaniem dawne i gorące związki uczuciowe!

CO DOBREGO?

Nic dobrego. Mamy wojnę, prowadzoną w imię Boga. Powołują się na niego obie strony konfliktu. Ludzie giną też po obu stronach.

Mamy nową władzę w Polsce i w związku z tym męczy nas czkawka. Mamy perspektywę na cztery lata, wypełnione — obym się myliła! — kłamstwem i arogancją. To może być, zresztą, więcej niż cztery lata. Kto wie.

Tymczasem Redakcja „TP” życzy sobie, żebym nie zaniedbywała pisania felietonów. Ale jak tu pisywać pod programowo beztroską winiętką „Frywolitek”? To nie jest dobra winiętka na takie czasy. Ale czy była dobra na jakiegokolwiek inne? Prawdę mówiąc, zawsze mi trochę przeszkadzała. Bywały chwile, że ani rusz nie pasowała do bieżących wydarzeń. To właśnie wtedy nie wywiązywałam się z pisania.

Spróbuję jednak przemóc zły nastrój i złe przeczucia — i wywiązywać się, lecz jednak nie pod starą winiętką. To pod tym nowym, dyskretnym i pojemnym „F”, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, będą się odbywały nadal nasze spotkania. Tyle że niekoniecznie beztroskie. Jak się stanie coś złego, to przynajmniej sobie ponarzekam. Ale nie omieszkam Was powiadomić, gdy się zdarzy coś dobrego.

A czy się zdarzy?

— Na pewno! — mówi z przekonaniem moja Mama, patrząc na mnie krytycznie znad okularów. Leży sobie z książką w wygodnym fotelu ogrodowym, w ciepłe, na tarasie załanym słońcem. Za tarasem jarzą się dale w kolorze starego złota i październikowe marcinki w dwóch odcieniach jasnego fioleto. — Zawsze się zdarza coś dobrego. Nie łam się, tylko pisz! — cmoka z niezadowolaniem i przewraca kartkę „Elementarza księdza Twardowskiego”. — Bierz przykład z księdza Jana, ten się nigdy nie łamie — znów zerka na mnie, po czym czyta w głos: — „*Trwoga jest mądrą nauczycielką, która mówi: Widzisz, tylko Bóg jest najważniejszy*”.

— Czyj Bóg? — pytam posepnie.

A Mama kontynuuje: — „*Miłość jest dla mnie świadectwem istnienia Boga. Nie wymyślił mi jej, była przed naszym urodzeniem*”. Zastanawiam się, czy Mama wybrała te cytaty specjalnie — ale nie, niemożliwe, przecież akurat przed chwilą zwróciła mi „Elementarz” spod ręki (jak wiadomo, najciekawsze są te książki, które ktoś inny właśnie czyta).

Przez trawnik przemyka wiewiórka — przystaje, śle mi bystre spojrzenie i znika w gałęziach świerka. Trudno się do niej nie uśmiechnąć. („*Tymczasem życie podrzuca nam małe uroczyste niespodzianki, na które warto zwrócić uwagę*”). Żółty listek rdestu, zarastającego taras od góry, spada lekko na stół, obok listu od profesora Andrzeja Sulikowskiego. „*Drożej Pani przesyłam serdeczne pozdrowienia. Czytam Frywolitki i dzięki nim bardziej jeszcze niż zwykle Kocham kwiaty. Bardzo proszę o polecenie naszej sesji młodym znajomym*”. Dobrze! Chętnie! No, to już! — ogólnopolska konferencja naukowa z cyklu Szczecińskie Spotkania Studenckie w tym roku nosi tytuł: „*Wokół twórczości ks. Jana Twardowskiego*” i odbędzie się w dniach 13–15 listopada 2001 w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Szczecińskiego. Zgłoszenia referatów należy nadsyłać na ręce profesora Sulikowskiego. Są to naprawdę bardzo odpowiednie ręce. Kiedyś otrzymałam od profesora jego książkę — „*Świat poetycki ks. Jana Twardowskiego*” (KUL, Lublin 1995) i przeczytałam ją z zajęciem i największym dla siebie pożytkiem, zakreślając mnóstwo fragmentów i stawiając mnóstwo wykrzykników na marginesach. Teraz muszę wymazywać je gumką, bo urosła mi w domu studentka polonistyki, która też by sobie chciała pozaznaczać ważne akapity. Obie uznajemy, że słusznie profesor urządza u siebie tę sesję, choć ja dałabym głowę, że

najukochańszy współczesny poeta Polaków reaguje popłochem na myśl o poświęconej mu uczonej Konferencji.

— Pisziesz? — pyta moja Mama od niechcienia — Pisz sobie, pisz. Nie chcę ci przeszkadzać, ale posłuchaj: „*Nie można nie dostrzegać zła na świecie, bo ono jest bardzo groźne i ponure. Ciekawe że zło, które fascynuje, wydaje się bardziej inteligentne niż dobro. Dopiero później zło zupełnie się kompromituje i ośmiesza. Natomiast dobro, choć przemilczane, lekceważone, z biegiem lat szlachetnieje*”. Mądry człowiek! — podsumowuje radykalnie Mama. — No pisz sobie, pisz.

Ale ja nie piszę. Wstaję i idę na tyły domu, gdzie mroczny brunet w kraciastej koszuli i gumiakach przez pół dnia wyrównywał ziemię spychaczem. Jakoś tam nagle ucichło — pewnie skończył już pracę i trzeba mu zapłacić.

Wychodzę zza krzaka bzu na pełne słońce, mrużę oczy. Pachnie tu świeżą ziemią. Brunet stoi obok maszyny, podwija rękawy. Właśnie przyszła jego żona z trzema synkami. Najmłodszy ma jasne włoski. Matka postawiła go na ziemi i malec drepcze chwiejnie w stronę ojca. Ten pochyla się i czeka, wyciągając ręce. Podnosi dziecko, kołysze i przytula nieogoloną twarz do jego główki. Uśmiecha się. Jaki piękny uśmiech!

Zawsze się zdarza coś dobrego.

OJCIEC I SYN

Ohydny Typ z Warszawy — nasz uważny Czytelnik i wnikliwy krytyk — wyznaje, że teksty „o tematyce filozoficzno–polityczno–martyrologicznej” czyta ostatnio „mniej uważnie”. Żeby odmienić ten stan rzeczy, zaleca mi przejście w lżejszą tonację, bardziej zgodną z porą roku. Uslucham jak najchętniej tego głosu rozsądku! Jakże inaczej można pisać, siedząc pośrodku trawnika, u schyłku pięknego letniego dnia? Wokół odbywają się fantastyczne spektakle — przepływają chmury, kołują ptaki, nieustannie i cicho wzrastają drzewa, a rabata pachnących róż — żółtych i ognistych — zamyka widok na grupę cisów. Jest ciepły, spokojny wieczór i w powietrzu unosi się zapach dziesiątek lilii „African Queen”. Zaraz będę to wszystko podlewać. Jestem całkowicie szczęśliwa.

Oczywiście jest chyba, że nie mamy tu telewizora! Radio jest, ale używamy go do słuchania „Dwójki” lub do odtwarzania płyt CD. Gazet w sklepiku zawsze brakuje, ale nikt z tego powodu nie ubolewa. Jeśli chodzi o lektury, zaopatrzeni jesteście obficie. Minionej nocy — bezsennej z powodu upału, świerszczy i księżycy — przeczytałam „Rocznika” Marjorie Kinnan Rawlings (w przekładzie Adama Galisa, „Nasza Księgarnia” 1959). Notabene, dawno już nie widziałam w książce dla dzieci ilustracji tak mistrzowskich, jak te syntetyczne, lekkie, pozornie niedbałe szkice piórkiem — dzieło artysty, który już wtedy był wielki, Józefa Wilkononia.

Kupiłam tę książkę niedawno, w antykwariacie. Nie czytałam jej nigdy dotąd, wiedziałam jednak, że powinna się znaleźć w wielkiej kolekcji najlepszych dzieł literackich dla dzieci i młodzieży (zbieram je od lat). Mam w tej kolekcji prawdziwe skarby. Nie domyśliłam się, że i „Rocznik” jest skarbem — postanowiłam go przeczytać w wakacje, bo tuż przed wyjazdem obejrzałam w TV film, nakręcony według tej powieści, w którym rolę Penny’ego grał Gregory Peck.

Bardzo lubiłam tego aktora i z żalem przyjąłam wiadomość o jego śmierci. On sam mówił o sobie: „Chciałbym, żeby ludzie, którzy kiedyś zobaczą w telewizji mój film, czuli się tak, jakby wpadł do nich w odwiedzinach stary przyjaciel”. Na pewno tak jest i długo będzie. Peck — bardzo przystojny, męski, powściągliwy i nieco oschły — miał w sobie szlachetność i prawość, wzbudzające zaufanie. To dlatego był tak przekonujący w roli adwokata Atticusa (w filmie „Zabić drozda”), która przyniosła mu sympatię milionów widzów.

Ale jak można było obsadzić go w roli Penny’ego Baxtera w „Roczniku”? — autorka powieści na pewno nie raz przewróciła się w grobie. Penny, ojciec Jody’ego, jest mały, cherlawy i słaby, cierpi na reumatyzm. W książce Rawlings nikt nie jest przystojny, nienaganny, szlachetny. Ludzie są tu wiecznie brudni, utyłani błotem, głodni, dzicy i śmiertelnie zmęczeni zmaganiem z przyrodą, walką o przetrwanie. Nieustannie polują, zastawiają sidła, bronią się przed wilkami, gromadzą zapasy żywności, harują na roli. „Zabij, albo gin z głodu!”. Tę powieść, powstałą w innym świecie i w czasach innych niż nasze, cechuje brutalna szczerłość, choć autorka nie musi w tym celu przekraczać granicy dobrego smaku. „Rocznik” napisany jest znakomicie. Ma klarowną, bezbłędną konstrukcję, styl prosty i wysmakowany, pełen umiaru, język celny, plastyczny i bogaty, charaktery soczyste i żywe. Trafne i funkcjonalne opisy dzikiej puszczy na Florydzie, ledwie kilka pokoleń temu opuszczonej przez Hiszpanów, zapierają dech w piersiach. „Rocznik” to jedna z tych nieśmiertelnych powieści dla młodzieży, które chwytają za serce, poruszają wyobraźnię i uczą świata, opowiadając najzwyklejsze, proste historie. Te bowiem okazują się najlepszym środkiem do przekazania prawdy o życiu, stają się swoistymi po nim przewodnikami. Marjorie Kinnan Rawlings opowiedziała taką prostą, tragiczną historię. Jej talentowi, sercu,

umysłowi i cechom charakteru zawdzięczać należy, że napisała arcydzieło.

Prosta historia jest taka: żyjący w puszczy chłopiec, syn farmera, znalazł osieroczonego jelonka. Zaprzyjaźnił się z nim — i była to przyjaźń wierna i bezwarunkowa, lecz (bardzo to prawdziwe) — jednostronna: przyjaźń altruisty z egoistą. Kiedy zwierzę dorosło, sprawy się skomplikowały. Powódź i huragan zniszczyły zbiory, a oswojony jelonek zaczął zjadać nowe zasiewy. Rodzice nakazali Jody'emu, by zabił jelonka, ale chłopiec nie wykonał polecenia. Wtedy matka sięgnęła po strzelbę — lecz chybiła. Jody sam musiał skrócić męczarnie rannego przyjaciela, i zrobił to, patrząc mu w przerażone oczy, po czym, zszokowany i zrozpaczony, uciekł z domu. Doświadczwszy tułaczki, bliski śmierci głodowej, wrócił na farmę, gdzie zastał ojca postarzałego i schorowanego, i gdzie zrozumiał, że przyszła jego kolej na wzięcie odpowiedzialności za byt rodziny. *„Ale to nie szkodzi. On, Jody, poradzi sobie sam”*.

„Zaczął nasłuchiwać, czy nie usłyszy jelonka, jak biega dokoła domu lub porusza się na mchu w rogu izby... Nie, już nigdy go nie usłyszy. Ciekaw był, czy matka przykryła czymś zwłoki Flaga, czy też myśzółowy poradziły sobie z jego martwym ciałem. Flag... Jody nie wierzył w to, by mógł kiedyś równie silnie pokochać kogoś, mężczyznę, kobietę lub własne dziecko, jak kochał tego jelonka. Chciał być zawsze sam. Lecz prawdziwy mężczyzna przyjmuje swój los i idzie naprzód.

Przed zaśnięciem Jody zawołał:

— Flag!

Lecz nie był to jego własny głos. Był to głos chłopca. Gdzieś poza kotliną, za magnolią, pod dębami biegli tuż obok siebie — ów chłopiec i roczniak — i znikli na zawsze...”

Tak się kończy książka pani Rawlings. Nic o niej nie wiem. Kim była ta osoba, która знаła okrutny świat na wylot, a jednak potrafiła go kochać? Spod jej pióra wyszła jedna z najpiękniejszych książkowych rozmów ojca z synem — tak wiele mówiąca o niej samej, o autorce. Kiedy Jody wraca na farmę, najpierw wita się z ojcem i zaspokaja głód, a potem, symbolicznie, zmywa z siebie wielodniowy brud tułaczki. Wtedy ojciec zwraca się do niego:

„Chcę pogadać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną. Myślałeś, że straciłem serce do ciebie, ale oto jest rzecz, której musi się dowiedzieć każdy mężczyzna. (...) Chłopcze, to samo życie odwróciło się od ciebie, zemściło się na tobie. (...) Przekonałeś się, jak się rzeczy mają w świecie dorosłych. Widziałeś ludzi podłych i złych, zaglądałeś w oczy śmierci i jej zasadzkom, siedziałeś z nią przy jednym stole. Każdy człowiek chciałby mieć życie przyjemne i spokojne. Życie jest piękne, bardzo piękne, chłopcze, ale niespokojne. Bije w człowieka, zwala go z nóg, człowiek wstaje na nogi i znów pada pod jego ciosem. Ja nie zaznałem nigdy spokoju. (...) Serce boli mężczyznę, gdy widzi swe dziecko w niezgodzie ze światem, wie bowiem, co je czeka, gdyż sam to przeżywał. Chciałem ci oszczędzić tych trosk tak długo, jak tylko się dało. Chciałem, byś się radował swym roczniakiem. Wiedziałem, że był towarzyszem twojej samotności, ale każdy człowiek jest samotny. Więc cóż ma czynić? Cóż ma czynić, gdy życie zwala go z nóg? Przyjąć swoją dolę i robić dalej swoje”.

Czy dzisiejsi ojcowie potrafią uczyć synów tego najprostszego męstwa? — zastanawiam się. Jeśli potrafią, niech nie czytają synom tego lata „Rocznika”. Jeśli nie — cóż, będą musieli pochodzić po antykwariatach.

„KIEDYŚ W POLSCE”

*To co dziś, to co dopiero —
Już przeszłością teraz.
W głębokiej dolinie
Wszystko w mroku ginie.
Teraz — a już kiedyś,
Kiedyś w Polsce.*

Ten fragment wiersza Aharona Cejtlina, zamieszczony w katalogu przez panią Renatę Piątkowską, kuratora (wraz z Arturem Tanikowskim) wystawy „Nasi bracia starsi”, uczepił się mojej pamięci na dobre i towarzyszył mi jak nawracający refren przez cały wieczór. Wyjątkowo trafnie dobrany, w pełni oddaje wrażenie, które sprawia ta niezwykła wystawa. Sto znakomitych obrazów, grafik i pastelów (stanowiących zaledwie pięć procent zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego) wyeksponowano na wysokich, starych ścianach najpiękniejszej poznańskiej galerii („U Jezuitów”), niedaleko miejsca, gdzie przed wojną mieściły się dwie synagogi. Wystawa porusza do głębi. Obraz świata polskich Żydów, widziany ich oczami i przez nich samych uwieczniony, świata, który już zginął w mroku „głębokiej doliny”, uderza siłą wyrazu, drobiazgowością detalu, prawdą i siłą nastroju, a przede wszystkim — mocą talentów zapomnianych żydowskich twórców, żyjących obok nas, „kiedyś, w Polsce”.

„Przez stulecia obie społeczności — żydowska i polska — żyły obok siebie i niewiele o sobie wiedziały. Niewiele chciały wiedzieć. Zabobony były podnoszone do rangi doktryny politycznej, a nawet państwowej” — mówił na otwarciu wystawy w klasztorze jezuitów w Poznaniu dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, prof. dr Feliks Tych. — *„A dzisiaj coraz więcej ludzi chce wiedzieć. Ubolewać należy, że ta wola poznania żydowskich braci pojawiła się wtedy, gdy już prawie nie było komu się przyglądać. (...) Nie tworzę sobie iluzji. Wiem, że wielu myśli jeszcze o Żydach dawnymi stereotypami — tak jak przed kilkudziesięciu laty. Ale wiem również, że coraz więcej ludzi myśli tak, jak inicjatorzy tej wystawy. Tacy ludzie istnieli zawsze, ale teraz jest ich więcej. Są bardziej widoczni. I to jest właśnie budujące”*.

Siódmy już Dzień Judaizmu, organizowany przez Kościół Katolicki w Polsce, tym razem odbył się w Poznaniu — z wielkim rozmachem, z wielkim staraniem i bardzo porządnie, a ponadto — z dużą szczodrością: zamiast jednego Dnia mamy ich pięć, a wszystkie po brzegi wypełnione wydarzeniami wielkiej rangi. *„Dzień ten jest przede wszystkim czasem wzajemnego poznania, refleksji i modlitwy nad tajemnicą duchowych więzi, łączących judaizm i chrześcijaństwo. (...) Dzień taki przypomina nam, że chrześcijaństwo z natury swej niesie zobowiązanie do dialogu, dzięki któremu możemy lepiej zrozumieć nie tylko to, że jest niegodziwością współtworzenie kultury, w której jeden człowiek dla drugiego jest wilkiem, ale i to, że mamy stawać się dla innych — ludzi, ras, klas, narodów, kultur — błogosławieństwem”* — to słowa Arcybiskupa Metropolity Poznańskiego, Stanisława Gądeckiego.

Wracając do wystawy „Nasi bracia starsi” chciałoby się prosić organizatorów, by pokazali ją we wszystkich polskich galeriach. Z pewnością wielu chciałoby się zapoznać z tymi niezwykłymi, oryginalnymi i wzruszającymi skarbami, dziełami nieznanymi już twórców. Wszyscy wiemy, kto to był i jak malował Jan Gotard, Maurycy Gottlieb czy Roman Kramsztyk — ale jak wielu spośród nas zna nazwiska takich wielkich malarzy jak Mojżesz Rynecki, Maurycy Trębacz, Artur Markowicz, Wilhelm Wachtel czy Samuel Hirschenberg? Małeńki (21x31) obrazek olejny tego

ostatniego twórcy — „Licytacja” — przykuł moją uwagę na bardzo długo, tak cudownie jest malowany — swobodnymi, skrótowymi dotknięciami pędzla, tak odkrywczym zakomponowaniem, tak pełnym dramatyzmu i tak niezwykle rozkładającym światła i cienie. Wilhelm Wachtel z kolei, choć mniej może odkrywczym formalnie, jeszcze akademicki, jest autorem najbardziej poruszających i nośnych tematycznie obrazów („Modlitwa Kol Nidre”) oraz litografii z cyklu „Pożegnanie z Golusem”. Wśród tych grafik szczególnie jedna jest wyjątkowo mocna: ta, przedstawiająca miasteczko po pogromie, ze splądrowanymi i zniszczonymi sklepikami, z trojgiem upokorzonych, zrozpaczonych Żydów na pierwszym planie. Pośrodku, pomiędzy nimi, stoi smutny Chrystus — w myce i żydowskiej, prostej szacie, z ranami męczeństwa na bosych stopach. Bezradnie rozkłada ręce i zwiesza głowę, pełen współczucia i bólu. Artur Tanikowski w bardzo ciekawym wstępie do katalogu wystawy dość obszernie omawia temat „Żydowskiego Chrystusa” (wszystko się zaczęło od „Życia Jezusa” Ernesta Renana, 1863), daje też zresztą mnóstwo ciekawych informacji o poszczególnych dziełach. Z pięknego tekstu pani Renaty Piątkowskiej wynika z kolei, że szczególnie cennymi eksponatami są niepozorne, malutkie portrety sławnych rabinów, wykonane przez anonimowych artystów na zamówienie lwowskiej Gminy Żydowskiej.

Najcenniejszym efektem całej wystawy jest nieoczekiwane żywy zbiorowy portret niegdysiejszych polskich Żydów, ukazanych we wszystkich aspektach życia — przy zabawie, przy pracy, w rodzinie i przy modlitwie. Życie, tętniące „kiedyś w Polsce” zostało tu zatrzymane wbrew przeznaczeniu, czasowi i historii, jak w fotograficznym kadrze, lecz wyniesione wyżej tym, „jeszcze czymś”, co odróżnia malarstwo i grafikę od najlepszej choćby fotografii: osobistym widzeniem i przedstawieniem, fizycznym dotykaniem, własną impresją, przefiltrowaną przez duszę, osobowość i talent.

Muszę jeszcze wspomnieć o świetnej litografii Wilhelma Wachtela — „Dysputa”. Zdobi ona zaproszenie na wernisaż —bardzo to słuszny wybór. Na tej grafice przedstawione są dwie pogrążone w uczonej rozmowie postacie o twarzach uduchowionych i myślących: rabin i zakonnik, nachyleni nad Księgami. „*Szkoda, że każdy nad swoją*” — powiedział celnie pan Artur Tanikowski.

Ale przecież i tak dobrze, że ludzie uduchowieni i myślący toczą tę dysputę. Powinni toczyć ją nadal — nieustannie. Po pierwsze dlatego, że to naprawdę — bu d u j ą c e . A po drugie: żeby ocalić świat przed pustką, bo właśnie w pustce lęgną się demony. Jestem przekonana, że najpierw rodzi się demon głupoty, potem — cynizmu. A już zaraz za nimi — demon zagłady.

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Pojechałam z córką na Litwę i już na samym początku tej podróży utraciłam przejściowo stan błogosławionej równowagi ducha, tak starannie wypracowany przez długie, piękne lato. Otóż po całym dniu jazdy samochodem zanocowałyśmy sobie w Augustowie, w hotelu, gdzie naprzeciwko łóżek stał wielki telewizor. Tego wieczoru ukazał się w nim niejaki Kuba Wojewódzki ze swym programem. Pilot gdzieś mi się zapodział, córka brała prysznic. Chcąc nie chcąc, musiałam się więc zapoznać z wypowiedzią zaproszonego do programu gościa, Cezarego Pazury (to jest artysta scen polskich i polskiej telewizji, bohater serialu „13 posterunek”; w każdym sklepie spożywczym można nabyć płytę CD z czytanyymi przez tego artystę bajkami, dołączoną do pudełka margaryny „Rama”). Tamtego wieczoru w Augustowie mistrz Pazura niczym nie przykuwał mej uwagi do momentu, gdy w ostrych słowach zaczął potępiać poemat epicki Adama Mickiewicza i sugerować, że młodzież powinna wziąć pewne sprawy we własne ręce. — Szkoła chce wam kształtować smak!!! — alarmował, przejęty grozą do głębi swej duszy. — Nie czytajcie „Pana Tadeusza”! — przestrzegał. W miejsce tej nudnej ramoty mistrz zalecał młodzieży zapoznanie się z dziełem, które sam niedawno przeczytał (zdaje się, że coś nawet mówił o jego odkryciu i o tym, że sam je wystawi czy zekranizuje, i sam w nim zagra) — chodziło o „Nienasycenie” Witkacego. Wszystkim tym rewelacjom towarzyszyła staranna mowa ciała muskularnego artysty, ubranego w obcisły podkoszulek i opięte porteczki. Jakim sposobem mistrz zdołał nasycić swe uwagi o literaturze tak licznymi przaśnymi podtekstami erotycznymi, pozostanie tajemnicą jego warsztatu. Ja tego na pewno wyjaśnić nie potrafię, bo umknęła mi zasada porządkująca jego występ. Może jej nie było? A może po prostu nie było czego zapamiętywać. Utrwaliło mi się tylko to wyklinalanie „Pana Tadeusza” (pewnie dlatego, że właśnie czytałam „Rekonstrukcję procesu filomatów i filaretów”, pracę Jerzego Borowczyka z poznańskiego UAM). Było tak bardzo charakterystyczne dla obowiązującego obecnie w naszej ojczyźnie błazeństwa i kiczu oraz kompletnego braku samokrytycyzmu!

Żeby się dalej nie denerwować, wstałam i wyłączyłam telewizor ręcznie, po czym powróciłam do lektury tego grubego tomu (Poznań 2003, Wyd. Naukowe UAM). Pierestrojka umożliwiła p. Borowczykowi poszukiwania w archiwach Wilna i Petersburga. Odnalazł tam nowe materiały źródłowe; na ich podstawie odtworzył bardzo szczegółowo przebieg śledztwa Nowosilcowa w Wilnie i Wileńskim Okręgu Naukowym. No i proszę! — i na co padł mój wzrok w Augustowie? — na stronę 720, gdzie pod datą 26 sierpnia 1824 widnieje podpunkt f punktu 4 C, wydanej przez cara Aleksandra I sentencji wyroku „w sprawie filomatów, filaretów, towarzystw świsłockich, Wileńskiego Okręgu Naukowego oraz profesorów ks. Michała Bobrowskiego, Ignacego Daniłowicza, Józefa Gołuchowskiego i Joachima Lelewela”, potwierdzające rozporządzenia Rzeczywistego Rady Tajnego Nowosilcowa „względem przyczyn rozszerzenia się ducha niespokojnego w zakładach naukowych wydziału wileńskiego” — „ażeby zaprowadzone przez prof. Pelikana, w czasie jego zastępstwa rektora, książki szkolne zostawić po szkołach w użyciu, dawniejszych zaś, przez niego odmienionych szkodliwych książek, jak na przykład »Gramatyki polskiej« Kopczyńskiego, »Wyboru mowy« ... Chrzanowskiego i innych, nie tylko na nowo w użycie nie wprowadzać, ale jeśli by się gdzie znajdowały po szkołach ich egzemplarze, odebrać i zniszczyć; prócz tego książki szkolne poddać nowemu, starannemu przejrzeniu.”

W Augustowie spałam źle. Myślałam o tym, że nic mi się tak nie znudziło, jak błaznujące, podstarzałe „enfants terribles” z ich obowiązkowymi atakami na lepszych od siebie i obowiązkowymi skandalami „szargającymi świętości”, które to skandale nie mają w sobie już nic

skandalicznego, bo wszystko już było i wszystko już wolno. Teraz chciałabym doczekać skandalu nowego typu, w postaci znakomicie napisanej, porządnej polskiej powieści, albo świetnego filmu produkcji polskiej czy też wystawy malarstwa, które szokuje i zachwyca swoim kunsztem i pięknem. Tak. Bardzo bym chciała.

Na szczęście noc szybko minęła i już rano jechałyśmy dalej przez granicę i przez piękne lasy, drewniane wioseczki pełne dali i aksamitek, przez zielone łąki nad Niemnem, przez Druskienniki, do Wilna, gdzie, jak się okazało, jest zupełnie inaczej niż w naszej dzisiejszej ojczyźnie. Tych młodzieżowych grup z Polski, które widział w stolicy Litwy mój ulubiony felietonista Jacek Podsiadło, już nie zastałam pod pomnikiem Mickiewicza. We wrześniu nie widać już było na wileńskich ulicach żadnych niechlujnych, brzydkich i hałaśliwych postaci. Nie spotkałam ani jednej osoby o wulgarnej twarzy i włosach ufarbowanych na malinowo. Nie dostrzegłam też, by ktoś obnaszał koleczyk w brudnym pępku. Nikt absolutnie nie siedział na krawężnikach, nie kulił się na schodach zabytkowych kościołów, ćmiąc skręty, nikt nie wrzeszczał i nie puszczał swojej muzyki na cały regulator. Przeciwnie. Cichymi, ślicznymi uliczkami przemierzali się młodzi, kulturalni Europejczycy z Uniwersytetu Wileńskiego, a w mrocznych zaułkach nie strach było się natknąć na grupę ubogich wyrostków w obwisłych spodniach i kurtkach, gdyż ci okazywali się uprzedzająco grzeczni i udzielali informacji po angielsku. W telewizji litewskiej nie ma Cezarego Pazury ani też nawet kogoś do niego podobnego.

Obecność Mickiewicza w tym mieście jest oczywista, realna i wyczuwalna („*Na każdym miejscu i o każdej dobie...*”). Córka pokazała mi każdy kącik Wilna, nawet tę kolumnę kościoła Św. Kazimierza, za którą w „*Dziadach*” skrył się Jan Sobolewski, patrząc na ratusz (stamtąd właśnie wywożono tych, o których mówił: „*Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie*”). Sprawdziłyśmy, czy rzeczywiście mógł zza tej kolumny zarazem widzieć wnętrze opustoszałego kościoła z księdzem, wznoszącym Hostię (mógł!).

Dodam, że Wilno pięknie się odnawia, zabytki odzyskują blask, a kościół Franciszkanów (w ich klasztorze więziono filaretów), który jeszcze parę lat temu był ruiną, ma już nowy dach i otynkowaną górną kondygnację. Trwa zbiórka datków na dalszy remont.

Zachwycone i szczęśliwe wróciłyśmy do Polski, gdzie, wbrew naszym obawom, nie popadłyśmy w przygnębienie; pewnie dlatego, że z Prania na Mazurach pojechałyśmy prosto do naszego ogrodu, położonego w okolicy Pobiedzisk (powiat gnieźnieński). Nie ma tu telewizora, są za to książki i płyty. Nadmiar tych pierwszych, na zakończenie wakacji, postanowiłam przekazać Bibliotece Miasta i Gminy Pobiedziska. Tak trafiłam na panie: dyr. Elżbietę Białek (w filii dla dorosłych) i Barbarę Nowak-Słomiany (filie dla dzieci i młodzieży). Zaprosiły mnie natychmiast na głośne czytanie, które od lat prowadzi ta druga placówka. Podczas wakacji czytano dzieciom baśnie. Teraz, we wrześniu, na ogólne życzenie czyta się młodzieży „*Pana Tadeusza*”. Wystąpił już burmistrz, sekretarz rady miejskiej, nauczycielki i co odważniejsze mamy. Będą czytali: zastępca burmistrza i siostra dyrektorka z liceum Sacre Coeur. Ja mogłabym się zająć Księżą Dziesiątą, która właśnie przypada na piątek.

Z duszą na ramieniu pojawiłam się w piątkowy wieczór przed budynkiem biblioteki i ujrzałam tłum — naprawdę tłum — młodzieży, ciągnącej ze wszystkich stron miasteczka. W pełniutkiej sali, w ciszy i spokoju, wszyscy zasiedli na krzesłach, stołkach i podłodze, wyjęli swoje egzemplarze „*Pana Tadeusza*”, otworzyli na „*Emigracji*” i spojrzeli na mnie wyczekująco.

Nikt nie miał malinowych włosów ani wulgarnej twarzy. Przed sobą widziałam miłe, myślące oblicza, mądre czoła, spokojne oczy.

Czytałam przez godzinę i nie słychać było żadnego innego dźwięku poza kasłaniem przeziębionego chłopca i brzęczeniem muchy. Ktorejs dziewczynie odezwał się w torebce telefon komórkowy — wypadła w popłochu na korytarz, po czym cichutko wróciła i znów siadła na

podłódze, patrząc w książkę i w skupieniu przewracając kolejne kartki.

Już po chwili czytania poczułam przelatujące po plecach dreszcze, a to — według Joanny Kulmowej — jest niezawodny znak, że ma się do czynienia z prawdziwą poezją. Była tam! — nie tylko w brzmieniu najpiękniejszych chyba polskich strof, ale i w tym, jak słuchano oraz w tym, dlaczego je w to miejsce sprowadzono.

Bibliotekarki! — Bogu dzięki, że wciąż jeszcze je mamy.

ISTNIEJĄ

„Mam na imię Karolina i studiuje w Akademii Muzycznej. Jestem wiceprezesem Stowarzyszenia Pomocy Niewidomym i Słabowidzącym Absolwentom Ośrodka dla Dzieci Niewidomych w Owińskach koło Poznania.

Większość moich niewidomych koleżanek i kolegów, zarówno młodszych jak i starszych, nie pracuje. Mało kto chce zatrudnić osobę niewidomą, choć mamy różne przydatne umiejętności i pomysły na życie” — tak zaczyna się tekst na ulotce z alfabetem Braille’a, (...) „Chcemy pokazać, że istniejemy i możemy być potrzebni. Zbieramy aktualnie fundusze na drukarkę brailowską i specjalny komputer ze skanerem do czytania książki w Waszym druku”.

To właśnie dlatego Ośrodek w Owińskach przygotował festyn. Rozesłano zaproszenia do przeróżnych notabli, gwiazd i potencjalnych sponsorów. Dzieci niewidome i słabo widzące własnoręcznie przygotowały, z wielkim staraniem, rysunki, wycinanki i inne drobne upominki, które miały być sprzedawane na aukcji. Chodziło także o to, by dzieci miały poczucie, że coś robią, że dają tyle, ile mogą i to, co potrafią zrobić własnymi rękami, że nie czekają biernie na datki dobroczyńców.

Tymczasem Wielkie Figury zlekceważyły festyn. Prawie nikt nie przyjechał. Wielkie Figury pozostały w swoim świecie władzy, polityki, biznesu, sztuki — tam, gdzie są tak bardzo potrzebne i niezastąpione.

Wolę nie wyobrażać sobie, co czuli niewidomi autorzy zlekceważonych rysunków i upominków, gdy tak czekali na ludzi, którzy mieli im pomóc, a którzy po prostu nie przyjechali, bo zepchnęli garstkę niewidomych dzieci na peryferie swojej uwagi. (Przecież dzieci nawet nie głosują! Nie warto im było poświęcać cennego czasu, zwłaszcza w okresie przedwyborczym.)

„Skończył się Rok Niepełnosprawnych i zainteresowanie władz i decydentów ludźmi niepełnosprawnymi — także” — pisze pani prezes stowarzyszenia „Być Potrzebnym”, Alina Talukder. — „Nie pozostają jednak obojętni — ludzie, chcący pomóc niewidomym dzieciom i młodzieży. (...) Bardzo, bardzo chcemy kupić dla naszych niewidomych drukarkę brailowską oraz »autolektora« — urządzenie czytające głosem syntetycznym książki i gazety... Staramy się pozyskać środki na te urządzenia w najróżniejszy sposób. O ile to możliwe — naszą pracą. Nasi niewidomi absolwenci prowadzą wykłady w szkołach na temat problemów ludzi niewidzących. Organizujemy aukcje starych książek w piśmie punktowym oraz naszych wyrobów z wikliny.

I co najważniejsze! Udało nam się opracować nowatorską w skali naszego kraju technologię nagrywania książek dla niewidomych głosem syntetycznym. Dzięki tej technologii niewidomi będą mieli zatrudnienie, ale przede wszystkim — książki!!!”

Ośrodek w Owińskach jest stosunkowo niewielki. Trudno mu walczyć i zdobywać fundusze, trudno mu się przebić do powszechnego zainteresowania. Ludzi niepełnosprawnych, ludzi chorych, nieszczęśliwych, bezdomnych i bezrobotnych jest w Polsce wielu. Liczyć mogą przede wszystkim na siebie. Nie sposób pomóc im wszystkim, jeśli jest się pojedynczym ofiarodawcą.

Jeśli dziś piszę o Owińskach, to przede wszystkim z myślą o tamtym niedoszłym festynie, o tej lekcji obojętności i nieczułości, o oczekiwaniach i staraniach niewidomych dzieci, które tak dzielnie stawiają czoło losowi, a które tak bardzo się tamtego dnia rozczarowały.

Notatka o tym wydarzeniu ukazała się w „Gazecie” Wielkopolskiej, gdzie pracują dziewczyny o wielkich sercach. Jak słyszę, ten ich tekst spowodował odzew: wielu poruszonych poznaniaków nadsyła datki. Chciałabym jednak zainteresować Owińskami ludzi dobrej woli z całej Polski.

„Jeśli będziecie chcieli nam pomóc, choćby w skromnej formie, będziemy, bardzo, bardzo

wdzięczni” — pisze Karolina. — „Zapraszamy Was na naszą internetową stronę. Jej adres to: www.niewidomi.org.pl. Możecie do nas pisać — odpowiem na wszystkie listy. (...) List na papierze od Was musi mi ktoś przeczytać, ale za to odpowiem już na niego osobiście, pisząc na komputerze i drukując na normalnej drukarce. Z mailami nie ma za to najmniejszego problemu. System mówiący w moim komputerze odczyta to, co napiszecie i będę mogła (słyszac to, co piszę) odpowiedzieć Wam listem elektronicznym.

Aha, wybaczcie niedoróbki na stronie internetowej. Koledzy, którzy ją tworzą, mają tylko resztki wzroku. Do zobaczenia i »przeczytania« — Karolina”.

Ulotka z tekstem Karoliny i alfabetem Braile’a zawiera też podziękowanie dla Centrum Poligrafii Joppol w Poznaniu, „Za podjęcie się wydania naszej publikacji w nowatorskiej technologii tłoczonego druku wypukłego”. Z łamów „TP” przesyłam uśmiech w stronę Joppolu. Zawsze wiedziałam, że nasze miasto ma czym się pochwalić.

TORT CZOMBROWSKI

„Kiedyś w młodości jechałem raz drogą ze Świtezi do Czombrowa z panem Janem Szpiehalskim z Haciszcz, przyjacielem mego ojca i wielkim miłośnikiem naszej rodzimej Nowogródzczyzny. Patrząc z upodobaniem na pagórkowaty krajobraz, tak dobrze nam znany, a tak wybitnie malowniczy, zaczęliśmy dzielić się myślami, które to otoczenie w nas budziło. (...) Nieudolnymi słowami tłumaczyłem podświadomy tok moich myśli, to ustawiczne poczucie, że coś wokół mnie przemija bezpowrotnie, że jakieś wysokie piękno, jakieś bezcenne dobro przechodzi mimo nas niezauważone, a jest ono tak proste, powszechne i bliskie, że nie można go dojrzeć, jak się nie widzi powietrza, dopóki jest czyste i niczym nie zmaczone. Czulem, że trzeba by opisywać nasze strony, nasz kraj, żeby uświadamiać sobie i przypominać innym te jakieś nienazwane, nie dające się bliżej określić skarby, jakie się w nim kryją” — tak zaczyna swoje wspomnienia Jan Bułhak (1876–1950), sławny artysta–fotografik i — jak się okazuje — świetny pisarz. Książkę tę — „Kraj lat dziecińczych”, wydaną przez ASP Rymsza w Gdyni, 2003 — sprezentowała mi pani profesor Małgorzata Czermińska, jako dodatek do niewielkiej książeczki: „Próbowane i... dobre — przepisy kulinarne ręką Marji Karpowiczowej przepisane” (także wydanej przez ASP Rymsza, w 2002 roku) — dodatek ważny, bo ukazujący powiązania rodzinne pomiędzy Bułhakami i Karpowiczami, i objaśniający powód, dla którego książeczkę kucharską zilustrowano min. fotografiami Nowogródzczyzny wykonanymi przez Jana Bułhaka.

Bardzo dziękuję Pani Profesor za te śliczne książki, na które mogłabym po prostu nie trafić i być uboższą o tak wiele wiadomości, wiedzy i wzruszeń. „Kraj lat dziecińczych” jest nimi przepełniony. Owo „ustawiczne poczucie” z młodości zaprogramowało bowiem całe życie twórcze Jana Bułhaka. Mało kto wywiązał się, tak jak ten artysta, w tak pełny sposób ze swoich młodzieńczych marzeń i planów. Olbrzymi dorobek w dziedzinie fotografii dokumentujących „kraj lat dziecińczych” uzupełnia ten tom wspomnień napisanych bogatą, soczystą polszczyzną, tom pełen czułości, nostalgii i poezji. Jan Bułhak pisał te wspomnienia w Wilnie, w okresie od stycznia 1940 roku do października roku 1942 i z dystansu kilkudziesięciu lat przywoływał wspomnienie utraconego raju dzieciństwa, życia „różami usłanego”. *„To mój skarb ostatni — pisał w styczniu 1940. — Nie dam go sobie wydrzeć. W obliczu powszechnej zagłady chcę ten skarb zachować jak najdłużej, chcę go utrwalić w piśmie, by nie zginął wraz ze mną. Chcę go jeszcze raz obejrzeć oczami dziecka, olśnionymi ujrzanym w zaraniu pięknem. Chcę go wywołać w całej krasie wbrew dzisiejszemu pohańbieniu. (...) Chcę wszystkie te czarowne wspomnienia wygarnąć z pamiętającego serca, przyoblec w kształty nowe i poczuciem ich żywej istotności walczyć do upadłego ze śmiercią zniszczenia i zapomnienia”*.

Ten program wypełnił Jan Bułhak wspaniale — z fantazją, mocą i temperamentem. Mickiewiczowska Nowogródzczyzna, wskrzeszona jego piórem, lśni wszystkimi barwami, pulsuje życiem. Znakomicie skreślone portrety bliskich i znajomych (najpiękniejszy z nich to portret ojca, trudno nie czytać o nim inaczej niż z wielkim wzruszeniem) ożywiają ów „błogosławiony skrawek nowogródzkiej ziemi”. Z tych portretów pełnych uroku wyróżniają się dwa zwłaszcza: wuj–oryginał Julian Karpowicz z Czombrowa i jego żona — ciocia Karolcia (*„Jagodność i dobroć promieniowały z jej rysów i mowy. (...) Twarz miała pociągłą z lekkimi rumieńcami, które zostały jej do późnego wieku, głos cichy, delikatnie modulowany, postać nieco podaną naprzód, jakby w ustawicznej gotowości do pośpieszenia z życzliwą przysługą. Nie śmiała się nigdy głośno i nawet uśmiech niezbyt często gościł na jej twarzy, ale zamiast go wyraz przychyłnej uwagi, nieco smutny, ale bardzo szczerzy i zachęcający do zbliżenia. (...) Ciocia była średniego wzrostu, nieduża,*

spokojnie ruchliwa, zajmująca swoją osobą mało miejsca i nie zwracająca na siebie uwagi”). O tej parze pisze Jan Bułhak: „Byli ludźmi dobrymi w całym znaczeniu wyrazu”. Najstarszy ich syn Karol pojął za żonę Marię z Popławskich, która — już jako Prababcia — została repatriowana w roku 1945. Znalazła schronienie u rodziny, zbiegłej przez zieloną granicę z zajętej przez wojska sowieckie Nowogródzczyzny i osiadłej w Brwinowie pod Warszawą, w domu krewniaków. W Brwinowie, otoczona miłością najbliższych, Prababcia Karpowiczowa (wówczas w wieku 71 lat) ani myślała odpoczywać. Zajmowała się wychowywaniem wnuków, udzielała lekcji języków obcych, dokształcała się, prowadziła aktywny tryb życia. Dla swojej synowej sporządziła w prezencie gwiazdkowym porządnie opracowany na podstawie wspomnień i zapisków rodzinnych „zeszyt kucharski”. Wydawnictwo ASP Rymsza podjęło szczęśliwą decyzję, by zeszyt zreprodukować w całości, dzięki czemu ten uroczy, ręcznie niegdyś spisany prezent, może stać się wdzięcznym gwiazdkowym upominkiem dla dzisiejszych synowych, córek i wnuczek. Na swój sposób — praktyczny, solidny i pełen wdzięku zarazem — pani Maria Karpowiczowa dokonała podobnego wyczynu, co Jan Bułhak: ocaliła od zapomnienia spory fragment rodzinnego świata, który został zniszczony — lecz nie zginął. Zważywszy, że pani Karpowiczowa przeżyła aresztowanie i wywiezienie męża oraz najstarszego syna (nigdy już ich nie ujrziała) i że była świadkiem spalenia rodzinnego dworu w Czombrowie — trudno się nie domyślić, z jakimi uczuciami wpisywała do swojego zeszytu ocalony z tamtego życia przepis na „Tort orzechowy Czombrowski przedwojenny”, opatrując go podkreśloną uwagą: „Ozdoba święconego!”. Przytoczę ten przepis w obawie, że nie wszyscy spośród chętnych zdołają przed Świętami zaopatrzyć się w książeczkę „Próbowane i... dobre!”. A tort orzechowy Czombrowski, choć wielkanocny, będzie — moim zdaniem — doskonale się nadawał i na stół wigilijny.

„Z 3 kg orzechów włoskich po wyluskaniu z łupin zostaje 1 kg. Zmieć je na maszynce razem z laseczką wanilii. Dodać 1 kg cukru, zmieszać to z tęgo ubitą pianą z 20 białków i wstawić do dość gorącego pieca. Po upieczeniu nie wyjmować od razu na chłód, tylko stopniowo ostudzać, żeby nie opadło. Piec trzeba w 2 formach wysianych papierem dobrze wysmarowanym masłem. Gdy już nie jest gorący, tylko ciepły — wyrzucić z form, a nazajutrz, lub w kilka godzin, gdy zupełnie ostygnie, ułożyć jedną część na drugą, wprzód przelożywszy masą.

Masa do przelożenia: 6 dk orzechów wyluskanych, 6 dk migdałów, laseczkę wanilii zmieć razem. Dodać cukru do smaku (szkłankę lub więcej), 3 jaja całe (można i 4), wymieszać w rondelku i postawić na ogniu mieszając ciągle, by się nie zagotowało, tylko mocno zagrzało, poczem zdjąć i ostudzić, i powtórzyć to raz jeszcze, aż zgęstnieje”.

Upieczmy w roku 2003 ten tort, na pamiątkę owych wspaniałych Pań (i nam przecież osobiście znanych), uparcie wskrzeszających dobre obyczaje i pielęgnujących tradycję, zapobiegliwie tworzących Teraźniejszość na spopielałych gruzach Przeszłości oraz spokojnie budujących Przyszłość z wierności, pamięci i prostych zasad.

Może i my tak potrafimy.

SŁOŃCE

Choruję. I dobrze; nareszcie odpisałam na prawie wszystkie listy, stopniał też znacznie, stos książek i gazet, odłożonych do przeczytania.

Jakoś więc te dni mijają, nie jest tak źle, zwłaszcza że przez okna naszego mieszkania widać nie tylko dachy starych Jeżyc, ale i wielką połąć nieba, po której przetacza się słońce. Widzę je zwykle tylko w postaci oślepiającej kulki, bo okna wychodzą na południe. A najpiękniejsze jest, jak wiadomo, wtedy, gdy wschodzi lub zachodzi. Na szczęście mam wspaniały album wydawnictwa Bentkowski („Słońce” — 2001, Białystok), kupiony w poznańskiej Bibliotece Ekologicznej, na wystawie fotografii Wiktora Wołkwa. Album jego prac zawiera wyłącznie portrety Słońca we wszystkich jego nastrojach i kolorach, o każdej porze roku. Podobno Wiktor Wołków potrafi przez parę godzin nurzać się po uszy w bagnach nad Biebrzą i czyhać z aparatem na ten jeden — jedyny moment: kiedy płonący brzeżek wyłoni się zza ciemnego horyzontu i wyśle pierwszy promień, który dotknie powierzchni wody.

Z wielkiej ilości wyjątkowo pięknych zdjęć zamieszczonych w tym albumie wybrałam sobie do podziwiania szczególnie jedno: ciemne i prawie pozbawione barw, przedstawia bezlistną gałązkę z jednym lepkiem pąkiem i z kroplą rosy. Zwisa ona w punkcie ciężkości gałązki, której górna krawędź jest obrysowana nikiłą linią światła. Wokół panuje jeszcze szary mrok, a Słońce, które właśnie weszło, całe się mieści w centrum tej ciężkiej kropli, jak w pomniejszającej soczewce.

Pan Wołków jest wspaniałym artystą i ma duszę poety. Wydaje się zresztą, że jest i koneserem malarstwa. Jego fotografie często przypominają obrazy —jedne są barokowe i szalone, pełne blasków, kontrastów i rozwichrzonych obłoków, inne przypominają akwarele romantyczne, jeszcze inne — malarstwo abstrakcyjne, są też i takie, które cechują się precyzją i symetrią japońskich grafik. Jedne są soczyście dosłowne, inne są tylko aluzją; portretem Słońca jest przecież nawet puszysta sylwetka ptaka, wynurzająca się z ciemnego tła dzięki oświetlającemu go od tyłu niewidocznemu promieniowi. Pan Wołków umie operować myślowym skrótem i niedopowiedzeniem. Jego fotografie są prawdziwym hymnem na cześć Natury i Słońca, tworzonym z pełnym zrozumieniem wszystkich jego symbolicznych znaczeń i odniesień.

Album opatrzony jest wstępem, napisanym przez wybitnego grafika, poetę i eseistę — pana Andrzeja Strumiłłę. Jest to tekst bogaty, erudycyjny, nadzwyczaj ciekawy. Zawiera nieco faktów naukowych (np.: „Słońce, nasza gwiazda karłowata, leci przez pustkowia Drogi Mlecznej z szybkością 250 kilometrów na sekundę, okrążając jądro galaktyki w ciągu 200 milionów lat. Lecimy ze Słońcem z szybkością około 20 kilometrów na sekundę w kierunku gwiazdy Węgi, tworząc heliosferę, heliopauzę i falę uderzeniową, wywołującą świecenie Fermiego. Korona Słońca o temperaturze ponad 500 tys. stopni Kelvina, przechodząca w pyły kosmiczne i światło zodiakalne, rozciąga się na miliony kilometrów” etc, etc.) — które to fakty skłaniają autora do następującej refleksji:

„Myślące białko za sprawą łaski niepojętej rozpoczęło proces poznawania i samopoznania. Zadziwiający jest ten fenomen naszej świadomości. Docieklivość nakazuje nam badać makro– i mikrokosmos, uparcie szukać przyczyny życia poza nami, docierając w przestrzeń oddaloną o miliardy lat świetlnych (...), a jednocześnie sądzić z dystansu introspekcji swoje ludzkie losy i sumienie”.

Lub: *„Tej nocy ukończyłem wstęp do książki »Słońce«,.. Sam się sporo dowiedziałem. (...) Zobaczyłem też, jak straszną rzeczą jest zarozumiałość i pewność siebie, wynikająca z półwiedzy, a rodząca nietolerancję i nienawiść”.*

Piękny i mądry tekst Andrzeja Strumiłły ozdobiony jest jego własnymi rysunkami i grafikami, własnoręcznie też opisany ślicznym charakterem pisma. Inkrustują zaś ten wstęp cytaty z dzieł literackich, mitów, Talmudu, Pisma Świętego, z Tybetańskiej Księgi Umarłych i z Koranu. Jest też cytat z „Drogi do wolności” Dalajlamy (w tłumaczeniu Sebastiana Musielaka):

„Kiedy słońce świeci, nie czyni żadnych rozgraniczeń: oświetla każdą piędź ziemi, każdy kąt i zakamarek. Tacy właśnie powinniśmy być. My, buddyści praktykujący mahajanę, nie powinniśmy się troszczyć o własną korzyść, lecz za pomocą skoncentrowanego umysłu rozwijać w sobie odważną, altruistyczną postawę, biorąc na swe barki obowiązek działania dla dobra wszystkich czujących istot”.

MILE ŻYCIA DROBIAZGI

W roku 1831 Adam Mickiewicz był na pasterce w drewnianym łukowskim kościółku, który do dziś jeszcze stoi. W Wigilię Bożego Narodzenia — a więc i swoje imieniny — obchodził poeta w domu Józefa Grabowskiego, właściciela Łukowa. Jak pisze prof. Jarosław Maciejewski („Mickiewicza wielkopolskie drogi”, Wyd. Poznańskie 1972), to w tym właśnie gościnnym domu Mickiewicz sporządził z opłatka łódeczkę; należało ją zawiesić nad stołem na długim włosie najpiękniejszej z obecnych pań. (Tego wieczoru wybór padł na Helenę Turno). Obyczaj, wprowadzony przez znakomitego gościa, przeobraził się w długoletnią tradycję w rodzinach Turnów i Grabowskich. W należącym do Turnów Objezierzu przetrwał aż do ostatniej wojny.

W tej samej książce prof. Maciejewski cytuje dziennik Adama Turno, który przybył do Łukowa 26 grudnia 1831 i zastał tam „*naszego sławnego Poetę Mickiewicza*” (całymi godzinami grał z nim potem „*w Arcaby*”). Poeta — zanotował pan Turno — „*lubi zwyczaje narodowe aż do przesady — uważał, aby w czasie wigilii B. Narodzenia jedzono na sianie, aby słoma w kącie stała, żeby gwiazdka na włosie wisiała*”.

No, to gwiazdka czy łódeczka?

A może jedno i drugie?

Śledztwo, wszczęte po domowych mickiewiczianach, nie przyniosło odpowiedzi. Gwiazdka? Łódeczka? Raczej gwiazdka — to pewnie bliższe litewskiej tradycji. (U Billewiczów w „Potopie” też nad kominem kręciły się gwiazdki, zrobione z opłatków!)

Udałam się do antykwariatu w nadziei, że znajdę jeszcze coś, czego nie mam. Odkryłam „*Miłe życia drobiazgi*” Stanisława Pigoń, które kupiłam przede wszystkim dla ślicznego tytułu oraz z powodu jednego ze szkiców: „*Mickiewicz wśród ludzi*”.

Nic tam nie było o Wigilii w Łukowie, lecz szkic okazał się tak interesujący, że gwiazdki i łódeczki przestały mnie nękać. Dużo ważniejsze bowiem kwestie zniknęły raz na zawsze z ludzkiej pamięci — na przykład to, co Mickiewicz mówił do ludzi, których spotykał. Rozmówcy poety nierzadko pozostawali pod potężnym wrażeniem jego osobowości, bywali wstrząśnięci głębią jego myśli, rozległością horyzontów, siłą ducha i „*mądrą prawością moralnej natury*” — jak pisze prof. Pigoń. Niestety, niemal nikt nie uznał za stosowne zanotować treści takich poruszających wypowiedzi Mickiewicza. Przetrwały ogólniki, wersje naiwnie zniekształcone albo pojedyncze zdania, jak choćby to, rzucone Aleksandrowi Chodźce i przez niego zapisane: „*Zrób pierś swą na kształt dzwonu; póki serce dzwoni, niech usta mówią, gdy zamilknie — i ty zamilcz*”. Bohdan Zaleski, przyjaciel, odwiedzany całymi latami, zapisywał tylko, na przykład:

„*3 sierpnia 1851. Adam przyszedł na obiad. Był mowny i pogodny. Wiele spostrzeżeń głębokich i mądrych o ludziach i rzeczach. 11 maja 1852. Rozmawialiśmy o Prezydencie, Norwidzie itp.*”.

A Henryka Ankwiczówna zanotowała: „*Język jego poezyjny zmienia się w uwagi proste i zwyczajne, lecz raptem zachwycony — staje się w myślach tak wielki i nowy, że chciałabym zawsze pisać wszystko, co powiedział, byleby nic z pamięci nie stracić*”. — Niestety, nie zapisała prawie nic — stwierdza, nie bez bólu, prof. Pigoń.

Łatwo się domyślić, jak dotkliwa dla tego właśnie badacza musiała być konstatacja, że tyle wielkich myśli, ważnych sądów i błyskotliwych opinii genialnego poety przepadło bezpowrotnie. Żeby zrozumieć to nastawienie, wystarczy przeczytać przedmowę do „*Miłych życia drobiazgów*”, która sama w sobie jest dziełem literackim: profesor tłumaczy w niej, dlaczego w podtytule umieścił słowo: „*pokłosie*”. „*Ziarna zebrane w pokłosiu są co do jakości takie same jak i owe szczęśliwsze, zebrane w pełnym żniwie; dojrzewały przecież na tym samym zagonie, tyleż samo*

wymagały uprawy i trudu, teź samej są konsystencji. Pokłosie — to nie poślad”.

Następnie prof. Pigoń przygląda się wyrazowi „pokłosie” i stwierdza, że stał się on zdawkowy, że nie przywołuje już przed wyobraźnię samej istoty rzeczy, i że właściwie jego znaczenie „straciło swą dawną pełną wyrazistość. Dzisiaj poklosia po żniwie już się zapewne nie zbiera i na ogół nie wiadomo chyba także, jak się to robi. Obawiam się, że zanika nawet sama postawa psychiczna, z której ów trud poklosia w praktyce się wywodził. Wyrażała się zaś ona w poszanowaniu plonu choćby najdrobniejszego, osiągniętego rzetelnym trudem”. W dzieciństwie profesor Pigoń widywał, jak gospodarz, ujrawszy na swej drodze kłos czy ziarno, podnosił je i całował, po czym kładł do kieszeni. „Ocalał przed zmarnowaniem, a zarazem jakby przepraszał za poniewierkę plon powszedniego, znojnego trudu”. Z takiej postawy wziął się zwyczaj zbierania po żniwobraniu pojedynczych, ułamanych kłosów. Zadanie to powierzano dzieciom: matka dawała im kosz i wysyłała po pokłosie. Był to ciężki trud. „Młoda ostra ściernią ranila bose stopy, grzbiet bolał od ustawicznego pochylania się, (...) słońce prażyło, a zagony nie przeszukane — jakby się wydłużały”.

Dzieci same suszyły zebrane kłosy, wybijały ziarna, odsiewały plewy — a czysty plon odnosiły matce. „Mella go i starym prawem zwyczajowym z mąki tak uzyskanej piekła osobne bocheneczki, którymi obdarzała ubogich, chodzących po prośbie”.

„Ten z domu wyniesiony szacunek dla rzetelnego mozołu, pracy — sic vos non vobis — nie dla siebie przecież tylko podejmowanej, nie wykrętnej, ale najuczciwszej, tę w niej sumiennosc niewyrachowaną nauczyłem się uważać za wartość, za gwiazdę przewodnią życia, pragnąłem jej dochować wierności, a w ramach zawodu mego starałem się zobowiązywać do niej także innych. (...) We własnej też praktyce naukowej starałem się nie żywić obojętności dla żadnego Moskita, (...) z chęcią schylałem się po każdy napotkany. Nie chciałem tracić z uwagi i pamięci tego bochenka, na który złożą się kiedyś uzbierane drobne ziarna i który komuś potrzebującemu może się kiedy przyda. Miałem to sobie za powinność w stosunku do całego rozległego lanu naszej pracy dziejowej, nikomu przecież nie obojętnej. Starałem się nie tracić z pamięci mądrego i głębokiego orzeczenia Norwida:

Drobiazgowość w rzeczach sądu — wielkie imię ma: Miłość.

Tom niniejszy z takiej właśnie wyrósł troski: zrodziła go miłosna sumiennosc wobec wszelkich, nawet drobnych przejawów przeszłego życia literackiego. W każdym z nich mieści się przecież jakiś, choćby nikły, odłamek prawdy żywiącej, który stanowi tworzywo kultury duchowej narodu”.

Od czasu, gdy profesor Pigoń pisał te słowa, minęło już około czterdziestu lat. Przez ten czas kraj się zmienił jeszcze bardziej. Plonu nie osiąga się dzisiaj „rzetelnym trudem własnych rąk”, gdyż wielkie obszary pól obsługują szybkie kombajny. Kłosy, które ułamały się pod własnym ciężarem pozostają, przez nikogo nie podniesione, na ściernisku. Jest ich przecież tak wiele!

Zresztą i tak mnóstwo chleba marnuje się codziennie w supermarketach.

A ja jeszcze pamiętam i prawdziwe żniwa, i prawdziwych rolników; jako dzieci jeździliśmy z bratem na wakacje do Bielewa, wioski położonej w pobliżu Krzywina i Choryni. (W tym samym Bielewie, jak z zaskoczeniem przeczytałam u prof. Maciejewskiego, Mickiewicz był na polowaniu z Kalikstem i Ksawerym Bojanowskimi. Bracia hałaśliwie się sprzecali o zalety swoich chartów!) Otóż, myśmy pomagali przy żniwach; było to w latach pięćdziesiątych i nie pamiętam, by istniał obyczaj zbierania poklosia, choć przecież zboże koszone ręcznie, a snopy wiązane i ustawiano bez żadnej mechanicznej pomocy.

To musiało się zacząć już wtedy.

SILNIEJSZA, CHOĆ NIE WYGRYWA

Niedługo ukaze się dobra i piękna książka. Dziś składa się jeszcze z luźnych kartek i do niedawna nie było wiadomo na pewno, jaki będzie nosiła tytuł. Autorką jest znana dziennikarka, Magda Papuzińska. *Chapeau bas!*

To powieść przeznaczona raczej dla młodzieży, choć z pewnością sięgną po nią i dorośli. Jest prosta, spokojna i szlachetna, choć jej temat należy do tak zwanych drastycznych: narrator to trzynastoletni chłopiec całkowicie niesprawny fizycznie i więcej niż sprawny umysłowo. Jaś od urodzenia nie może się poruszać i żyje pomiędzy łóżkiem a wózkiem — karmiony, myty, przewijany i wywożony na spacer. Wydawałoby się, że taki temat — bardzo przecież trudny — może wyprowadzić powieść na manowce, może spowodować, że będzie smutna nie do zniesienia albo słodka nie do zniesienia lub nie do zniesienia brutalna. A tymczasem pani Magda Papuzińska z taktem i talentem, subtelnie i mocno zarazem, poprowadziła skromną akcję, ograniczoną do kilku zaledwie miejsc, umieszczoną w najzwyczajniejszych (pysnie zresztą uchwyconych) realiach, z udziałem kilku zaledwie osób — a poprowadziła ją tak, że czyta się z coraz większym przejęciem, zaś tok najzwyczajszych, szarych i codziennych wydarzeń zapiera dech w piersiach.

To mogłoby się dziać wszędzie, na każdym podwórku, w każdym bloku — bezwładne dziecko na wózku inwalidzkim; zapracowana i ofiarna matka; ojciec, który odszedł, bo jest zbyt wrażliwy na to, by znosić na co dzień takie nieszczęście, a poza tym, „nie wiedział, że żeni się z aniołem”; brat i siostra, których dzieciństwo upływa pod znakiem niechcianej pomocy. Matka nie godzi się na oddanie Jasia do domu opieki. Ojciec za karę odmawia powrotu do rodziny. Obcy ludzie pomagają, niekoniecznie za pieniądze. I tyle.

To osobowość Jasia sprawia, że ta historia staje się niezwykła, że pojawia się w niej tchnienie tajemnicy. Traktowany powszechnie jak roślina czy przedmiot, chłopiec myśli, czuje i rozumie znacznie więcej niż osoby z jego otoczenia. Ma wyostrzony zmysł obserwacji. Jest żywą, czystą inteligencją w bezwładnym ciele. Nie może mówić, ale przecież słyszy — o czym ludzie na ogół zapominają — a kontaktuje się ze światem za pomocą oczu i myśli. Bez większego trudu porozumiewa się z matką wzrokiem i za pomocą woli wpływa na zachowanie innych ludzi. Zdaje się, że Jaś rozwinął w sobie rodzaj silnej telepatii czy empatii, a w każdym razie wyostrzonej intuicji i wyobraźni. To z jego punktu widzenia oglądamy otoczenie, bliskich i przechodniów. Dzięki temu zabiegowi autorki czytelnikowi udaje się patrzeć na świat „ze środka” Jasia i czuć jego sercem.

Kartka po kartce ta prosta, czysta książka prowadzi nas w głąb — coraz dalej w głąb rzeczy. Z wolna staje się jasne, że mamy do czynienia z czymś więcej niż powieść. Wkraczamy na teren filozofii. Ta dusza, uwięziona w ciele, nie mogąca porozumieć się z innymi, samotna i bezradna, może liczyć na jeden tylko środek komunikacji: kto kocha, nie potrzebuje gestów ani słów. Rozumie i czuje bez ich pomocy.

Dramat wyobcowania przełamuje bez wytchnienia matka. Jej pięknie narysowana postać przynosi ukojenie, ciepło i dobroć; bez jej ofiarnej troski chłopiec najzwyczajniej by zginął. Jeden ze wspanialszych fragmentów książki (ten o starej wieśniaczce, przeniesionej do bloku w mieście) wyjaśnia przyczynę tej niekończącej się i bezwarunkowej służby: matka Jasia ma nieugaszone poczucie winy wobec swojej matki, którą — niechcący co prawda — zaniedbała i opuściła. Utraciwszy jedną ukochaną osobę, matka nie opuści Jasia już nigdy i nigdy go nie zawiedzie. To dzięki niej egoiści zaczynają czuć, a w ludziach obojętnych ożywa uwaga i chęć niesienia pomocy, choć przecież matka od nikogo tego nie żąda. („Mama musi wołać na pomoc Pawła. Wiem, że nie

lubi wymagać od niego ani Agnieszki, żeby jej przy mnie pomagali. Mama uważa, że ja jestem wyłącznie jej tobołkiem i nikogo nie może mną obciążać. Czasami nie ma wyjścia”.)

Przejmujące są te wewnętrzne monologi Jasia, zawstydzające dla ludzkiej obojętności i obłudnego taktu. *„Czasem, gdy siedzę tak jak teraz na wózku przed moim blokiem w słoneczne upalne popołudnie i patrzę na przechodzących ludzi, zmęczonych po pracy, to żal mi ich. Tak rzadko się uśmiechają, chociaż przecież mogą się uśmiechać. Ja, gdybym mógł, to śmiałybym się bez przerwy na głos. Teraz też się śmieję, ale nikt tego nie widzi, więc nikt nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Przechodzą obok mnie i spuszczaają głowy albo patrzą w drugą stronę, jakby nie chcieli mnie widzieć. A przecież mnie widzą. (...) Czasami — kiedy im się wydaje, że nie patrzę, bo mam przymknięte oczy — ale ja patrzę — przyglądają mi się ciekawie. Patrzą nie jak na człowieka, ale na zadziwiający obiekt, który żyje, chociaż nie powinien. Im się wydaje, że jestem nieszczęśliwy z tego powodu, że żyję. Co za bzdura”.*

Takie to proste odkrycie i takie oczywiste: Jaś chce żyć. Czy ktokolwiek miałby prawo odmówić mu tego życia? W imię czego?

„A ja chcę żyć. Zawsze chciałem. Więc chociaż wszyscy ci lekarze mówili, że długo nie pociągnę, żyłem i wciąż żyję. Gmatwam przez to życie innych ludzi, ale wydaje mi się, że zawsze jest ktoś, komu jestem do czegoś potrzebny”.

Czy to nadużycie ze strony autorki, że wkłada w usta swojego bezwładnego „tobołka” takie stwierdzenia? Nie sądzę. Nietrudno chyba odgadnąć — jeśli się ma serce, rzecz jasna — co może czuć i myśleć każdy z takich Jasiów: *„Cieszyłem się, że żyję. Działo się tyle dziwnych i przyjemnych rzeczy. (...) A wieczorem wróci mama. Opowie wesoło, co jej się dzisiaj przydarzyło w pracy, zjemy we trójkę kolację. (...) Po kolacji posiedzimy trochę przed telewizorem, jeśli będzie coś ciekawego do oglądania, a jeśli nie, to mama od razu napuści wody do wanny, a po kąpieli położy się obok mnie na łóżku i będziemy czytać książkę. Pocałuje mnie na dobranoc i wtedy pomyślę, że życie jest wspaniałe”.*

W milczącej, nieruchomej obecności Jasia toczą się i rozgrywają rodzinne dramaty, zmieniają się postawy. Świetnie przez autorkę nakreślone charaktery i głęboko umotywowane zachowania członków rodziny oraz osób postronnych składają się na mocną konstrukcję tego cichego dramatu. Dramat zmierza do kulminacji — także bardzo zwyczajnej: wszyscy wyjeżdżają nad morze, Jaś — po raz pierwszy w życiu. Triumfalna scena przenoszenia go na plażę w prowizorycznej lektyce — bo wózek nie pojedzie po piasku — (*„Po drodze cały czas się śmieją i wygłupiają, tak że nawet mama zapomina, że powinna się bać i że ja jestem dla wszystkich kłopotem. Tym bardziej, że jak docieramy do wydmy, to chłopcy się kłócą, bo każdy z nich chce nieść lektykę z baldachimem. Wkraczamy na plażę niczym królewski orszak”.*) — poprzedza następujący wkrótce finał: Jaś z dnia na dzień słabnie i ma się gorzej. *„Czułem, że nie jest ze mną najlepiej, ale przestałem się bać. Wiedziałem, że wszystko jest możliwe. Rano obudzę się w pięknym domu obrośniętym dzikim winem. Mama wywiezie mnie na śniadanie do ogródka, gdzie rosną kwiaty i drzewa. Ustawi wózek przy drewnianym stole pod jabłonką, na której dojrzewają rumiane jabłka. Wkrótce nadejdzie jesień, ale na razie jest jeszcze lato”.*

Tak brzmi ostatnie, piękne zdanie tej książki. W końcu pani Magda Papuzińska zdecydowała nadać jej tytuł „Wszystko jest możliwe”. Nie można chyba znaleźć lepszego, ten tytuł — to klucz. Wszystko jest możliwe. Tak, wszystko jest możliwe — gdy działa miłość, silniejsza przecież niż śmierć.

TO JA, KOS

„Małgorzata Baranowska urodziła się jako poetka, o czym do czternastego roku życia nie wiedziała” — głosi notka na odwrocie okładki tomiku z aniołem. „Odtąd uważa poezję za formę świata”.

Tomik nazywa się „Powrót”, a ukazał się dzięki Wydawnictwu Literackiemu. Rzeczywiście. Znam Poetkę — co prawda raczej telefonicznie i korespondencyjnie, ale za to długo. I chyba znam ją dobrze, bo — z wymiany myśli. Dodać należy, że w tej wymianie słucham raczej i odczytuję, ponieważ Małgorzata Baranowska ma do powiedzenia dużo ważnych rzeczy. Oswojona z cierpieniem, zajrzała już w twarz Nienazwanej. Ale — wygrała i nadal jest tu z nami. „Ledwie do siebie wróciłam — pisze w wierszu „Szczęśliwy powrót”. — A tutaj — wszystkie wieczory zwinięte w rulon. / Wszystkie poranki związane brzegami. / Wszystkie widoki same nad sobą latają. / Wszystkie naraz dni”.

Czy to przypadek, że w każdym niemal z 35 wierszy tego tomiku pojawiają się słowa „świt”, „poranek” i „Jutrzenka”? Cóż, być może. („Mówię, bo nagle pamiętam”.)

Po lekturze każdej z książek Małgorzaty Baranowskiej — czy to jest praca naukowa, czy pamiętnik mistyczny, czy prywatna historia Warszawy, czy też prywatna historia Poezji; nawet po lekturze miniaturowych felietoników, dla których specjalnie kupuję „Przekrój” — odnoszę wrażenie orzeźwiającej świeżości. Mam poczucie *déjà vu* i *jamais vu* zarazem, pewnie dlatego, że Poetka ma tak bardzo wyostrzone spojrzenie, tak oryginalny tok myśli i skojarzeń, tak empatyczną spostrzegawczość, skierowaną przede wszystkim na to, co wewnątrz (ponieważ, jak sama pisze, „zbyt dosłowne piękna kończą na aukcjach, w zmierzchach gwiazd i księżyców”). Potrafi wszystko zobaczyć i ukazać w nowym świetle, skierować uwagę na to, co podskórne i głębokie, na to, co toczy się tajemnym nurtem i czego nie można ani sklasyfikować, ani określić, a tylko odgadnąć i odczuć. „Widoki metaforyczne — jak twierdzi — wszystko wytrzymają”.

*Idź z wolna łąkami,
Z dala słyhać muzykę,
liczne światy sączące się dźwiękiem.
Wieczna odpowiedź*

*Nie znana.
Odpowiada, jak umie,
na śmiertelne pytania.*

Ta właścicielka wszystkich widoków i wszystkich obrazów, całej poezji i całego pięknego świata, jest przecież „krewną ruin i wnuczką niebytu, odzyskaną po wielkich wojskowych przechadzkach” i doskonale potrafi opisać poczucie egzystencjalnego wyobcowania:

*Nieznany początek i koniec.
Nieznany poranek i wieczór.
Nieznana sekunda i wiek.
Życ w obwarzanku czasu?*

Nieznane drogi w oddali.

*Nieznane brzegi przestrzeni.
Nieznany rysunek fali.
Być w takim miejscu nieznanym?*

(„Obcość”)

Trudno się nie domyślać źródeł takiego poczucia, znając biografię Poetki, lub przynajmniej — czytając wiersz „Warszawa się zamyśla”:

*Nagle zmieniło się drewno w cegłę,
nagle partery w piętra,
nagle ogrzały się moje stopy.*

Dziwne uczucie — ciepło.

*Nie ruszałam się stąd.
To do mnie parla
piana Europy.*

Przewalala się przez Wisłę.

*Spoufalaty się dywizje.
Wracały.
Przecież morderca wraca.*

Czy może nie?

*Przelewały się oddziały.
Kobiety nie wiedziały,
czy pruć, czy tkać.*

Odyseusze nie żyli, nie wrócili.

*Zbyt szybko dym się przesnuwał.
Zbyt szybko i cicho
nienazwana latała.*

Nienazwana.

*Bizuteria, dywany, wózki dzieciinne
w jednym kolorze.*

Miejsca nie zmieniam.

Podszeptów nie słucham.

Wyobrażam sobie, jak by się z tą Poetką oglądało, po raz pierwszy w życiu, obraz Breughla. Nikt, kto by nie znał tytułu, nie mógł przecież przypuszczać, że ogląda ironiczny, gorzki i spokojny

komentarz do pewnego dramatycznego upadku. Myślelibyśmy, że patrzemy na wspaniale malowany pejzaż nadmorski, z oraczem na pierwszym planie i pasterzem — na drugim. Małgorzata B. nie tylko natychmiast by dostrzegła malutkie nogi, wierzgające w wodzie, w narożniku planu trzeciego, ale wiedziałaby instynktownie, że to właśnie Ikar tonie, nikt inny. Tak — mam wrażenie — potrafi ona patrzeć na obrazy i na życie, tak właśnie czyta i czuje Poezję.

Tak też pisze swoje wiersze. Nawiasem mówiąc, aż cztery z tych trzydziestu pięciu mówią — niekoniecznie w sposób dosłowny — o ptakach. Muszę więc niniejszym odwołać swoją pochopną i niesprawiedliwą opinię, że dziś poeci ptaków nie zauważają. Ta Poetka zauważyła nie tylko jaskółkę, sowę, orła, sójkę i bociany. Najważniej przyjrzała się także czarnej istotce o długim ogonie, każdego dnia czepiającej się dzikiego wina na murze:

*Każdego dnia bardziej bez nazwy
i bardziej zmarznięty. (...)
Czy jeszcze go czeka lato
i zima srok, wróbli, jesień drozdów?*

*Jeszcze dzień
i jeden,
i jeden.
Mrozy.*

(„Nie nazwany”)

To mógł być nawet ten sam ptak, który w wierszu „Ostrzeżenie zimowe” upierał się wbrew wszystkiemu:

*— Śpiewam,
to ja.
Kos.
To ja*

— ponieważ urodził się jako śpiewak i — zanim jeszcze z tego sobie zdał sprawę — uznał śpiew za formę życia.

GRAM W ZIELONE

Zapewne są w naszym szarym kraju miłośnicy zimy. Czuję wobec nich obcość duchową. Ponure, zimne, ciemne miesiące udaje mi się przetrwać wyłącznie dzięki zielonej sałacie, kwiatom cieplarnianym oraz wyteżonej pracy umysłowej. Właśnie znów oddałam do druku owoc zimowych miesięcy, „Język Trolli”, a ledwie poprawiłam ostatni przecinek w ostatniej korekcie — nastąpiła wiosna.

Co za piękne, niezwykle, zbawcze chwile! Uwolniony z miasta człowiek czuje się tak, jakby to z niego wyrastały te wszystkie listeczki, źdźbła i pączki. Osłabiony, wchodzi do lasu — a tam wszystko aż dygocze od sprężonej energii, „tej siły, która przez zielony lont prze kwiaty” (Dylan Thomas), która wypycha zieleń z patyków i nagich gałęzi, pomiędzy zeschniętym traw i zeszlorocznych, zbutwiałych pokładów liści. W czarnych, lśniących kałużach pływają drobne białe płatki i odbija się jasne niebo. Ogród — przekopany, wypielony, wygrabiony po zimie — pachnie dymem z palonych liści i badyli. Śpiewają ptaki. Przelatuje lekki deszczyk i powietrze wypełnia się nowym zapachem — świeżym, słodkim, upajającym aromatem ziemi, młodej trawy, zgniecionych liści bodziszka, wilgoci, ciepła, życia.

Czy miłośnik zimy zna w ogóle takie chwile euforii, w których, ku własnemu zaskoczeniu, człowiek widzi się nagle pośrodku trawnika, z twarzą wystawioną na zimne krople, z widłami w jednej brudnej ręce, a z łopatą w drugiej — i z taką radością życia, rosnącą gdzieś w piersi, że musi wybuchnąć śmiechem, śpiewem albo krzykiem?

Rośliny też się cieszą. Rano ledwie wystawiają czubki ponad ziemię, a pod wieczór już są na powierzchni, już prężą się i rozprostowują liście. W tej radości istnienia, jaką demonstrują, naprawdę budzą w człowieku poczucie braterstwa. Bo przecież są naszymi braćmi, podobnie jak zwierzęta. Ludzie pierwotni wyczuwali to intuicyjnie, a wielcy filozofowie Wschodu sformułowali jako pierwsi: wszystko, co żyje na Ziemi, jest ze sobą wzajemnie powiązane skomplikowaną siecią zależności. Już w roku 350 p.n.e. filozof taoistyczny Zguangzi stwierdził: „Oto jest to, co nazywa się światem, jedność wszystkich stworzeń”.

W bardzo dobrej książce „Ogród w zgodzie z naturą” (Elipsa, 2003) pani Marie–Luise Kreuter przypomina słowa Claude’a Lèvi Straussa: „Już najwyższy czas, by zrozumieć, że człowiek jest tylko jedną z wielu istot żywych, która może przeżyć pod warunkiem respektowania tych innych”. Pani Kreuter przytacza te słowa po to, by zachęcić ogrodników do szacunku dla wszelkiego życia. „Ta myśl może brzmi staroświecko — tłumaczy się autorka — ale jest tak stara i jednocześnie tak młoda, jak życie. Ludzie nie ustanowili praw życia, mogą żyć tylko według nich. Jeśli będą występować przeciwko nim, prędzej czy później przegrają” — twierdzi, przypominając, że kiedyś Sahara była spichlerzem Afryki Północnej. Rabunkowa gospodarka Rzymu, brak umiaru i żądza zysku za wszelką cenę — zniszczyły ją na zawsze.

To daje do myślenia. Czyż nie żyjemy teraz na czymś w rodzaju duchowej Sahary? I czyż nie z podobnych powodów powstała?

Mnóstwo ciekawych wiadomości podaje pani Kreuter o glebie. Jest ona — pisze — wspaniałym światem najmniejszych organizmów. Zwykła garść ziemi tętni życiem miliardów mikroskopijnych istnień.

W jednym decymetrze sześciennej ziemi, pobranej z 15–centymetrowej warstwy gleby na łące, żyje na przykład:

1 551 000 000 wiciowców i orzęsek, 50 000 nicieni,

220 skoczogonków, 14 wijów, 5 ślimaków,
2 dżdżownice.

Te dokładne dane zawdzięczamy szwajcarskiemu uczonemu A. Stöckli. Profesor Sauerlandt z kolei oznaczył liczbę organizmów żywych w jednym metrze kwadratowym słabo próchniczej gleby piaszczystej o grubości 20 cm. Gdyby tę ilość ziemi przenieść na grządkę, mogłyby na niej wyrosnąć, powiedzmy, dwie główki kapusty. I otóż w tej niewielkiej ilości przeciętnej gleby żyją:

4 biliony bakterii i grzybów,
0,5 miliona wiciowców,
1 milion nicieni,
200 000 roztoczy,
100 000 skoczogonków,
80 000 wazonkowców,
80 dżdżownic.

Po prostu — mikrokosmos!

Gdyby pewnego dnia zabrakło gleby — pisze pani Kreuter — nasza planeta, martwa, stałaby się znowu gwiazdą. 30-centymetrowa warstwa próchnicza, pokrywająca biologicznie czynną, kilkumetrową warstwę gleby, do dziś nazywana jest ze czcią „Matką Ziemią”.

Trawy — prastare rośliny, o rodowodzie sięgającym daleko w przeszłość naszej planety, Karl Foerster nazwał „włosami Matki Ziemi”. Do dziś zachowały wiele ze swego dawnego charakteru. Ogrodnicy niewiele zdołali zmienić w wyglądzie traw — dzikie formy zostały jedynie poddane selekcji i rozmnożone. Występują na Ziemi w ponad czterech tysiącach gatunków — na sawannach, stepach, w ogrodach, lasach, na łąkach i zboczach gór, a ich charakterystyczną cechą jest krzewienie się, to znaczy — tworzenie w dolnej części pędu korzeni przybyszowych i nowych pędów, dzięki czemu powstaje zwarta darń. Krótko mówiąc, chodzi o to, żeby wszędzie było zielono, i żeby gleba była porządnie umocowana na skorupie ziemskiej!

„Kilka lat temu przyszła mi do głowy taka oto myśl: a gdyby mnie tak zapytano, dlaczego jedno źdźbło trawy jest tak niepodobne do drugiego?” — pisze Mistrz Eckhart w „Pouczeniach duchowych” (wyd. W Drodze, 2001). — „I zdarzyło się rzeczywiście, że zapytano mnie, dlaczego są one tak do siebie niepodobne. Powiedziałem wtedy: jeszcze dziwniejsze jest, dlaczego wszystkie źdźbła trawy są do siebie tak podobne. Pewien mistrz powiedział: tak wielkie różnice między źdźbłami mają źródło w nadmiarze Bożej dobroci, która się przelewa bez miary na wszystkie stworzenia, aby tym pełniej ukazała się chwała Boża. Powiedziałem wówczas: dziwniejsze jest, że wszystkie źdźbła trawy są do siebie tak podobne. I dodałem: jak wszyscy aniołowie są w Pierwszej Czystości absolutną jednością, tak samo Jednym są w niej wszystkie źdźbła trawy. Tam wszystkie rzeczy są Jednym”.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego przypada na pierwszą niedzielę po wiosennej pełni księżyca. W książce „Zielnik świętowań polskich” Anny Zadrożyńskiej i Krzysztofa Brauna (Twój Styl, 2003) znalazłam wzmiankę o tym, że na Pomorzu wierzono, iż w Noc Zmartwychwstania woda strumieni i rzek nabiera niezwykłej mocy. Ludzie cierpiący z powodu niegojących się ran wędrowali przed świtem, by się obmyć w leczniczym potoku. Także po pierwszej wiosennej pełni należy siać i sadzić rośliny, ponieważ wtedy właśnie przyjmują się najlepiej. I coś w tym musi być. Potężna jest siła wiosny, a sieć powiązań pomiędzy żywymi istotami Ziemi nie na niej się kończy, lecz sięga Kosmosu.

Żyjemy w świecie pełnym codziennych cudów.

Zieleń jest kolorem nadziei. „*Jeszcze w zielone gramy*” — śpiewał Wojciech Młynarski, dodając nam otuchy w czasach czarnych i złych, kiedy się zdawało, że wszystko już stracone.

Wiosna zawsze przynosi nadzieję i zawsze jest NASZA.

Witaj, Zielona Energio!

TA SAMA PIOSNKA

Rabaty kwiatowe znajdują się właśnie w fazie, na którą czeka się przez całą długą zimę: to absolutne apogeum żywego piękna. Dziesiątki błękitnych kolumn ostróżek, poduchy floksów, kaskady róż, gwiazdziste łany lili — a wszystko dyszy zapachami o tylu odcieniach! W tych warunkach stała felietonistka robi się dziwnie niestała. Po prostu — nie ma kiedy pisać! Przecież i w dzień, i w nocy siedzi i patrzy, patrzy i chodzi, stoi lub leży i gapi się godzinami, albo co najwyżej pstryka zdjęcie, mające utrwalić i uwiecznić ten ogrom piękna. W przyszłym roku bowiem cała kompozycja, cała konfiguracja kształtów i barw na pewno się zmieni, i znów wszystko będzie inaczej. Ogród to żyjący obraz, który można malować bez końca — zmieniając, przesadzając, wyrównując, usuwając, dosadzając i dosiewając rośliny. Kto raz zaczął go tworzyć, zapewnił sobie zajęcie do końca życia. Posiadł też gwarancję odczuwania prawdziwego, niczym nie zmaconego szczęścia, i to przez kilka miesięcy w roku! Przez pozostałe miesiące może żyć nadzieją, która na pewno nie okaże się płonna.

„Ptastwo po drzewie wita miłe chłody uciesznym głosem, a niebo się śmieje.” Maj i czerwiec absorbują nie tylko wzrok, lecz i węch, a także — słuch. Najcudowniejsze ptasie koncerty odbywają się właśnie wtedy, w okresie godowym. Przed tym okresem śpiew ptaków jest zaledwie wyrazem dobrego samopoczucia, a ptasie głosy wyrażają zwykłą potrzebę kontaktu lub przekazują informacje („Gdzie jesteś?” — „Tutaj, tutaj!” — „Dobrze ci tam?” — „O, tak, tak!” — „To już lecę!”) Jednakże w tej właśnie najpiękniejszej porze roku ogród dygocze od zapamiętałego miłosego śpiewu. Odzywają się głosy wabiące, melodyjne, powiązane w dłuższe zwrotki, głosy o szerokiej skali modulowanych tonów, zróżnicowane pod względem siły, tempa, długości frazy, pod względem rytmu i melodii, bogate i intensywne. (Pewien aktywny samiec zięby, obserwowany przez słynnego ornitologa, prof. Sokołowskiego, w ciągu dwu godzin zaśpiewał 824 razy!)

W swoim wspaniałym dwutomowym dziele „Ptaki ziem polskich” (PWN Warszawa, 1972) profesor Jan Sokołowski niczym prawdziwy poeta, a zarazem znakomity psycholog, znawca charakterów i zachowań, opisuje wygląd, obyczaje i głosy ptasie. (Nie mogę się oderwać od tej lektury!) Oto próbka stylu: „*Gile są ozdobą naszych lasów i równie pięknie wyglądają na tle zieleni, jak i śniegu, tym bardziej, że są towarzyskie i zazwyczaj widzimy nieraz całe stadko, a ich flegmatyczne usposobienie pozwala na obserwacje zaledwie z odległości kilku kroków. (...) Nawet gdy po wystrzale spadnie jeden z ptaków, reszta nie ucieknie, lecz przybliży się do nieszczęśliwca, wabiąc go żałośnie. Towarzysze zachowują się, jak gdyby chcieli go zabrać ze sobą i dopiero po chwili niechętnie odlatują. (...) Samica i samiec stale się nawołują, wydając miękki, czule brzmiący ton, który przypomina głuchy świst, jaki powstaje, gdy dmuchamy w otwór klucza. Głos ten można oddać przez »dju dju«.* Śpiew składa się z szeregu skrzypiących i brzęczących tonów, przeplecionych opisanym »dju«. *Pieśń nie jest piękna, jednak ptak śpiewa ją dobrodusznie i w takim skupieniu, że tym samym sprawia miłe wrażenie. W interpretacji ludowej pieśń brzmi: »Michał duli duli skocz przez kij«.*”

Profesor Jan Sokołowski (1899–1982), zoolog i ornitolog, wykładał na Uniwersytecie Poznańskim od 1948 roku, a od 1951 do 1970 — na poznańskiej Wyższej Szkole Rolniczej. Nasi znajomi, którzy mieli szczęście być jego studentami, opowiadają o niezwykłym oddziaływaniu tego ujmującego człowieka. Był naukowcem najwyższej klasy, melomanem i utalentowanym pisarzem. Zobaczmy, jak pisał o przylatujących do Polski w marcu ziębach: „*Pięknie wybarwione samce natychmiast zajmują odpowiednie stanowiska i zaczynają równocześnie ćwiczyć się w*

śpiewie, którego — rzecz szczególna — jakby zapomniały przez zimę. To przypomnienie śpiewu trwa mniej więcej tydzień i ptak każdego dnia robi znaczne postępy, tak że na początku można z łatwością poznać, od ilu dni znajduje się na miejscu. Normalny śpiew zięby składa się z krótkiej, pełnej, melodyjnej i ognistej zwrotki, w której możemy odróżnić trzy części: wstęp, ton główny i końcówkę. Na słowa można by go przetłumaczyć: »cicicicicit–tjutjutjutju. cetir«. Lud określa go bardzo trafnie przez: »czekaj, czekaj, coś zrobiła, a widzisz«, albo: »myślisz, że cię na śliwkach nie widział«,.

W czasach, gdy profesor prowadził swe — wieloletnie zresztą — badania, lud słuchał jeszcze głosów przyrody i wpatrywał się jeszcze w ptaki, a nie w telewizor; nie sądzę, by dziś w Polsce istniał taki lud, w dodatku posługujący się polszczyzną w sposób tak miły, figlarny i wynalazczy. Lud ten już raczej u nas wymarł, podobnie jak zanikli w Europie znawcy ptasiego śpiewu. „Niegdyś, kiedy jeszcze nie było wielu wielkomięjskich rozrywek — pisze prof. Sokołowski — cieszyła się zięba dużym poważaniem. Na przykład w Turynii za jednego dobrego śpiewaka płacono cenę równającą się wartości krowy, a znajomość rozmaitych śpiewów stanowiła swoistą naukę. Tak np. odróżniono nie mniej jak 40 rodzajów śpiewu i nazywano je zależnie od brzmienia końcówki. Dzisiaj zięba nie jest w modzie i jeszcze tylko w Wiedniu i RFN zachowały się resztki tego niegdyś ożywionego zainteresowania”.

Wspomnijmy przy okazji szpaka imieniem Stahr (Star?), kupionego w Wiedniu, w dniu 27 maja 1784 roku, za 34 grajcary przez Wolfganga Amadeusza Mozarta. W „Listach” kompozytora, wydanych w roku 1991 przez PWN, zamieszczono nawet zapis nutowy śpiewu tego ptaka, zanotowany przez Mozarta i wykorzystany następnie przez niego jako jeden z tematów III części Koncertu fortepianowego G–dur (K–453). Musiał też istnieć ważny dla historii muzyki ortolan (czyli trznadel ogrodniczek), o śpiewie którego pisze Jan Sokołowski: „*Jest jednym z najmilszych głosów ptasich. Trudno o głos bardziej prosty, a mimo to bardziej słodki, melodyjny i melancholijny. Harmonizuje on z ciszą, przestrzenią i zapachem pól. Końcowy ton jest o jedną tercję niższy od dwóch lub trzech poprzedzających i tym motywem, zaczerpniętym ze śpiewu ortolana, rozpoczął Beethouen słynną V Symfonię*”.

Czy można postawić tezę (a czemu by nie — ośmielę się!), że dzisiejsi kompozytorzy, podobnie jak dzisiejszy lud, nie słuchają ptasiego śpiewu? Trudno nawet przypuścić, by którykolwiek ze współczesnych utworów muzycznych mógł powstać pod wpływem takiego przeżycia, jakie było udziałem Mozarta i Beethovena. Jeśli zaś chodzi o poetów, to obawiam się, że obecnie nie zauważają ptaków w ogóle, uznając, że są one tematem nadto już wyeksploatowanym. Niemożliwe, by któryś popisał się takim słuchem, jak Julian Tuwim („Ptasie radio”) lub choćby Lucjan Rydel:

*Ino się słowik nade mną
Urzewnia i tak mi gada:
„Biednyś — biednyś!
Boli — boli — boli!...
Żal mi cię, żal, żal, żal!
Ma–cius–cius–cius–cius–cius!
Biednyś! — Oj, tak!
Cierp, cierp, cierp, cierp, cierp!”*

(„Zaczarowane koło”)

Lecz przepraszam! Jeremi Przybora umiał słuchać ptaków i najwyraźniej musiał je lubić, skoro napisał:

*Gdy prowadzi nas czarodziejski wilgi flet
Przez pachnący las tak byś szedł i szedł i szedł!*

(„Ścieżką pośród łąk”)

— w dużej zresztą zbieżności z rozpoznaniem Sokołowskiego, który pisze: „*Melodyjne flety wilg rozbrzmiewają przez całe lato*”, dodając interpretacje słowną tego śpiewu: „*Iglijo — diglijo*” lub „*Zofijo, Zofijo*”.

Wróćmy jednak do słowika. „*Do rodzaju Luscinia Forst należą nasze najlepsze śpiewaki. Charakterystyczne dla nich jest rdzawo szare upierzenie, duże oko i harmonijne wymiary ciała. (...) Jaśniejszy pierścionek okrąża ciemnobrązowe oko, przez co wygląda ono jeszcze większe i bardziej wyraźne. Żaden ptak nie dorównuje słowikom pełnią tonów, miękkością głosu, siłą wyrazu i mistrzostwem opanowania gardła. Stanowczo osiągnęła tu natura szczyt tego, na co pod względem śpiewu ptasiego mogła się zdobyć. Mimo że słowiki słyszymy co roku, każdej wiosny ogarnia nas zdumienie, jakim sposobem tak mały ptak może wydobyć tę potężną skalę tonów. Raz brzmią jego trele, jak gdyby się perły sypały, to znów żałośnie fiuka, skarży się i płacze, po chwili delikatnie tylko potrąca jakieś struny, a potem głośno kląska i kończy zwrotkę radosną kaskadą. Śpiew jego jest coraz to inny: raz cichy i rzewny, to znów pelen ogni i temperamentu — pisze Jan Sokołowski, dorzucając, że słowik rdzawy wyglądem i obyczajami niewiele się różni od słowika szarego, toteż rozróżnia się je po śpiewie. — *Słowik rdzawy operuje więcej trelami i słodkimi fletami, a poszczególne tony wiąże lepiej. (...) Natomiast słowik szary tonów nie wiąże, a »wymawia« je pojedynczo i każdy ton powtarza po kilka razy z rzędu. (...) Określenie »wymawia« użyłem umyślnie, gdyż istotnie pojedyncze tony łatwo dadzą się ubrać w słowa, np. »słowik słowik dawid dawid kudu kudi tjuku tjuku« itd. Jak się okazuje, nazwa »słowik« jest wiernym odzwierciedleniem pewnej części śpiewu.**

W pierwszym roku młode samce mają głos nieszczerólny. Pochodzi to stąd, że śpiew słowika nie jest wrodzony i ptak musi się go uczyć od osobników starszych” — rzuca uderzającą uwagę prof. Sokołowski, powodując u zdumionego czytelnika natychmiastowe ruszenie ciągu skojarzeń. Przecież to właśnie do słowika zwracał się John Keats:

*Przed tysiącem lat tym samym głosem
Urząkałeś cesarza i prostego chłopa:
Tą samą piosnką, którą dzisiaj w nocy słyszę
Wnikałeś może w serce Ruth, pełne tęsknoty.*

(„Oda do słowika”)

A wiersz Thomasa Hardy’ego „Ta sama piosnka” (biorę go w tym samym przekładzie z antologii Stanisława Barańczaka) to oczywiste nawiązanie do słynnej „Ody”. Oba wiersze, zestawione z informacją profesora Sokołowskiego, muszą wzbudzić refleksję zarówno na temat poetyckiej intuicji i daru obserwacji u obu poetów, jak i — tajemnicy owego piękna i owego kunsztu, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, na przestrzeni tylu tysiącleci, przez szare i rdzawe, tak krótko żyjące istotki o wyrazistych oczach:

*Ptak zanoszą się tą samą piosnką,
Bez najmniejszych odstępstw czy pomyłek,
Której kiedyś słuchaliśmy wiosną,
Lat temu tyle...*

*Co za dziw: śpiewacza ekstaza
Tak przez lata na pamięć wykuta,
Że trwa, do dziś się powtarza
W niezmiennych nutach!*

*— Ale ptak nie jest ten sam. —
Prawda: tamten to dziś proch i ciemność.
Jak i ci, co wtedy ptasich gam
Słuchali ze mną.*

PRZEWAGA

Noc taka ciepła i spokojna. Olbrzymi księżyc w pełni — zawsze tak samo zadziwiająca kula — unosi się na tle gwiazdzistej otchłani. Natura trwa w ciszy — nawet ptak nie piśnie, nie drgnie nawet listek. Ogród jest widmowo oświetlony, a pośród cieni mającą białe kwiaty. Mocno pachnie kapryfolium. Nie zdziwiłabym się, gdyby trawnikiem przeszedł anioł.

Siedząc tak w tym spokoju, w tym zachwycie, można bez trudu zapomnieć o reszcie świata — o tym, że w ogóle istnieją duszne, rozdygotane, zatłoczone miasta, a w nich — rozdygotani ludzie, raniący się nawzajem; o tym, że sprawy idą na ogół w złym kierunku, głupota triumfuje, bezczelność popłaca, a całe oceany złej woli, pychy i niekompetencji zalewają to, co zdołano zrobić dobrego i mądrego. Tak, można o tym zapomnieć do reszty. Albo też — pod tym rozświetlonym niebem — spokornieć i powiedzieć sobie: *nihil novi*. Czyż kiedykolwiek w historii było inaczej? Nie. Nigdy. A przecież mimo to świat trwa i rozwija się, z czego prosty wniosek, że jednak rację ma ojciec Krzysztof, dominikanin, który z uśmiechem optymisty powtarza: „*W ludziach jest wiele dobra. Dobro na świecie przeważa*”.

Tylko, że tego tak na pierwszy rzut oka nie widać.

Przywiozłam sobie na wakacje stopy książek, często już nawet przykurzonych — całe zimowe i wiosenne zaległości. Wśród nich czekała bardzo długo — za co przepraszam! — dwutomowa książka pani profesor Anny Marii Komornickiej „Zagadki z Biblii, Tradycji i Kultury Chrześcijańskiej” (Michalineum, 2000). Bardzo to pożyteczne i ciekawe dzieło — układ zagadek o zróżnicowanej skali trudności, przypominających wątki, osoby, pojęcia, sytuacje i zwroty z Pisma św. Wszystkie zagadki uzupełnione są szczegółowymi odpowiedziami, zawartymi w drugiej części każdego z tomów. I tu się zaczyna największa przyjemność dla czytelnika: widzi, jak pani profesor — filolog klasyczny, hellenistka, członek Zarządu Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej PAN, redaktor naczelny czasopisma „Meander” — daje się ponieść tematowi. Odpowiedzi na owe zagadki są bowiem w istocie małymi esejami, pełnymi wiadomości, a zarazem — wdzięku. Często w tekście widać inkrustacje cytatami poetyckimi — jest tu i Anna Kamieńska i Carmen Bernos de Gasztold, ksiądz Jan Twardowski, Dante, Gałczyński, Milton, Rilke, Emerson, Blake i Beata Obertyńska. Szczególna obfitość pięknych wierszy zdobi rozdział poświęcony aniołom. Jednego z tych wierszy nie znałam, a urzekł mnie od pierwszej chwili:

*Anioły Boże przychodzą w przebraniu.
Smutek, choroba, ubóstwo i śmierć (...)
Jeden za drugim unoszą swe maski
I serafina spod nich twarz zaświeci,
Jaśniejąc blaskiem chwały i pokoju,
Tego, któremu dane było ujrzeć Pana.*

(James Russel Lowell)

Albo ten, Ralpa Waldo Emersona:

*Tylko w największych przełomach,
W niestrudzonym przetrwaniu,
W przypadkach, kiedy współczucie to za mało —
ukazuje się anioł.*

„Znajomość Biblii — pisze Autorka we wstępie — jest u przeciętnego Polaka znikoma. Wychodzi to na jaw w badaniach–kwerendach naukowych — przeprowadzanych w różnych środowiskach, ale i w kontaktach osobistych, a także — w radiowych i telewizyjnych quizach. Kulturalni, skądinąd wykształceni ludzie wykazują zastraszającą ignorancję w tematyce, która leży u fundamentów nie tylko wiary chrześcijańskiej — pisze Autorka. — I tak na przykład zapytywani kandydaci lub respondenci nie znają imion rodziców Matki Bożej, mają słabe pojęcie o życiu Chrystusa («Urodził się w Nazarecie»); mylnie rozumieją takie pojęcia jak Trójca Święta («To trzech królowie». Odkupiciel to »ten, kto płaci okup szantażyście«). Przykładów, równie zaskakujących, skrupulatnie notowanych, można przytoczyć wiele”.

Lektura „Zagadek” — bo do uważnej lektury właśnie należałoby zachęcać, a nie do pobieżnego przejrzenia obu tomów — może w prosty sposób wypełnić wiele luk w naszej edukacji lub wspomóc pamięć. Sama, usiłując odpowiedzieć, dla zabawy, na kolejne pytania, niejednokrotnie miałam kłopoty z pamięcią. Całe szczęście, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by wystąpić w jakimś teleturnieju!

Ta niezmiernie potrzebna i ciekawa książka ma jeszcze jeden walor: najzupełniej osobiste komentarze uczonej Autorki, która ma wielki dar popularyzatorski. Na przykład — pytanie dotyczące Starego Testamentu („Kogo wzięł pod swoją opiekę anioł Rafael?”) opatrzone jest takim komentarzem: *„Opowieść o obu Tobiaszach jest niezwykle uroczą »nowelą« literacką, w której elementy romansowe (love story z happy endem) splatają się ze scenkami rodzajowymi, bogatymi w wątki folklorystyczne, z elementami prawdziwego »dreszczowca« i aspektów nadziemskich. Fabuła samej przygody trzyma w napięciu czytelnika, a emocje są kunsztownie dozowane retardacją i suspensem. (...) Bohaterowie, naszkicowani subtelną kreską, są sympatyczni, barwni, nietuzinkowi, toteż czytając bierzemy żywy udział w ich losach”* — i na kolejnych, aż ośmiu, stronach, Autorka streszcza wydarzenie po wydarzeniu, scena po scenie, swoją, najwyraźniej ulubioną, księgę, opatrując ją żywymi wykrzyknikami i pełnymi humoru wtrąceniami.

Przyznać trzeba, że „Zagadki” byłyby znakomitą pomocą w szkole i należałoby sobie życzyć, by książka ta była dostępna w każdej księgarni. Niestety! —jak słyszę, są z tym problemy. Szkoda! Może gdyby Wydawnictwo nie pożalowało środków na barwne ilustracje

— byłyby inaczej? Książka jest bowiem przyozdobiona ilustracjami dobranymi z wielką pieczołowitością (reprodukcje obrazów Tycjana, Fra Angelico, Rembrandta, Tintoretta i Boscha, miniatur pochodzących z mszału z Autun i z Brewiarza Burgundzkiego). Zestaw tych ilustracji, tak znaczących, znakomicie koresponduje z tekstem. Tyle że jeden z najbarwniejszych obrazów świata — Dyptyk Wiltoński — w oryginale mieniący się najpiękniejszymi odmianami błękitów i złotem — w wersji szaro–szarej staje się nieczytelny, błahy i nieciekawym.

Ale może przyczyną nieobecności „Zagadek” w księgarniach jest zgoła coś innego: to mianowicie, że społeczeństwo nasze, znacznie bardziej niż o Biblii, woli sobie poczytać o herosach z Sękocina? I księgarze ochoczo wychodzą naprzeciw temu zapotrzebowaniu...

Co w takiej sytuacji możemy sobie powiedzieć — na pociechę?

„W ludziach jest wiele dobra.”

BUKOLIKI

Ledwie zostałam babcią — już mam nawyki. Trudno zaprzeczyć! — w dodatku cechuje je monotonna cykliczność. Cykl, na ogół, wygląda następująco: przez całą późną jesień i zimę szaleńcza praca po 12 godzin na dobę, zaniedbywanie „Frywolitek” i korespondencji, życia towarzyskiego i kulturalnego, stopniowa utrata sił i zapadanie na zdrowiu; u progu wiosny — przekazanie wydawcy tekstu nowej książki i natychmiast potem, dosłownie na drugi dzień rano, spektakularna poprawa stanu zdrowia. Dalej następuje wypełnienie z pieczary wprost w plener i poddawanie się tam reanimacji wedle własnego programu odnowy (cyklicznego), a więc: wielogodzinne przekopywanie i pielenie ogrodu oraz sadzenie nowych roślin (np. pięćdziesięciu małych ostróżek) a także wielokilometrowe rajdy rowerem przez lasy i pola. Monotonne czy nie, metody te są nadzwyczaj skuteczne, choć zgadzam się, że niekoniecznie przystoją osobom *ex definitione* zrównoważonym, to jest — babciom. Mimo wszystko, powrót do młodzieńczej kondycji odbywa się piorunem, tak, że wkrótce rozradowana babunia nie tylko bez trudu dociera na rowerze do szkółki róż w Kostrzynie, ale i powraca stamtąd z pełnym obciążeniem, pod górkę, i jest również w stanie napisać doroczny (cykliczny oczywiście) felieton, sławiący uroki wiosny.

Tak i w tym roku: „Kalamburka” skończona nareszcie, i oto, powróciwszy z wielkiego obchodu lasów, można zasiąść na tarasie i pić pachnącą herbatę oraz spożywać świeży chleb z twarogiem. („*Mam dosyć słodkich jabłek, mam miękkie kasztany, mam i ser ze świeżego mleka wytłaczany*”). Jest ósmy maja, cudowny słoneczny dzień bez jednej choćby chmurki. Bocian krąży ponad dalekimi łąkami, szumią sosny, a to, co dosłownie przed chwilą mignęło płowo pomiędzy kwitnącymi jabłoniąmi, to musiał być dudek!

W lesie mnóstwo fascynujących nowości: mały sarni koziołek staje zaskoczony na piaszczystej dróżce i spogląda roztropnie na osobę, która pojawia się tak niespodziewanie w cicho stąpających tenisówkach. Słońce błyszczy na lepkich listeczkach, a wiatr porusza nimi tak, że te wszystkie polśniewania układają się w migoczące chmury. Spod ziemi wylazły setki gwiazdzystych białych kwiatków i całymi dywanami wyścielają polany i zagajniki. W rezerwacie bukowym („*Pod rozłożystych buków spoczywając cieniem, Tyrtyrze...*”) — jasnozielona mgielka młodych liści filtruje, poprzez kolejne sklepienia, światło chłodne i seledynowe, co daje efekt tajemniczej wzniosłości, jak w katedrze. Ze srebrzystej warstwy zeszłorocznych liści wybijają się, niezliczonymi kępkami, wysokie kity trawy. W górze ptaki („*...będą ćwierkać, świstać, kwilić, pitplilitać i pimpilić*” oraz „*ćwirzyć, ćwikać, ćwierkać, czyrkać, czykczyrikać*” — kto? — Tuwim!), które dzwonią, terkoczą, trąkoczą, popiskują, tiurlikają, fiukają, śpiewają i szczebiocą oraz gwiżdżą.

O, Stwórco!

Dzięki za maj — w naszej szerokości geograficznej.

*„Nućcie, gdyśmy na miękkiej usiedli murawie,
Teraz rola, krzew każdy teraz buja z soku,
Gaj rozkwitł, teraz pora najpiękniejsza roku...”*

— można już ujawnić, że zarówno ten cytat, jak i dwa pierwsze pochodzą z wydanej w wersji dwujęzycznej przez „Czytelnika” (1998) „*Bucolicon liber*”, czyli z „*Bukolik*” Wergiliusza Maro, w tłumaczeniu Kajetana Koźmiana (tak jest! „*Tysiąc wierszy o sadzeniu grochu*” — to ten sam!), niedocenionego twórcy. Rozkoszna książeczka! Autorem interesującej, znakomicie napisanej

przedmowy, jest Jacek Wójcicki, który także zaprojektował szlachetną w swej prostocie okładkę, kartę tytułową oraz wyklejkę. Ta ostatnia jest złotawa, zreprodukowano na niej, w kontrze, IV eklogę w tłumaczeniu Koźmiana, drukowaną w „Gazecie Warszawskiej” w roku 1811. Wdzięczny ten pomysł dodaje smaku eleganckiej książeczce.

Przyjemnie się czyta ten przekład, można też stwierdzić, porównując z oryginałem, jak bardzo jest wierny. Jak się dowiadujemy z bogatego w informacje wstępu, do tłumaczenia Wergiliusza zachęcił Koźmiana kolega z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Jan Feliks Tarnowski. *„Rzekł mi — wspominał Koźmian — że klasyków nie można mieć dość licznych tłumaczeń, gdyż tylko liczne tłumaczenia przez różne zdolności, talenta i pióra, mogą nas zbliżyć do dokładnego, a może i doskonałego; temu się jedno, innemu drugie, trzeciemu trzecie uda szczęśliwie i dosłownie oddać; dlatego Francuzi i Anglicy mimo licznych przez najcelniejsze pióra tłumaczeń ciągle tłumaczą, chociaż ich języki opierają się ich zdolnościom. Nasz język przez swoją konstrukcję i zwięzłość najspodobniejszym jest do wydania wiernie tekstów łacińskich prozą i wierszem”*.

Tłumacząc, Koźmian wystrzegał się *„łęklwego dla starożytnych wzorów uszanowania”*. Pan Wójcicki wskazuje, że Kajetan Koźmian stosował tradycyjne formy wiersza polskiego, układ stroficzny oraz dopracowane, bogate rymy i uznaje ten przekład za doskonale osiągnięcie poetyckie. *„Niestety, utwór ten nie miał szczęścia”* — dodaje. Koźmian nie zdołał doprowadzić do wydania „Bukolik”, a po jego śmierci zła passa trwała: nie udało się planowana przez Koźmiana—syna edycja, której tom trzeci zawierać miał przekłady; następni wydawcy również odkładali rzecz na później, wreszcie *„zapomnieli o tak pięknym dziele wszyscy prócz nielicznych filologów i bibliografów”*.

Tym większa zasługa i chwała pana Wójcickiego, który „Bukoliki” w tym przekładzie *„z rękopisu wydał”* i tak pięknie o nich pisze: *„Zaszczepiły w kulturze europejskiej mit Arkadii (...) Była to Arkadia daleka od późniejszych beztroskich, jednowymiarowych naśladownictw rokoka. Arkadię Wergiliusza przenika bolesna melancholia, u źródeł piękna każdego obrazu pulsuje świadomość nieuchronnej zagłady, tkwiącej w samej istocie rzeczy, a powracające obsesyjnie w błyskawicznych objawieniach cierpienie, zło i szpetota, czynią każdą chwilę tym bardziej niepowtarzalnie piękną, tym bardziej godną zapamiętania”*.

Czy można znaleźć sobie lepszą lekturę do majowego ogrodu?

*„Hic ver purpureum; uarios hic flumina circum
Fundit humus flores; hic candida populus antro
Imminet, et lentae texunt umbracula vites.
Hue ades: insani feriant sine litora fluctus.”*

— *„Tu strumienie obwodzi kwiecista murawa,
Tu wiosna w szkarłat strojna, tu wejście pieczary
Srebrna topola swymi zacienia konary,
Tu giętkie winorośle chłodnym cieniem kryją,
Tu przybądź, niech szalone wały w brzegi biją!”*

O, Stwórco!

Dzięki za poetów łacińskich.

A także za tych, nam współczesnych, którzy tych łacińskich czytali, a może i tłumaczyli?

Przy okazji polecam Wam jeszcze, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, „Dzieła wszystkie” Horacego, wydane przez PWN (2000). Jest to prześliczna, dwutomowa edycja (*„Tekst łaciński do druku przygotował, wyboru przekładu dokonał, przedmowę, życiorysem poety,*

wersyfikacją i komentarzem opatrzył— Oktawiusz Jurewicz”). Wspaniały ten wybór przekładów daje poznać, jak wielu polskich poetów, i tych najwybitniejszych, i tych mniej znanych, porywało się na tłumaczenie Horacego, i z jak różnymi, a zwykle doskonałymi, rezultatami!

JESTEM ZIEMIĄ

Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy — zauważyłam, że począwszy od kwietnia, każdy tydzień w ogrodzie ma swój dominujący zapach. Zaczyna się od krzewów tarniny, potem włączają się drzewa owocowe, zwłaszcza jabłonie; następnie rozkwitają bzy, zaraz po nich — kapryfolium, róże, maciejka, czarny bez, potem lipa, nikocjana i wreszcie, właśnie w lipcu — lilie. Te tajemnicze istoty pachną wieczorem i nocą. Pogoda jest u nas nienajgorsza, raczej spokojna, więc kiedy się przechodzi ciemnym trawnikiem pośród dzwonienia świerszczy w cichy, ciepły wieczór, smugi ziębnącego powietrza przenoszą, z rabaty na rabatę, całe fale świeżego, słodkiego, aksamitnego aromatu. Właśnie kwitną lilie trąbkowe — posadziłam ich całe łany! — czyli złota African Queen i różowa Pink Perfektion, a lada dzień rozwiną się śmietankowe kielichy Casablanki o ciężkim duszącym i silnym zapachu, na koniec zaś będzie święto olśniewająco białej, pachnącej mocno a subtelnie, lilii Longiflorum. Jej wydłużone, smukłe kwiaty o doskonałej, czystej formie wystają poziomo ze sztywnej łodygi i przypominają trąby anielskie.

Cisza, spokój, absolutna równowaga elementów. Zegar przyrody bezszelestnie odmierza czas. Pączkowanie, rozkwit, więdnienie. Obumieranie — i ponowny wzrost. „*W przyrodzie nie ma pośpiechu*” — jak zauważa publicysta miesięcznika „Dziki życie”, po czym przytacza słowa Emila Ciorana: „*Każdy rodzaj pośpiechu, nawet w stronę dobra, świadczy o jakimś zwichrowaniu umysłu*”. Aha! — to już wiem, dlaczego tak rzadko pisuję felietony i dlaczego, o wiele bardziej niż pisać, wolę spokojnie usiąść przy ogniu, na tarasie, i w świetle ruchliwych płomieni czytać, co mi w rękę wpadnie.

Ostatnio poczta przyniosła mi list od pana Andrzeja Korbela, redaktora naczelnego wspomnianego wyżej miesięcznika. Okazuje się że „Dziki życie” to bardzo ciekawe czasopismo, fachowo i sprawnie redagowane, mądrze prowadzone, a poświęcone pomocy ginącej przyrodzie. W numerze lipcowo-sierpniowym wiele jest ważnych i ciekawych spraw, z których najważniejsza to zamach na przyrodę bieszczadzką, jak nazywa Redakcja projekt przeprowadzenia gazociągu jamalskiego przez Bieszczady, mimo że istnieją alternatywne plany lokalizacji tej inwestycji, nie naruszające obszarów cennych przyrodniczo. Gdyby gazociąg jamalski został poprowadzony w okolicach Cisnej — pisze Janusz Korbel — to przecinałby co najmniej dwa parki krajobrazowe i zniszczyłby Dolinę Solinki. Redakcja wzywa wszystkich ludzi dobrej woli do podjęcia akcji protestacyjnej i domagania się nienaruszalności Bieszczad oraz innych przyrodniczo cennych terenów, zagrożonych projektem budowy gazociągu. Chciałabym niniejszym przyłączyć się do tych głosów. Ja także sądzę, że nie wolno handlować przyrodą.

„*Dzisiaj nam się wydaje, że jesteśmy panami, ale to nieprawda. Myśmy tę przyrodę opuścili. (...) Przestaliśmy rozumieć fakt podcinania gałęzi, na której siedzimy i może to nas bardzo dużo kosztować w nadchodzącym stuleciu. (...) Jak przychodzą klęski żywiołowe, to się wtedy okazuje, że jesteśmy robaczkami na tej kuli ziemskiej i jesteśmy zupełnie, ale to zupełnie bezsilni. Wystarczy kilka dni opadów*” — mówi Stanisław Lem, z którym rozmowa zamieszczona jest w wydanej przez „Dziki życie” książce: „O przyrodzie i człowieku”. Ten zbiór wywiadów ukazuje nam frapujące portrety trzynaściorga różnych, a jednak połączonych wspólną myślą i troską, niezwykłych ludzi. W przedmowie do tej książki pisze Janusz Korbel, jej redaktor i wydawca: „*Przyroda do nas mówi: czasem srogo doświadczać nas powodziami, zmianami klimatycznymi, klęskami, a czasem ukazując naszym oczom niewyobrażalne piękno — cud, którego nie jesteśmy w stanie naśladować swoimi wytworami. Czasami mówi do nas językiem człowieka, bo my też jesteśmy częścią przyrody. Zebrane w tej książce rozmowy możemy postrzegać także jako taki właśnie głos przyrody*”.

Podobnie odczuwa to siostra Miriam Therese Mac Gillis, dominikanka, założycielka i dyrektorka Genesis Farm w USA: „*Dopiero, gdy usłyszałam po raz pierwszy wykład Thomasa Berty'ego o historii wszechświata i o naszym powiązaniu z Ziemią, o tym, że dosłownie jesteśmy jej świadomością, po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, że ja jestem Ziemią. Nie jestem w niej, czy też na niej, jako gość: ja jestem nią, będącą mną — Ziemia jest świadoma samej siebie przez nas*”. — Dalej siostra Miriam, której promienna, mądra i uśmiechnięta twarz spogląda z fotografii — relacjonuje swój pogląd na trzy fundamentalne prawa, którym podlega wszechświat. Są to prawa: różnorodności, subiektywności i wspólnoty. Także ludzie — o czym przypomina nam przyroda — podlegają tym trzem prawom, gdyż są częścią świata naturalnego. Prawo różnorodności przejawia się w tym, że wszechświat nieustannie podąża ku odmienności form; nie istnieją w nim nawet dwa byty identyczne, każdy organizm różni się od drugiego, cała kreacyjność wszechświata opiera się na różnorodności. Tak więc wszelka jednolitość, masowość, monokultura, produkcja seryjna — odbiega od natury i nie służy człowiekowi.

Drugie prawo to subiektywność, czyli wymiar wewnętrzny, obecny w każdej istocie. Każdy wyraz wszechświata, każde stworzenie, żywe czy — jak mówimy — nieożywione, niesie w sobie wielką tajemnicę, świętą głębię, i jest manifestacją istnienia.

I wreszcie, po trzecie — wspólnota. Wszystko we wszechświecie jest połączone z sobą i spokrewnione, zależne od siebie nawzajem, i tworzy jedną całość, jedną sekwencję wydarzeń, od początku istnienia poprzez piętnaście miliardów lat. Wszechświat jest więc jednością samą w sobie. „*Całe życie Jezusa — mówi siostra Miriam — jest świadectwem tych trzech fundamentalnych praw wszechświata. Jego miłość do wszystkich ludzi była możliwa, bo dostrzegał różnorodność i subiektywność w każdym człowieku. (...) Dlatego możemy powiedzieć, że Jezus jest wszechświatem, który staje się świadomy wielkiej tajemnicy samego siebie*”.

W książce spotykamy także Olę Tokarczuk, która mówi o grozie metafizycznej, jaką odczuwa w obliczu potęgi natury. „*Wielka przestrzeń w górach obywa się świetnie bez nas. Kiedy tylko schodzimy do osiedli, zapominamy o tym i wydaje nam się, że jesteśmy u siebie w domu, że wszystko jest nam podporządkowane. Ta groza to uświadomienie sobie, że nic by się nie stało, gdyby ludzi nie było*”.

A profesor Andrzej Bereszyński z Akademii Rolniczej w Poznaniu, autor wielu prac na temat wilka, prowadzący w Stebnicy stację doświadczalną, przytacza sentencję Henry'ego Bestona: „*Zwierzęta nie są naszymi braćmi, nie są też podwładnymi, są jednym z ludów, schwytych, jak i my, w sieć życia i czasu*”. Myśl ta wypisana jest na ścianie drewnianej szopy w Stebnicy, gdzie już teraz, pośród innych zwierząt, żyje osiem wilków, ocalonych przed zagładą. Profesor nie boi się ich, podobnie jak nie boi się niedźwiedzi i lwów. „*Nie znaczy to jednak, że przed zwierzętami nie należy mieć respektu*” — dodaje. — „*Tak jak w stosunkach międzyludzkich — trzeba się nawzajem szanować, zachowywać odpowiedni dystans*”.

„*Zajmowanie się ochroną dzikiej przyrody jest wielkim wyzwaniem w perspektywie przyszłości*” — twierdzi Peter Matthiessen, amerykański pisarz, autor „Śnieżnej pantery” (National Book Award 1980). — „*Niestety, w naszych zachodnich demokracjach wciąż wybieramy do władz takich samych ludzi. (...) Cechą naszych najnowszych czasów jest, że na szczyty władzy mogą dojść wyłącznie ludzie trzeciorzędni. Ludzie skromni i uczciwi nie chcą podejmować się pracy, która wymaga zaprzeczenia własnej duszy*” — po czym przytacza słowa Indianina, wodza Onodaga: „*My myślimy w kategoriach siedmiu pokoleń. Jeśli coś nie jest dobre dla siódmego pokolenia, które nadejdzie, to w ogóle nie jest dobre*”. A Matthiessen zauważa: — „*My zaś zupełnie zatraciliśmy sens tych słów. Łupimy i gwałcimy ziemię, jakbyśmy w ogóle nie mieli dzieci i wnuków, jakbyśmy nie mieli żadnego przesłania dla przyszłych pokoleń*”.

Nie jest przypadkiem, że ludzie umiejący widzieć i czuć przyrodę są tak sympatyczni. Na

kartach tej książki trzynaścioro spośród nich tworzy galerię wspaniałych typów psychologicznych. Mamy tu pisarzy i profesorów, mamy Józefa Brodę, animatora kultury ludowej, i dominikankę, i psychologów, i przyrodników. I wreszcie — znakomitego artystę plastyka, Andrzeja Strumiłłę, który mieszka na granicy Wigierskiego Parku Narodowego. Pan Strumiłło twierdzi, że nie istnieje wyraźna granica między człowiekiem a zwierzęciem, ani w sensie biologicznym, ani psychicznym, a może i duchowym. Świadomość tego faktu — dodaje — jest miarą naszej kultury i naszego człowieczeństwa. *„Niewinność jest zawsze najdoskonalsza — mówi. — Świadomość rodzi wątpliwości. Zapewne nigdy nie poznamy całej prawdy, a prawda cząstkowa daje nam jedynie zarozumiałość i pewność siebie. Gdzie się kończy zwierzę, a zaczyna roślina? Wiemy, że rośliny też okazują sympatię, antypatię i lęk. Roślina też czuje. Powiem więcej: nawet ten kamień, który tutaj leży, ma w sobie odrobinę duszy — Siły Sprawczej. On co prawda nie mówi, ale jest trwalszy od nas. My mówimy, mówimy wiele, ale szybko przemijamy. Musimy zachować bogactwo przyrody. (...) Całą »wyższość«, którą posiadliśmy lub otrzymaliśmy, musimy poświęcić służbie dla tych, którzy tego nie mają. Powinniśmy bardziej zaufać przyrodzie, bo ona jest mądrzejsza — mądrością pierwszą”*.

JEDNO LETNIE POPOŁUDNIE

Pojechałyśmy do Miłosławia — trzy kobiety z kolejnych pokoleń, najmłodszą za kierownicą. Mama (rocznik 1916), która jest w pełni sił twórczych, pisze grubą i ciekawą książkę o dziejach rodziny, poczynając od własnych pradziadków. Dla tych celów z zapałem kompletuje, kopiuje i ogląda dokumenty oraz fotografie, wysłuchuje wspomnień i anegdot. W Miłosławiu mieszkała jej babcia, Joanna Dobierska, i wielu innych krewnych. Umówiłyśmy się z kuzynką Mamy, Aleksandrą, i jej bratem Pawłem, na rodzinne spotkanie i opowieści, z których najważniejszą już znamy: dotyczy ona księdza Mariana Konopińskiego, brata Mamy: właśnie w Miłosławiu po raz ostatni widział go ktoś z rodziny. Było to 3 września 1939 roku. Przez Miłosław przetaczała się rzeka uchodźców, zdążających z zachodniej części kraju ku Warszawie. Ksiądz Marian pojawił się bardzo wczesnym rankiem, ubrany w mundur oficera 15. Pułku Ułanów Wielkopolskich, którego był kapelanem. Bardzo zdrożony, poprosił o możliwość umycia się i poszedł do kościoła naprzeciwko, by razem z proboszczem odprawić Mszę Św. Ośmioletni wówczas Paweł ruszył za nim wraz z bratem; byli ciekawi, czy ksiądz—oficer będzie odprawiał Mszę w mundurze. Ale ujrzeni go ubranego w komżę, spod której wystawały wysokie buty. Po odprawieniu Mszy wrócił do rodziny na śniadanie, po czym Paweł zaprowadził go do swego ojca, który u granic miasteczka pełnił służbę obywatelską: sterował ruchem kolumny uchodźców. Tu ksiądz Marian pożegnał się i dołączył do odjeżdżających ułanów. Wedle świadectwa towarzysza walki, brał potem udział w bitwie pod Laskami. Zginął śmiercią męczeńską w Dachau, w roku 1943.

Było to właściwie niedawno. A przecież to już historia. Cały Miłosław zresztą zanurzony jest w historii i historią oddycha. Położony niedaleko Środy i Wrześni, czyli w okolicy wsławionej Najdłuższą Wojną Nowoczesnej Europy — według określenia Stefana Bratkowskiego — niemal w każdym zakątku prezentuje ślady chlubnej przeszłości. Piękna to jest ziemia — w pradolinie Warty rozciągają się wspaniałe lasy, uważane za osobliwość przyrodniczą w Europie. Szlachetne drzewa rzadko spotykanych odmian rosną tam w naturalnych, potężnych skupiskach i osiągają imponujące rozmiary. Właśnie dlatego w 1901 roku utworzono tu — pierwszy w Wielkopolsce — rezerwat przyrody. Nic też dziwnego, że na takiej ziemi pobudowano tyle dworów i pałaców. Wiele z nich przetrwało do dziś, po innych pozostały tylko okazałe parki.

Nigdy przedtem nie byłam w Miłosławiu, więc przy samym wjeździe do miasta zostałam zaskoczona widokiem sporego pałacu pośród morza zieleni. Jak nam powiedziano, pałac ten zbudował Seweryn Mielżyński, właściciel Miłosławia, w latach czterdziestych XIX wieku. Późniejszy właściciel, Józef Teodor Kościelski, powiększył zarówno budynek, jak i teren parku (do 40 hektarów!). Dwukrotnie pałac został zniszczony: przez Prusaków, podczas Wiosny Ludów, i przez wycofujących się hitlerowców w roku 1945. Teraz mieści się w nim szkoła podstawowa, a jej uczniowie mają gdzie, doprawdy, pobiegać w czasie przerwy! Park założono, wykorzystując naturalny drzewostan, łączący się z wielkimi lasami. Rosną więc w parku drzewa o wiele od niego starsze: ogromne platany, dęby, lipy kaukaskie i jesiony. Modrzewiowe, świerkowe i lipowe aleje, pełne butelkowo—zielonego i bursztynowego światła, prowadzą w jakieś wielkie dale. Całość zapiera dech w piersiach — rozwichrzone olbrzymy stoją pośród trawników, wdzięcznie upozowane w romantycznych grupach, jak na angielskich pejzażach Stubbsa lub Gainsborough. Gładkie łąki poprzecinane są lśniąącymi kanałami, u brzegów których zasadzono wielkie ilości bylin kwiatowych. W głębi, obok dębu, mającego w obwodzie siedem metrów, stoi pomnik Słowackiego, ufundowany przez Józefa Kościelskiego, w 50. rocznicę śmierci poety, a ukryty w tym zakątku przed okiem pruskiej władzy. Pomnik ten stał się ważnym symbolem narodowym w

niemczonej Wielkopolsce, a odsłonięty został — jak powiedział książę Zdzisław Czartoryski — „w chwili największej krucjaty przeciwko językowi polskiemu, jaka się na tej ziemi odbywa”.

Ślad tej krucjaty znalazłam przy głównej ulicy: stara szkoła, nieduży budynek o neogotyckich szczytach, wzniesiona przez Seweryna Mielżyńskiego dla okolicznych dzieci, na frontowej ścianie ma wmurowaną tablicę, upamiętniającą strajki szkolne. Do pierwszego z nich doszło w roku 1901, wkrótce po wybuchu strajków szkolnych we Wrześni. Dzieci, protestujące przeciwko nauce religii w języku niemieckim, były za to katowane przez pruskiego nauczyciela. W szkole miłosławskiej, za to samo przewinienie, kara chłosty spotkała czternaścioro dzieci z najstarszej klasy. Ponieważ odmowę odpowiedzi na lekcjach karano także, ściągając z rodziców sumy przekraczające tygodniowy zarobek, Seweryn Mielżyński utworzył w roku 1901 Społeczny Komitet Pomocy dla rodzin strajkujących dzieci i wspierał je pieniędzmi pochodzącymi z datków. Działalność Komitetu sprawiła, że strajki szkolne trwały w Miłosławiu przez dwa lata. Do nowej ich fali doszło w roku 1906 — i tym razem powodem bezpośrednim była kara chłosty, wymierzona uczniowi podczas lekcji religii. Strajk trwał przez rok i rozszerzył się na cały obwód szkolny i na całe Wielkie Księstwo Poznańskie. Dzieci wielkopolskie uczono tajnie języka polskiego i historii i nawet zakazanych — bo polskich — pieśni. Tradycja tajnego nauczania i samokształcenia trwała w Wielkopolsce przez pokolenia. „Kiedy rząd pruski rozwiązał założone w 1872 roku Towarzystwo Oświaty Ludowej, powstało niemal natychmiast Towarzystwo Czytelni Ludowych — pisze Stefan Bratkowski w „Najkrótszej historii Wielkopolski” („W Drodze”, 1999). — *Uczniowskie koła samokształcenia w szkołach, te organizacje nastoletników, działały dziesiątki lat, nigdy nie rozszyfrowane przez policję pruską — kolejne pokolenia nastoletnich chłopców potrafiły przez tyle lat przestrzegać tak nienagannie zasad konspiracji!*”

Zaopatrzona w pożyczony od rodziny przewodnik („Miłosław” — wyd. WBP Poznań, seria „Wielkopolska Biblioteka Krajoznawcza”), zostawiłam Mamę przy rodzinnym archiwum i ruszyłam z córką na zwiedzanie pałacu, parku i kościołów. Utrudzone, po paru godzinach wsiadłyśmy wreszcie w samochód i widząc kuszącą, prostą jak strzała drogę brukowaną, obsadzoną po obu stronach pięknymi drzewami, zaraz ruszyłyśmy w nieznaną. Z doświadczenia wiemy, że w Wielkopolsce takie drogi prowadzą zwykle do jakiegoś pięknego celu. I rzeczywiście. Drogowskaz powiadomił nas, że jedziemy do Winnej Góry (ta nazwa coś mi mówiła). Minęłyśmy opłotki Miłosławia, pozostawiając za sobą feerię plakatów cyrkowych oraz wyborczych, ukazujących różne dziwne oblicza, płoty oblepione twarzami jeszcze dziwniejszych kandydatów oraz skrzynkę wysokiego napięcia z najdziwniejszym kandydatem na prezydenta — i już mogłyśmy się cieszyć na myśl o niespodziance, jaka nas czeka w oddali. Droga nasza wiodła przez śliczną równinę, widoczną aż po zamglony horyzont, pokrytą lasami i wodami, zdobną w smukłe, wysokie topole, które przed laty ktoś posadził rzędem pośród polnego krajobrazu, zapewne po to, by nadać mu trochę akcentów pionowych. (Podoba mi się zwyczaj sadzenia drzew — jest w pełni bezinteresowny. Przecież, nim urosną, ten, co je sadził, będzie już prochem.)

Wkrótce teren pofałdował się nieco i droga nasza, zakreśliwszy łuk, wywiodła nas przed kutą bramę parku. W głębi białął zgrabny pałac pośród starych drzew. Droga jednak nie przestawała nas kusić, więc — bardzo słusznie — uległyśmy pokusie. Tak znalazłyśmy się na wzgórzu, zwieńczonym późnobarokowym kościółkiem oraz kręgiem starych lip. W dole, po drugiej stronie drogi, dał się widzieć budynek o mansardowym dachu dwuspadowym, z kolumnkami i krucyfiksem na tymparonie oraz z dużym napisem: „Pamięci Maryi ze Stadnickich Mańkowskiej”. Kim była? Zaintrygowane, obejrzałyśmy i kościółek: nigdzie śladu Mańkowskiej, znalazłyśmy za to tablicę epitafijną Bronisława Dąbrowskiego oraz drugą, pamiątkową, wmurowaną tu w stulecie śmierci generała Jana Henryka Dąbrowskiego.

Dopiero wtedy moja pamięć się ocknęła i mogłam już się wstydzić własnej ignorancji. Twórca

Legionów Polskich i bohater hymnu narodowego zmarł przecież w Wielkopolsce! Daty na tablicy wskazywały, że Bronisław mógł być jego synem. W lewej nawie kościoła trafiłyśmy na kaplicę grobową Generała. Obok grobowca, wzorowanego na rzymskim sarkofagu Scypiona Afrykańskiego, jest tam i popiersie Generała, a pod nim — tarcza z pierwszymi słowami „Mazurka Dąbrowskiego”. Na ścianach wypisano pola chwały Legionów Polskich i pola bitewne Generała.

Do przewodnika zajrzałyśmy, stojąc już przed pałacem (nad jego wejściem widnieje data budowy: 1910 i dewiza Generała: „*Si Deus nobiscum, quis contra nos*”). Winną Górę, wraz z kluczem majątków, podarował Generałowi w roku 1807 Napoleon Bonaparte — i był to chyba prezent ślubny, ponieważ po swym triumfalnym wjeździe do wyzwolonego Poznania w roku 1806 i po utworzeniu polskiej armii, Generał poznał na balu w poznańskim ratuszu Barbarę Chłapowską i poślubił ją w roku następnym. Przez rok mieszkali w Poznaniu, a potem już w Winnej Górze. W 1812 Generał ruszył z Napoleonem na Rosję. W 1815 złożył dymisję z armii i, okryty chwałą, osiadł w Winnej Górze, gdzie zmarł zaledwie trzy lata później.

Córka Generała, Bogusława, w roku 1835 wyszła za Teodora Mańkowskiego. W powstaniu 1848 roku pełnił on funkcję generalnego kwatermistrza Wielkopolski. Jego syn, Napoleon Mańkowski, był uczestnikiem powstania styczniowego i ojcem Henryka Mańkowskiego, kolekcjonera polskich pamiątek narodowych. Henryk poślubił Marię ze Stadnickich i jej to pamięci poświęcił zbudowaną przez siebie ochronkę. Ich syn, ostatni właściciel Winnej Góry, Andrzej Mańkowski, walczył w kampanii wrześniowej roku i został w niej ciężko ranny. W roku hitlerowcy wyrzucili go z majątku. Przedostał się wtedy na Zachód i tam pozostał na emigracji.

Tyleśmy wyczytały w przewodniku, wydedukowały i odkryły. Całkiem niezły plon, jak na jedno letnie popołudnie. Wracałyśmy niechętnie — bo pałac był zamknięty na głucho i nie obejrzałyśmy muzeum Generała — tą samą prostą drogą do Miłosławia. Plakaty wciąż tam były. Staralam się na nie nie patrzeć, ale to nic nie pomagało.

MELANCHOLIA ZE STEMPEM 2003

*Pracować trzeba jak cholera,
Czyśmy to jacy-tacy?
Więcej Osmańczyka, mniej Grottgera,
I wszystko będzie cacy!*
Konstanty Ildefons Gałczyński
„Xsiażę Józef Poniatowski ze stemplem 1946”

Myśl, którą K.I.G. włożył w usta Chóru Nowych Polaków i w znanym (nie wszystkim bynajmniej! — dotyczy to nawet prominentnych postaci naszej nowej kultury, o czym przekonałam się osobiście!) skeczu Teatrzyku Zielona Gęś, przewijać się musiała — w takiej czy innej formie — przez zwoje mózgowie przeróżnych decydentów PRL-u, i to nie raz. Jakże inaczej wytłumaczyć by można surrealistyczny pomysł, by władza ręcznie sterowała nawet kulturą ludową?

Znakomita i godna uwagi wystawa, której scenarzystką i komisarzem jest pani Marta Romanow-Kujawa („Papież, Kościuszko i inni w ludowej galerii wielkich Polaków”, skansen w Lednogórze, Wielkopolski Park Etnograficzny), ukazuje plody oddziaływania takiego „szeroko pojętego mecenatu państwowego” na twórczość ludowych rzeźbiarzy. Jak czytamy w objaśnieniu, zamieszczonym na czołowej ścianie wystawy, „*propagowanie tematyki świeckiej jako jeden z przejawów tego mecenatu miało na celu stworzenie alternatywy dla tematyki religijnej, dominującej w dawnej plastyce ludowej. Rozszerzenie horyzontów twórczych ludowych artystów, bliższe związanie ich twórczości z problematyką polskiej historii i współczesności spełniać też miało ambicje oświatowo-*

wychowawcze, propagandowe, w kontekście nowej powojennej rzeczywistości. Obok wystaw, polityki zakupów do zbiorów muzealnych, zamówień na konkretne tematy — dużą rolę odegrały konkursy tematyczne, organizowane przez muzea i inne instytucje kulturalne. W efekcie, spod rąk ludowych rzeźbiarzy wyszła osobliwa galeria postaci, rozproszonych po muzeach etnograficznych całej Polski. Niniejsza wystawa prezentuje skromną zaledwie jej część. Poczet królów i książąt, wodzowie i powstańcy, męczennicy, działacze ruchu ludowego, działacze rewolucyjni, pisarze i poeci, muzycy, naukowcy i odkrywcy, a także postacie z historii współczesnej: politycy, duchowni czy gwiazdy polskiej estrady; repertuar ludowych twórców nie tylko ilustruje karty z dziejów Polski, lecz jest refleksem przemian politycznych i społecznych w Polsce lat 1945–2001”.

To prawda. Swoją drogą, ciekawe, czy jest na świecie drugi taki kraj, gdzie praktycznie wszystko może posłużyć do utworzenia korowodu, który zawsze, tak czy inaczej, ilustruje narodowe dzieje. Groteskowy, rozpaczliwie brzydki, śmieszny, wzruszający i budzący grozę tłum postaci, wyrzeźbionych z całą naiwnością, nieudolnością i prostotą, ustawiono w Lednogórze tak, że powstała czytelna aluzja do słynnych polskich korowodów. Nie mogę się od tej wystawy oderwać, a ponieważ znajduje się bardzo blisko mojego ogrodu (dosłownie w odległości jednego przystanku kolejowego) — jeżdżę tam co parę dni.

Dodam przy okazji, że sam skansen budownictwa wiejskiego, na terenie którego pomieszczono tę wystawę, odwiedzam regularnie od lat. To wyjątkowe miejsce! Zgromadzone na dużym obszarze przeróżne typy wiejskich chat, a także kaplica i kościół, wszystkie pieczołowicie przeniesione z różnych stron Wielkopolski i zrekonstruowane z wielkim pietyzmem, wyposażone zostały w meble, obrazy, przedmioty codziennego użytku, a nawet powozy i warsztaty. Wiele z

tych przedmiotów pamiętam jeszcze z wakacji w dzieciństwie. Ta rekonstrukcja jest autentyczna do najmniejszego szczegółu!

Kiedy się przebywa wśród tych chat, zagląda do izb lub siedzi na ławeczce opodal ślicznej kapliczki drewnianej z XVIII wieku (dar prymasa Wyszyńskiego!), można poczuć, jak duch przeszłości przenika niedostrzegalnie całe otoczenie. Ludzie, którzy mieszkali w takich domach i posługiwali się takimi sprzętami, musieli być miłsi od nas i prostsi, o ileż bliżsi Bogu i przyrodzie, o ileż pracowitsi i bardziej wytrwali, bardziej niż my uważni, bardziej na codzień wynalazczy i dzielni. Jak miła jest naiwność ludowych obrazków, piękno haftów i świątków, jak doskonała jest funkcjonalność samodzielnie wytworzonych narzędzi! I jak daleko to już wszystko odeszło w przeszłość! — bezpowrotnie.

Nowa rzeczywistość, która nastąpiła po wojnie, ocalała wiele z kultury wiejskiej. Ale też i dopuściła się wymuszenia na duszach naiwnych wiejskich twórców, „*poszerzenie horyzontów twórczych*” o postacie Dzierżyńskiego, Bieruta czy Świerczewskiego to nic innego, jak brutalna ingerencja w istotę ludowej twórczości — w jej spontaniczność. Przepojenie tej twórczości odgórnie sterowaną tendencją zmieniło ją w kicz. Ten sam proces deprawacji, indoktrynacji i przekupywania miał przecież miejsce i w świecie sztuki wysokiej, wśród artystów zawodowych. Lecz o ile dzieła tych ostatnich są dziś świadectwem ich lęku lub ich giętkości etycznej, o tyle galeria świeckich świątków z lednogórskiej wystawy jest smutnym dowodem gwałtu na szczerości, naiwności i dobrych chęciach ludzi niewykształconych, prostych i mało zorientowanych.

Prawdę mówiąc, robi to okropne wrażenie. Po pierwszych wybuchach śmiechu widzowie poważnieją. Niewielką pociechę stanowić może fakt, że po wielkim dziejowym przełomie, udokumentowanym rzeźbą przedstawiającą shake-hand Papieża i generała Jaruzelskiego, źródło indoktrynacyjne, jak się wydaje, dość gwałtownie wyschło. Pojawiły się portrety rzeźbiarskie Lecha Wałęsy, pojedyncze — mecenasa Jana Olszewskiego i profesora Krzysztofa Skubiszewskiego, obu prymasów — Wyszyńskiego i Glempa, a także zbiorowy portret Solidarności Wiejskiej („Obrady w Bydgoszczy” — notabene dłuta tego samego Stanisława Denkiewicza, który ongiś wyrzeźbił portret generała Waltera oraz „Bolesława Bieruta przemawiającego do kobiet polskich”). Trzynaście rzeźb przedstawia Jana Pawła II. Ale po Wałęsie polityków już nie ma. Powrót do spontaniczności nie przyniósł też nowych wizerunków religijnych. Ciekawe, co jeszcze przyniesie.

PEŁNIA

„Wzrostem urodziwa, zupełna na ciele, twarzy przyjemnej / i wesołej, wejrzenia pięknego”, Dorota Żerońska pokutowała, nosząc włosiennicę, lecz zarazem była „bardzo przyjemna i ucieszna, z każdym według stanu jego umiała się rozmówić z kontentacją i zbudowaniem słuchających. (...) Nikt, nawet ze znaczniejszych osób, nie śmiał przy niej słów lekkich i niepotrzebnych mówić. (...) Mowa jej była poważna i poniekąd jakby prosta, choć z wysokim pojęciem”. Była benedyktynką reguły chełmińskiej, od 1617 roku — ksienią klasztoru poznańskiego. Zakon kupił od mieszczan kilka kamienic w jednym kwartale, opodal Starego Rynku. Przy przebudowie tych kamienic dla potrzeb nowo powstałego klasztoru wielkie zasługi położyła Anna Petrusówna. Spracowała się tak, że aż zachorowała niemal śmiertelnie. „W Chełmnie zanoszono w jej intencji modły, ją zaś samą we śnie Matka Boska zapewniła, że będzie jej danym oglądanie zakończonego dzieła”. Petrusówna prędko odzyskała siły, i to chyba z nawiązką, skoro niebawem, w imponującej formie, była już na budowie. „Zdarzyło się, że rozkradziono blachę. Petrusówna nie podejrzewała pracujących czeladników, ale gdy jednego »uderzyła żartem w plecy, pas się na nim rozpukł i sztuka blachy z niego wypadła«, „Zdumiona, „sama go pobila i więcej do onej roboty nie kazała puszczać”. Innym znów razem spostrzegła chłopca, zakradającego się na drabinę przy podwórzu klasztornym. Poczekala, „aż był na wierzchu, dopiero z nim obalila drabinę i onego potłukla, tym go karaniem od złości odwodząc”.

Czytam, śmieję się, znów czytam i naczytać się nie mogę. Co odłożę książkę (prof. Karolina Targosz „Piórem zakonnicy — kronikarki w Polsce XVII w. o swoich zakonach i swoich czasach”), to zaraz po nią sięgam i na nowo podczytuję. Nie mija wiele czasu, a znów do niej zaglądam, żeby sobie przypomnieć to czy inne wydarzenie lub postać, lecz przede wszystkim — by zaczerpnąć tego pogodnego wigoru, dzielności nie zrażającej się przeciwnościami losu, hartu ducha wobec utrapień, utrudzeń, wojen, pożog i morów, wreszcie zaś — cierpliwości i wiary, tak niezłomnej wobec niedoli życia.

Dawno nie czytałam z takim zajęciem pracy naukowej! Mam wrażenie — czy mylne? — że najciekawsze książki ukazują się teraz w Polsce chyłkiem, boczkiem, przypadkiem i istnym cudem. Na przykład pani profesor Targosz wydała swoje dzieło własnym sumptem! Wskazuje to wyraźnie, że żaden z dzisiejszych wydawców nie odgadł w dziele o zakonnicach materiału na bestseller; pewnie dlatego, że brak w nim modnych dziś wiadomości z magla. A tymczasem jest to książka zajmująca, a nawet porywająca, napisana ze znanstwem, polotem i poczuciem humoru. Opracowana na podstawie licznych kronik klasztornych, misternie złożona z wielu równoległych świadectw, pewną ręką nakreślona panorama burzliwych dziejów zakonów żeńskich w siedemnastowiecznej Polsce, zawiera materiał na dobry dziesiątek porządnych, grubych powieści — awanturnych, historycznych, obyczajowych, a nawet romansowych! — i zapewne na jeszcze więcej scenariuszy filmowych. Jej walory dostrzegł już największy spośród książkowych moli — Lektor z „Tygodnika” — i wyróżnił obszernym, ciepłym omówieniem — lecz i ja sobie pozwolę dzisiaj na kilka zachwyków, z czystej wdzięczności wobec Autorki za tak pyszną lekturę.

W istocie, ja też nie spodziewałabym się, że dzieje polskich zakonów żeńskich epoki baroku, spisane w kronikach klasztornych, mogą być tak pasjonujące. Te kroniki to nie tylko skarbczyk wiedzy historycznej oraz informacji o szczegółach życia codziennego różnych warstw społecznych; to także prawdziwy zabytek barokowego języka polskiego — nie tego literackiego, „retorycznego i makaronicznego”, lecz zwykłego, powszechnego i powszedniego, „mówionego” języka ludzi nieuczonych. Jędrna staropolszczyzna, bujna i smakowita, pełna jest miłych

zdrobnień i spieszczeń oraz celnych, mocnych epitetów. Ten pełen uroku, jakże świeżo i bogato dziś brzmiący dawny język polski, układa się w malownicze opisy przeróżnych perypetii, ucieczek i peregrynacji, a także trafnie maluje całą galerię przepysznych portretów kobiecych, uderzająco żywych postaci o mocnych rysach i wyrazistych, zróżnicowanych charakterach.

Taka na przykład Anna Gizanka, czyli Magdalena od św. Teresy. Ona jedna spośród warszawskich karmelitanek zachowała przytomność umysłu, kiedy w roku 1674 ogromny pożar, szalejący na Krakowskim Przedmieściu, omal nie strawił domu zakonnego. Z pomocą pospieszyli karmelitanie z pobliskiego klasztoru: *„sami wodę nosili, zalewali, belki przycinali i dachy odzierali, a nie mając czym ognia zrzucić z dachów, kaptury z głowy zdymali i maczając, mokremi ogień zmiatali”*. Kanclerz litewski przysłał karety, aby ratować zakonnice. Jeden z jego sług wpadł do klasztoru, wołając: *„Panny nie szalejcie, wychodźcie jak najprędzej, bo zginiecie, nie będzie sposobu wyłoczyć was z ognia”*. Ale pożar wzmógł się tak, że karmelitanki musiały się ewakuować po drabinach przez wysoki mur, do klasztoru bernardynów, *„co rzecz była niepodobna na nasze natury bojaźliwe. Chorych było kilka, a i zdrowe od fatygi i przestachu okrutnego, ledwie od słabości stać na nogach mogły”*. Tylko konwerska Magdalena wykazała się *wspaniałą energią i odwagą. Ogień nalewała, póki jej starczyło wody”*. Gdy zaś zabrakło, zaczęła żarliwie modlić się do św. Floriana, wręcz go ponagłując: *„A słysz-że, święty Florianie, zalewaj, proszę cię, zalewaj, bo ja nie mam czym i nie mogę”*.

Albo taka Konstancja z Myszkowskich Bużeńska — najsympatyczniejsza chyba i najbarwniejsza spośród bohaterki książki. Wychowana w rodzinie protestanckiej, nie mając w swych majątnościach zboru, wraz z mężem—kalwinem jeździła na msze do kościoła katolickiego, aż poruszona „ludzi prostych nabożeństwem” przystąpiła tu na Wielkanoc do spowiedzi. Będąc już katoliczką, pielęgnowała chorych, karmiła ubogich, zajmowała się sierotami i nawet *„białymi głowami, co się na swawolny żywot udają”*. To ona, przemagając wiele trudności, sprowadziła do Polski zakon karmelitanek, wreszcie sama do niego wstąpiła, mając lat pięćdziesiąt pięć, pod imieniem Beaty Konstancji od św. Józefa.

„Po przyjęciu tak była wzruszona, że ją, »babę takich lat«, obleczono w habit, że nawet nie czuła, z jakim trudem go na nią wciągnięto (wobec jej potężnej tuszy nie było dostatecznie obszerne). Miała pewne kłopoty z wykonywaniem pokłonów i z padaniem na ziemię, stosowała się jednak z ochotą do wszystkich zaleceń młodej mistrzyni, »aż ją hamować było potrzeba«. Była zawsze *»ducha wesołego, nie znała melancholiej«.* *»Kiedy miesiąc świecił, w oknie siedząc patrzyła na niebieskie biegi, a na sercu dziwnie wielkie pociechy mając od Pana Boga... Z każdej rzeczy stworzonej umiała dobrodziejstwa boskie uważać, nie tylko z biegów niebieskich, ale z robaczków, z ziólek, z ptaków, kochając w nich, że to Pan Bóg dla człowieka stworzył».* Potrafiła rozmawiać z ptaszkiem w klatce, *„nad pstrymi kwiatkami upłakała się jako nad księgami, zbierała także »pstre« kamienie, układając je w oknie w celi. Wzór znajdowała u św. Teresy, która uznawała »pola, łąki, wody, kwiatki« za majlepsze księgi« uczące wdzięczności i miłości do Stwórcy, przybliżające do Niego człowieka”*.

Ta perspektywa, to odniesienie tak proste i miłe, a tak nieskończenie głębokie, obecne jest w całej książce pani profesor Targosz, tak jak obecne było i oczywiście w codziennym życiu dawnej Rzeczypospolitej.

A kto z Państwa ostatnio, kiedy miesiąc świecił, w oknie siedząc patrzył na niebieskie biegi, na sercu dziwnie wielkie od Pana Boga mając pociechy?

Ano właśnie.

LAUDAŃSKI

Przeczytaliśmy książkę ze wszelkimi miarą godną polecenia — pisze pani Alina Latoszek z Hamilton w Kanadzie, w imieniu swoim i męża, Jana. — Nie mogliśmy się od niej oderwać. Wyrwaliśmy ją sobie z rąk. Autor: Juliusz Bogdan Deczkowski—”Laudański”. Tytuł: „Wspomnienia żołnierza batalionu AK »Zośka«,„. Wydawca: Instytut Historii PAN (1998). Na tle historii swojej rodziny oraz sytuacji polskiej i światowej autor przedstawia własne dzieje i przeżycia. Opisuje dzieciństwo swoje i harcerstwo w II RP, Szare Szeregi i uwięzienie na Pawiaku, Powstanie Warszawskie, represje i uwięzienie w PRL, studia, pracę i wreszcie proces stalinowskich oprawców w III RP. Daczkowski opowiada o sławnych kolegach, m.in. o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim, oraz o wielu ważnych osobach, które spotykał, zwłaszcza w więzieniach. Akcja książki toczy się wartko; sporo humoru. Załączono 210 fotografii osób i dokumentów. Indeks zawiera około 1000 pozycji. Uważamy, że książka ta powinna być lekturą obowiązkową (choć nie nudną) w szkołach.

To taki mały skrót. Pani na pewno ujęłaby to lepiej od nas.

Ależ nie.

Napisał Państwo właściwie wszystko, co niezbędne. Prawdę mówiąc, obawiam się, że to, co mogłabym o książce „Laudańskiego” dodać, będzie tchnęło patosem. Trudno inaczej mówić o losie tego niezwykłego pokolenia. Ogrom heroizmu, poświęcenia, szlachetności, ogrom tragedii, jakiego dotąd i odtąd Polska nie widziała, ogrom niczemności wrogów obcych i rodzimych, ogrom ofiary, cierpienia, goryczy, wiary i nadziei, ogrom spełnionego dzieła i ogrom straszliwego zawodu — wszystko zbyt potężne, wszystko to porusza aż do takich głębi, że można tylko płakać i milczeć — a jeśli mówić, to rzeczowo, z faktami, datami, szczegółowymi opisami i liczbami.

I nawet wtedy patos pojawia się natychmiast.

Dwie półki mojego regału „historycznego” wypchane są wspomnieniami uczestników II wojny i Powstania Warszawskiego. Od „Kamieni na szaniec” i „Zośki i Parasola” Aleksandra Kamińskiego zaczęła się ta moja kolekcja, z której kilka książek dało mi już wcześniej poznać osobę „Laudańskiego”, podobnie jak innych bohaterów: „Andrzeja Morro”, „Bonawentury”, „Sema”, „Zosi Żelaznej”, „Anody” i „Ćwika”... — teraz spotykam ich znowu, raz jeszcze przywołanych z pamięci do życia. Przejmujący list „Andrzeja Morro” do matki, w którym wiedząc już o śmierci brata, nie wspomina o niej ani słowem. Luty 1945 — „Anoda” niesie wraz z „Wiktorem” trumnę Andrzeja Morro. Marzec 1949 — zawiadomienie Naczelnego Prokuratora Wojskowej o popełnieniu samobójstwa przez Jana Rodowicza („Anoda”). Fotografie amatorskie z wojennych spotkań towarzyskich, zdjęcia legitymacyjne i z kennkarty: szczere, radosne uśmiechy, czyste i myślące spojrzenia. Harcerskie mundury. Pasiaki obozowe. Panterki.

*Żołnierze smukli. Twarzyczki jasne,
a moce ciemne trą się i gniotą...*

Wiersz Baczyńskiego „Z lasu” przytacza „Laudański” dwukrotnie — co znaczące — w ciągu swojej relacji. Motto z Baczyńskiego otwiera też całą książkę. Twarzyczki jasne. Trudno się oderwać od tych fotografii — także od tej, którą oglądam ze ściśniętym sercem: osiemnastoletni chłopiec, Juliusz Bogdan Deczkowski, miesiąc temu wypuszczony z Pawiaka, gdzie — aresztowany przy rozlepianiu ulotek — siedział ponad rok. Twarz jeszcze dziecinna, rysy nie całkiem uformowane — a już oczy i usta mają wyraz najgłębszego smutku i poczucia krzywdy,

zdrady. A przecież czoło — wypukłe i mocne — kryje postanowienie na najbliższe tygodnie, miesiące i lata. I na całe życie.

Mimochodem przytoczony, znamieny obrazek, pomieszczony wśród innych wspomnień z dzieciństwa, otwiera książkę: *Dziadek (...) kształtował też w różny sposób nasze charaktery. Jedną z takich nauk dziadka pamiętam do dziś. Przyjechał na podwórko furmanką i zawołał mojego brata Stacha i mnie. W obu dłoniach trzymał po jednym jabłku. Jedno było piękne, rumiane, drugie zielone w czarne plamki. Kazał nam wybierać. Obaj chcieliśmy to ładne jabłko. Dziadek powiedział do mnie:*

— *Ty jesteś starszy. Wybieraj.*

Ponownie wskazałem na ładne jabłko. Dziadek uśmiechnął się, a Stach zmartwił, ale tylko na chwilę, bo okazało się, że ładne jabłko z drugiej strony było nadgniłe. Dziadek wyjął scyzoryk i obrał dwa jabłka. Z mojego zostało niewiele. Tym razem dziadek zapytał Stacha:

— *Jesteś zadowolony?*

Stach miał niepewną minę. Wreszcie powiedział:

— *Niech dziadek da mi pół tego i pół tego.*

Tak też się stało i wszyscy byli zadowoleni, ale dziadek pogłaskał po głowie tylko Stacha.

W dwa tygodnie po zwolnieniu z Pawiaka mały „Laudański”, znów w drużynie Tadeusza Urbańskiego, przechodzi szkolenie wojskowe i uczestniczy w akcjach wywiadowczych. Mały sabotaż, bibuła, grupy szturmowe Szarych Szeregów, Powstanie Warszawskie, a po wojnie — więzienie mokotowskie, rozprawa sądowa, wyrok: pięć lat, więzienie we Wronkach i kamieniołomy.

Na okładce książki (której notabene, nie mogłam znaleźć już w żadnej księgarni Poznania, a zdobyłam dopiero, gdy zadzwoniłam do wydawnictwa) widnieje inna, także niezwykle przejmująca fotografia Autora: jest już młodym ojcem. Twarz ma uroczystą, czujną, skupioną. Mocno trzyma za rączki dwoje dzieci. Prowadzi je przez zimowy pejzaż: czarne drzewa, śnieg i krzyże — ależ tak, brzozowe. To kwatery „Zośki” i „Parasola” na Powązkach — sama tam prowadziłam dzieci, przy okazji kolejnych wizyt w Warszawie. Wyobrażam sobie, co potrafił powiedzieć swoim dzieciom ten naoczny świadek, cudem ocalony. Pod śniegiem, pod krzyżami, leżą przecież jego przyjaciele, bracia, towarzysze broni — osiemnastoletni i dwudziestoletni, najpiękniejsze być może pokolenie w całej historii Polski.

Szare Szeregi. Powstanie Warszawskie. Ile lat już o tym czytam. Zastanawiam się, co ciągnie mnie tak bardzo do czytania, wciąż na nowo, wspomnień z tamtego okresu. I upewniam się, że tym magnesem jest szczęście obcowania z ludźmi — jasnymi, czystymi i prawymi, odważnymi i szlachetnymi w stopniu najwyższym, z bohaterami, którzy już na zawsze pozostaną wspaniali.

Twarzyczki jasne! Na widnokręgach

armie jak cęgi gną się i kruszą.

O, moi chłopcy, jakże nam światy

odkupić jedną rozdartą duszą?

Kochać, a to się wydaje mało,

ginąć — to słabość tylko wyzwolić,

bo nie nadąża chłopięce ciało,

a ciemność stoi i grzmi, i grzmi...

ONA NIE WSTYDZI SIĘ MARZYĆ

Swoje skarby przechowuje w głębokich szufladach zielonej komody. Wokół piętrzą się, leżą, stoją i wiszą narzędzia jej czarów: dzwonki, rośliny, albumy, księgi i zwoje, obrazy, malowidła, rzeźby i kamienie, figurki, dzbanuszki i piórka; już zdołały nabrać tego specjalnego wyrazu oraz blasku wyróżnienia, jakich każdej istocie i każdemu przedmiotowi nadają, wchłonięte, uczucia oraz zainteresowanie.

Zielona, malowana w kwiaty komoda jest nie tylko ładna, ale i intrygująca. Od razu widać, że COŚ ważnego zawiera i że jest naładowana po brzegi. Cóż dopiero, gdy Czarodziejka zdecyduje się wydobyć z szuflad choćby małą część swych zbiorów! Ujrzone w szufladach bogactwo zapiera dech swoją różnorodnością. Ale i to jeszcze nic. Najlepszy jest moment, gdy rozkłada ona swoje skarby na stole, przegląda je i pokazuje, wreszcie — zaczyna snuć opowieści o tym, co w nich widzi.

A widzi więcej. Znacznie więcej niż my.

W tym momencie na człowieka zwyczajnego spływa niejasna świadomość, że ma do czynienia z osobą, która — gdyby tylko zechciała — potrafiłaby zrobić cud z niczego: strzelić palcami i roztoczyć tęczę, z ziarnka fasoli wyhodować ogromne drzewo i zasiedlić je błękitnymi papugami, zmienić się w kłęb mgły i wypłynąć przez dziurkę od klucza, po czym znów przybrać ludzką postać. Wiadomo na pewno, że osoba ta umie odrodzić się z popiołów, przełamać udrękę choroby i rozświetlić życie zwykłych ludzi wyłącznie za pomocą bogactwa swojej duszy.

Skarby z zielonej komody — czas już ujawnić — są to pocztówki — olbrzymia ich kolekcja. Czarodziejka nosi imię i nazwisko (Małgorzata Baranowska), mieszka w Warszawie i dla niepoznaki chodzi do pracy (IBL), ale jej sposobem życia jest poezja.

Dlatego o tych pocztówkach opowiada tak, jakby recytowała własny wiersz.

Potrafi wysnuć wielkie historie z tych starych kawałków kartonu, zadrukowanych obrazkami, zapisanych autografami ludzi dawno już umarłych. Jej przenikliwy wzrok wydobywa z każdego obrazka dodatkowe wewnętrzne napięcia, jej niewiarygodna erudycja pozwala układać długie ciągi skojarzeń i łączyć fakty w jeden łańcuch z przeczuciami i domysłami. O pocztówkach wie wszystko.

Zawsze twierdziłam, że trzeba by nagrywać to, co ona mówi. Ale ona to po prostu napisała — małą część, rzecz jasna, tego, co napisać by mogła, gdyby mogła. Tak powstała ta wyjątkowa książka — „Posłaniec uczuć” — wydana przez „Twój Styl”. Dodam, że wydana jest pięknie — nienaganne reprodukcje, dobry papier, piękny układ typograficzny. Czyta się ją wspaniale. Tekst podzielono na rozdziały o wiele mówiących tytułach: „Pocztowa kariera marzenia”, „Pamiętaj o mnie”, „Manja kartkowa”, „Serca bicia”, „Mowa uczuć”, „Kobieta, kobieta, kobieta”, „Dziecko i radości świąt”, „Kurort marzeń”, „Patriotyzm na dłoni”, „Głosy miasta”, „Szczęśliwe życie Cesarza”, „Gust dobry i zły jednocześnie?”.

Popatrzmy na tekst, towarzyszący pewnej fotograficznej pocztówce:

„Bo jednak pocztówka nastawiona była na to, by brać gotowe wzory skąd się da, i na to, by wszystko na gotowe wzory zamieniać. Wytworzyła język uczuć gotowych, który miał za zadanie udawać uczucia niepowtarzalne. Co jakiś czas jednak natrafia się na pocztówki w całym sensie tego słowa prywatne. Oto jedna z nich: owalna na białym tle fotografia mężczyzny w słomkowym kapeluszu z ciemną wstążką i w ciemnej marynarce na tle malowanego pejzażu atelier fotograficznego. Pod zdjęciem (awers) następujący tekst atramentem: »Dnia 12 maja r. b. wyruszając na Grób Hoene–Wrońskiego zaszedłem do fotografii nadwornej, pragnąc ująć pewną

emocję, jaką przeżywałem. Przesyłając Wam, Niedościęła Jadwigo, tę podobiznę bardzo proszę o Waszą. Kiedyś obiecaliście w Warszawie — niechaj więc stanie się to teraz — Janek”. Niestety, nie ma żadnego stempla ani daty rocznej. Tyle że podział na część korespondencyjną i adresową na rewersie dowodzi, że ta pocztówkowa fotografia zrobiona została po roku 1904. (...) Ów młodzieniec nie mógł osobiście znać Hoene–Wrońskiego, który umarł w roku 1853. Ale jeszcze na początku wieku XX wcale nie brakowało żarliwych wielbicieli tego filozofa epoki romantyzmu, twórcy mesjanizmu i poszukiwacza Absolutu. Sam w sobie grób Hoene–Wrońskiego w Neuilly pod Paryżem godzien był oglądania, ponieważ na kamieniu nagrobnym został umieszczony pełen nadziei napis po francusku: »Akt poszukiwania Prawdy świadczy o możliwości znalezienia jej«, następnie trzy formuły matematyczne mające symbolizować mesjanizm i litery A. M. D. G. (Ad Maiorem Dei Gloriam), które filozof umieszczał pod każdym swoim dziełem. (...)

Ciekawe wrażenie robi dzisiaj to świadectwo wiary w prawdę fotografii, w możliwość zarejestrowania stanu uczuć, mowy mimiki. Nas dawno już zepsuło nowoczesne kino z wyolbrzymionym krajobrazem twarzy i ze zużyciem wszystkich możliwych uczuć, a także ich brakiem. Możemy tu tylko zobaczyć młodzieńca ubranego jak na ważną wizytę, z lekkim wytrzeszczem spowodowanym dłuższym pozowaniem, w ciągu którego usiłował utrzymać stosowny do swych, zapewne wzburzonych, uczuć wyraz twarzy”.

Powyższy fragment zawiera wszystkie elementy ustnej gawędy naszej Czarodziejki: wnikliwość, współczucie, erudycję, skłonność do arcyciekawych dygresji i wreszcie znakomite poczucie humoru, z odchyleniem w stronę absurdu (bardzo wybitna cecha tej Czarodziejki). Zastanawiam się właśnie nad tym ostatnim. Mówi się, że poczucie humoru to cecha ludzi inteligentnych, bowiem tylko oni zdolni są do oceniania świata z dystansu. Ale myślę, że poczucie humoru wypływa czasem także z empatii, ze współczucia dla ludzi — naiwnych, śmiertelnych, nieświadomych swego losu, biednych, skrzywdzonych, zawiedzionych i poniżonych; dla miast, wznoszonych z nadzieją, staraniem i zachwytem, a obróconych w stosy gruzów i popiołów; dla przedmiotów związanych z losami ludzi, przedmiotów często także maltretowanych, lecz okazujących się niezniszczalnymi, w przeciwieństwie do minionych posiadaczy. Dla żywych, nieożywionych i nieżywych. Dla całego świata.

Takie współczucie rodzi się z wielkiej wyobraźni i wielkiego serca.

Uznaję, że to jest tajemnica czarów Małgorzaty Baranowskiej, lecz przychodzi mi jeszcze na myśl jej własna opinia na temat pocztówki, kończąca tekst w albumie „Posłaniec uczuć”:

„Ona traktuje marzenie poważnie. Pocztówka nie wstydy się marzyć. I to jest jej siłą”.

ODROBINA

Cebulki tulipanów posadzone, narzędzia schowane do szopki, rower oddany do przeglądu. Jesień! — czas się pożegnać z ogrodem i lasem. Czas wracać. Miasto, po tak długim niewidzeniu, sprawia złe wrażenie. Na pociechę mam stos listów, które przysłyły podczas mojej nieobecności. Odpowiem po kolei na wszystkie, ale dziś zacznę od tych, które przysłano z Redakcji „TP”. Najsympatyczniejszy z nich pochodzi z Albuquerque, od pana Celestyna Brożka, a najbardziej zajmujący i zabawny — od doktora Wojciecha Paula z Instytutu Botaniki w Krakowie.

Pan Celestyn Brożek odkrył w „TP” mój felieton o ptakach. Od 21 lat jest emigrantem, mieszka w Nowym Meksyku. Od dziecka — jak pisze — interesował się ptakami. Jego pierwsze albumy przyrodnicze zawierały fotografie Puchalskiego (ja też takie miałam!), *„Ptaki spowodowały, że studiowałem biologię — pisze. — Mam tu ze sobą »Przewodnik do rozpoznawania ptaków krajowych w warunkach naturalnych« z tekstem i rysunkami Jana Sokołowskiego (nie wspomniała Pani, że profesor Sokołowski miał też talent artystyczny i ilustrował swoje książki)”*. — Rzeczywiście, nie wspomniałam o tym, i nie tylko Pan zauważył to przeoczenie. Żeby to naprawić, pobiegłam do Biblioteki Ekologicznej i nabyłam album, właśnie przez tę placówkę wydany, *„Zwierzęta z mojego szkieletownika”* Jana Sokołowskiego. Jest to wydanie drugie, z piękną przedmową Jana Śmiełowskiego, studenta i współpracownika Profesora. Książka wydana jest z wielkim staraniem, a ilustracje zreprodukowano doskonale.

Pan Brożek pisze dalej: *„Potem zakupiłem »Ptaki ziem polskich« Sokołowskiego, dwa tomy, pierwszy ukazał się w roku 1958 (Pani wspomina późniejsze wydanie z 1972 roku). Ciekaw jestem, czy późniejsze wydanie jest tak samo ilustrowane?”* (Tak! — odpowiadam. — Te same piękne ilustracje, szkice piórkiem i znakomite akwarele.) *„Oczywiście — te dwa tomy też przywędrowały ze mną do Ameryki. Nigdy nie spotkałem prof. Sokołowskiego i niewiele o nim wiedziałem. Pani felieton przybliżył mi tę postać, która miała tak ogromny wpływ na moją życiową pasję. Ileż on miał talentów! I ile pracy włożył w to dzieło! (...) Mam wiele wspaniałych albumów, ale nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu wziąłem do ręki książkę z taką pasją i zainteresowaniem, która odpowiadałaby mojemu dziecięcemu entuzjazmowi, gdy pochłaniałem książki Sokołowskiego. Za oknem w tej chwili latają kolibry i czerwonawe zięby i wydaje mi się, że moje dzieciństwo to inne życie. (...) Dziękuję, że swoim felietonem przypomniała Pani moje dzieciństwo i przybliżyła postać profesora Sokołowskiego”*.

W przedmowie do albumu czytamy, że Profesor był uwielbiany przez studentów, a wychował całe ich rzesze. Był — jak podaje Jan Śmiełowski — człowiekiem głębokiej wiary i chrześcijańskiej pokory. Urodził się 24 maja 1899 roku w wielkopolskiej wsi Dakowy Mokre, a jego stryjem był Zygmunt Sokołowski, uczeń Jana Matejki. *„Jego wykłady z biegiem lat zostają osnute legendą — pisze pan Śmiełowski — dzięki rysunkom ptaków, malowanych kolorową kredą na tablicy, przekładem ludowym śpiewu ptaków i wiadomościom opartym na kanonach starożytnej greki i łaciny. W roku 1969 Profesor rozstaje się z pracą na uczelni w atmosferze pomówień i bezzasadnych ataków. (...) Zostawił po sobie znakomity dorobek w postaci 58 prac naukowych oraz 39 prac popularnonaukowych. (...) Jego książki od początku widniały w katalogu Biblioteki Kongresu Stanów Zjednoczonych AP, co w tamtych czasach stanowiło ewenement”*.

Bardzo gorąco polecam wszystkim piękny album Jana Sokołowskiego, jak i wszystkie jego, mało dziś dostępne, książki. Bardzo chętnie przeczytałabym jego biografię — fascynuje mnie ta postać, ten człowiek cichy i skromny, pełen dobroci, człowiek wielkiej kultury, wielkiej pracy i ogromnej pasji pedagogicznej.

List pana doktora Paula z Krakowa, napisany tak pysznie, że daj Boże każdemu, zawiera mnóstwo niespodzianek oraz dowód, że nawet niewinna róża może mieć znaczenie polityczne. Do listu dołączył pan Wojciech „pożółkły wycinek z legnickiego dziennika »Wolność«, z pierwszej połowy lat 50. ubiegłego stulecia (wciąż jeszcze się uśmiecham, pisząc tak o XX wieku)” — dodaje.

Wycinek zawiera min. artykuł „Róże ogrodnika Kowtunienki”. Jak się dowiadujemy, „Kowtunienko był synem wyrobnika i w roku 1903 został przyjęty do pracy u obszarnika, posiadającego ogromny sad z oranżerią. Kiedy tylko młody Kowtunienko dowiedział się z gazety o Miczurinie, postanowił się uczyć, aby doskonalić i przeobrażać rośliny, podobnie jak Miczurin. Ale właściciele szkólek drzew i oranżerii nie chcieli nawet słyszeć o eksperymentach. Dopiero po rewolucji październikowej Kowtunienko uzyskał możliwość poświęcenia się ulubionym zajęciom” — Szczęściarz! — można powiedzieć. — Dane mu było pogodzić róże i płonący las. „Po to, by wyhodować różę sztamową potrzeba co najmniej 5–6 lat, zaś krzaczastą — 3–4 lata. Kowtunienko wyhodował nowe odmiany (...) dzięki czemu, róże sztamowe otrzymywał w ciągu trzech lat, a krzaczaste — w ciągu dwóch!”

Nie jest ostatecznie jasne, czy to te niebывałe sukcesy w nadawaniu różom właściwego tempa, czy też może raczej skuteczne perswazje stosowane wobec drzew cytrusowych („po upływie 2–3 lat owocują, po 7–8 latach dają 80–100 kg doskonałych cytryn!”) spowodowały nadanie Kowtunience nagrody stalinowskiej; artykuł tego nie precyzuje. Nie było też wiadomo, dlaczego świat nie został zasypany doskonałymi cytrynami radzieckimi. Życie jest pełne zagadek.

Na odwrocie wycinka — faktycznie, bardzo pożółkłego — widnieje rysunek, chłoszczący biczem satyry pakt NATO, a także artykuł pt. „Armia europejska — narzędzie agresji amerykańskiej”.

„Teraz o tym, skąd się wziął ten wycinek — pisze pan Paul. — Botanicy pod wszelkimi współzrędnymi geograficznymi zauważyli, że przeczytane gazety mogą się jeszcze bardzo przysłużyć nauce. Drukowane na papierze słabej jakości, a więc porowatym i dobrze chłonnym wilgoć, wspaniale się nadają do suszenia zebranych w terenie okazów, znakomicie zastępując droższą bibułę. (...) Stare gazety można wykorzystywać ponownie, tak więc dziś przy układaniu roślin do suszenia czy przy wcielaniu zaszuszonych do zielnika, natrafić można na gazety sprzed jednej czy drugiej wojny, a bywa, że nawet z końca XIX w. Dzięki zagranicznej wymianie międzyzielnikowej można pogrążyć się w lekturze niemiecko-, francusko-, angielsko-, rosyjsko- czy chińskojęzycznej (no, obrazków przynajmniej). (...) Autentyczne komunikaty z frontów I wojny («...sporadyczna wymiana ognia, poza tym bez zmian», «ciężkie walki pod Verdun»), gen. Haller powraca, Grabski wprowadza reformę, budujemy Gdynię, nie oddajemy ani guzika, za ukrywanie Żydów i radia grozi nam rozstrzelanie, radośnie witamy armię-wyzwolicielkę i potępiając Mikołajczyka oraz grupę Tatarów budujemy socjalizm z niezawodną pomocą przyjaciół... Czytamy trochę z poczuciem wyższości kogoś, kto już wie, co wyniknie z opisywanych wydarzeń, a trochę ze współczuciem dla pierwotnych czytelników, że jeszcze nie wiedzieli. Chociaż czasami może lepiej, że nie...”

Poza tym pan Wojciech donosi o dziele doktora Willibalda Bessera (spolonizowanego Austriaka, który uczył botaniki w słynnym liceum w Krzemieńcu i dyrektorował tamtejszemu Ogrodowi Botanicznemu). Opublikowane w Wilnie pod tytułem ENUMERATIO PLANTARUM HUCUSQUE IN VOLHYNIA, PODOLIA, GUB. KIIOWIENSI, BESSARABIA... etc, na odwrocie strony tytułowej ma zgodę cenzora: „Dozwala się drukować dnia 25 Maia 1822 roku. August Becu, Dr Fil. i Med. Kaw. P.Z.” — Tak!!! To on!!!

Wszystko to widać bardzo ładnie na załączonej do listu kserokopii. Na stronie 65 pracy Bessera, pod numerem 1519 umieszczona została „Rosa Boreykiana. (Rosam hanc dixi in honorem Inspectoris Scholarum Dist. Równiensis plantarum et Florae cultoris eximii, atque horti nostri

Benefactoris singularis III. Marescali et Equitis Boreyko).

Niestety, na ewentualne poszukiwanie bliższych danych na temat okręgowego inspektora szkolnego w Równem o zamilowaniach ogrodniczych i sponsora Ogrodu Krzemienieckiego, mości Marszałka Boreyki, nie starczyło mi dotąd energii — sumituje się pan doktor. — Ale może coś się znajdzie w »Polskim Słowniku Biograficznymi (...) Co do dalszych losów róży Boreyki, to muszę Panią zmartwić — nie utrzymała się ona we współczesnej systematyce. (...) W V tomie »Flory Polskiej«, poświęconym w całości różom, prof. Szafer zaliczył ją do mieszańców róży francuskiej (*Rosa gallica* L.) z różą płotową (*R. dumetorum* Thuill.). Jak jest w rzeczywistości, być może nigdy się nie dowiemy, jeśli nie zachował się nigdzie oryginalny okaz rośliny” — konkluduje pan Wojciech, załączając „botaniczne ukłony”. Najserdeczniej dziękuję Panu za list, napisany kosztem czasu tak cennego, z tak miłym poczuciem humoru, bezinteresownością i polotem. Byłoby oczywiście świetnie, gdyby się okazało, że ktoś z czytelników „TP” ma w swoim ogrodzie, koło płotu, różę Boreyki (w takim przypadku proszę o wiadomość!). Ale jeśli nie — cóż, spróbuję się z tym pogodzić. Ostatecznie, dzięki śladowi w indeksach, wiemy, że róża ta istniała. Odrobina piękna i radości, jaką w przyznanym sobie odcinku czasu, przyniosła światu Rosa Boreykiana, z pewnością powiększyła wszechświatowe ich zasoby. Można więc uznać, że ta róża nadal jest — tyle że w inny sposób.

BEZ KLUCZA WIEDZY

„Poważną groteskę wprowadź w rzeczywistość, a nie odczuwaj żalu, że się nie ziszcza marzenie, gdyż w tym cała siła jego i prawdziwość. (...) Nie poczytaj za złe tym, co wróciwszy do domu wnet zapomną tę chwilę. Wszak ci nie mają zmysłu dla dziwności”

Roman Jaworski, „Medi” (1907)

Oto prawdziwie dobra, choć przeterminowana już nieco wiadomość: Witold Wojtkiewicz (1879–1909) ma pierwszy album swoich prac. Jest to piękna, gruba, wyjątkowa książka, ze staraniem wydana przez Andrzeja Biernackiego w roku 1996. (To samo Wydawnictwo Galeria Browarna w roku 1999 wzbogaciło nas o album Konrada Krzyżanowskiego.) Album „Wojtkiewicz” zawiera nie tylko liczne reprodukcje, lecz i fotografie, zarys biografii artysty, jego utwory literackie i kilka cudem ocalonych listów oraz cenny, piękny tekst Jerzego Ficowskiego „W sierocińcu świata” i jego wiersz poświęcony pamięci Witolda Wojtkiewicza — „Zmierzch o świecie”. Talentowi, pasji i trudowi Jerzego Ficowskiego zawdzięczamy „*wydobycie ze stref zapomnienia, a więc z nicości*” tej bogatej, zadziwiającej osobowości malarza, który żył zaledwie 29 lat, w najlepszym chyba dla polskiej sztuki okresie, i któremu krytycy jego epoki zarzucali, że w swej twórczości jest „*niepodobny do niczego*”.

Twórczość ta nie ograniczała się do malarstwa. Wojtkiewicz był też utalentowanym pisarzem; jego listy i utwory literackie ukazują te same, co w dziele plastycznym, skłonności do parodii, ironii i groteski, tę samą wysoką inteligencję. „Ten bard melancholii, (...) głosiciel tragizmu świata, był człowiekiem o wybitnym, twórczym poczuciu komizmu. Nie ma bowiem poczucia tragizmu bez poczucia humoru”. Uzbrojony tak, uczestniczył „w grze życia i igraszkach historii”, stając się wreszcie Przegranym.

W dwudziestolecie śmierci Wojtkiewicza apelował Boy-Żeleński, by urządzić wystawę zbiorową jego prac, wydać album, spisać relacje ludzi jeszcze żyjących i pamiętających artystę, „*Ale któż umie niszczyć pamięć tak jak my?* — gorzko pyta Jerzy Ficowski. — *Kto potrafi tak lekceważyć i zapominać swoich największych?*” Przez blisko sto lat, poza świetną pracą prof. Wiesława Juszcza „Wojtkiewicz i nowa sztuka” (PIW 1965) nie ukazała się w Polsce ani jedna książka poświęcona autorowi „Krucjaty dzieci”, choć jest on niewątpliwie jednym z największych polskich malarzy i z całą pewnością — najbardziej oryginalnym, wyjątkowym i przejmującym.

Ciężko chory na serce, dręczony licznymi dolegliwościami, Wojtkiewicz był dandysem w stylu Oskara Wilde’a, ostentacyjnie i programowo wytwornym. „Wykwintne formy zewnętrzne” skrywały uczuciowość i nieśmiałość, a dowcip, nieprzeciętne poczucie humoru, zmysł ironii i nieprzystępność osłaniały naturę nadwrażliwą, głęboko smutną. „Był to smutek chorego dziecka” — rzuca Jerzy Ficowski uderzającą uwagę, a w innym miejscu wyjaśnia: „*Od przełomowego roku 1905 główną, prawie wyłączną figurą w jego twórczości jest dziecko*”. Być może do owego przełomu przyczyniła się, oprócz „igraszek historii”, poruszająca i symboliczna scena, którą za Karoliną Beylin przywołuje Ficowski: „*Charakterystyczny dlań, owiany tragizmem syndrom dziecięctwa dał znać o sobie w burzliwych dniach owego roku (...) Wśród wielu krwawo tłumionych manifestacji ulicznych odbył się również pochód warszawskich dzieci. Szły (...) pod*

oknami Wojtkiewiczów, cienkimi głosikami śpiewając polskie pieśni. Stała się rzecz niebywała: żandarmeria konna odmówiła posłuszeństwa, gdy wydano rozkaz zaatakowania i rozproszenia tej dziecięcej krucjaty”.

We wcześniejszych dziełach Wojtkiewicza postać dziecka nie była jeszcze tak wyeksponowana. Pierwsza z jego prac, przynosząca wizerunek dziecka „naznaczonego psychofizycznym piętnem senilizmu” to „Wiosna” (1904). „Wizja szybko się krystalizuje. W orphaneum — wielkim egzystencjalnym sierocińcu świata — zabawa w kółko graniaste zmienia się w Zamknięty Krąg, ten zaś — w Błędne Koło. (...) Wielki spektakl sieroctwa, wydziedziczenie z dzieciństwa, zbiorowa, powszechna epidemia starości (...) Cały ciężar ludzkiej kondycji, brzemień egzystencji, spada na dzieciństwo, któremu nic, co najdotkliwiej ludzkie, nie będzie oszczędzone”.

Dalekie i bliższe inspiracje literackie (Schwab, Maeterlinck, Wilde, Jaworski) przeniknęły w głęboko osobisty malarski świat Wojtkiewicza. Po owym przełomie świat ten staje się coraz bardziej chory i przeniknięty okrucieństwem, które przecież „wyostrzone groteską” nie kłóci się z klimatem pokoju dziecinnego. Wśród swoich lalek i koników drewnianych dzieci bawią się w teatr, bezwiednie odtwarzając sceny z mitów i baśni lub też odgrywają podpatrzone sceny i przenoszą do swojego świata — imaginacyjnego i realnego — dorosłe strachy, perwersje i konflikty. Tymczasem dorośli, którzy w ciągu kilku lat zaledwie postradali Raj Dzieciństwa, nie mogą się pogodzić z jego utratą i nie chcą przyjąć do wiadomości, że życie, jakie muszą odtąd prowadzić, jest na prawdę; wypędzeni z Dzieciństwa, wciąż bawią się w dziecinnie gry, przepychania i podchody, podkradają sobie nawzajem łakocie i wrywają sobie zabawki, które tym tylko różnią się od dziecięcych, że są śmiertelnie niebezpieczne.

U Wojtkiewicza na postarzale dzieci, pełne smutku i lęku, okrutne, lecz przecież niewinne (niczemu, w gruncie rzeczy, nie winne) „zstępuje cień samoświadomości”, a więc poczucie dziwności i groza. W cyklu ostatnich obrazów i rysunków artysty ten groteskowy, piękny i straszny świat coraz bardziej się zagęszcza. „Oglądamy świat o zawężonych granicach, którego struktura coraz bardziej komplikuje się i nawarstwia w głąb” — pisał Wiesław Juszczak, który też odnalazł w tych obrazach powtarzający się motyw, „ów najbardziej własny, najokrutniejszy symbol malarza: upiorne, wyhodowane w ciemnych wnętrzach kwiaty wraz z doniczkami, wystawione na łękę, w ostre światło dnia”. Profesor Juszczak zauważył także, że temperowa, sucha i matowa biel, dominująca w obrazach Wojtkiewicza, to „barwa czystości, niewinności, męczeństwa, śmierci i żaloby”.

Na stronie 36 albumu natknęłam się na pochodzący z czasopisma „Liberum Veto”, z roku 1904, żart rysunkowy Wojtkiewicza, zatytułowany „Stulecie dziecka”. Rysunek ten jest z całą pewnością aluzją do głośnej w owym czasie na całym świecie, świeżo wydanej (1900) pod tym właśnie tytułem i tłumaczonej na wiele języków książki–manifestu Ellen Key, szwedzkiej działaczki społecznej i pedagoga. Ta czołowa przedstawicielka ruchu kobiecego w Szwecji żądała (rzecz godna uwagi i szacunku) uznania praw dziecka — do osobistej wolności i niezależności; domagała się poszanowania jego naturalnej odrębności, prawa do swobodnego rozwoju; żądała pełnej indywidualizacji nauczania, twierdząc, że szkoła nie może być, jak dotąd, narzędziem przymusu i indoktrynacji. Ze swoją nowatorską i kontrowersyjną wówczas koncepcją wychowania wiązała nadzieje na rozwój nowych stosunków społecznych, opartych na braterstwie świątłych jednostek.

Ellen Key, optymistyczna prorokini, w istocie jak najsluszniej przewidziała, że nastał czas na poważne potraktowanie okresu najważniejszego w życiu człowieka — dzieciństwa. Przeczuli, że może to być droga wiodąca do przemiany chorego świata i ludzkości. W pewnym sensie nowy wiek szybko zaczął spełniać jej postulaty i oczekiwania: wydał teorie, Freuda i Junga, wzbogacił psychologię rozwojową, pediatrię i antropologię; badano zabawy i mowę dziecięcą; rozwinęły się nowe systemy pedagogiczne, zaczęto szukać nowych rozwiązań dla szkolnictwa i opieki

społecznej, rozkwitła literatura i sztuka dla dzieci. Lecz ten sam wiek XX spełnił jednocześnie, z nawiązką, najgorsze obawy i przeczucia pesymistycznych proroków i artystów obdarzonych wyjątkową, proroczą intuicją; jeszcze nigdy w historii wojny i prześladowania nie zebrały, tak bezlitośnie, tylu dziecięcych ofiar. „Stulecie dziecka” zrodziło dwa systemy, które nauczyły się manipulować człowiekiem od wczesnego dzieciństwa, a nawet — jeden i drugi — z ochotą umożliwiły — prawnie masowe odbieranie życia dzieciom przed narodzeniem. Zdobycze medycyny, psychologii, pedagogiki i sztuki zostały, owszem, wykorzystane do formowania umysłów i charakterów młodych pokoleń, lecz zwrócone były zasadniczo i do głębi przeciwko nim, całkowicie na odwrót, niż wymarzyła sobie Ellen Key.

Witold Wojtkiewicz wiedział już przedtem. Jego wizyjny obraz „Korowód dziecięcy. Dzieci zaskoczone burzą” (1905) jest jak skrótowe, migawkowe proroctwo wydarzeń, mających nastąpić w Stuleciu Dziecka, a rysunek z roku 1909 (roku jego śmierci) — „Zabawa dzieci pod szubienicą” — wstrząsa dziś widzem tak samo, jak fotografie z getta czy Sarajewa.

„Jeszcze raz potwierdza się intuicyjna przedwiedza sztuki, jej instynkt sięgający głębiej i dalej niż pozwalalaby na to świadomość. Sztuka bez »klucza wiedzy« otwiera zamki najtajniejsze” (Jerzy Ficowski).

Tak więc druga dobra wiadomość, jaką chciałabym dziś przekazać, brzmi: na szczęście, wbrew pozorom, wciąż jeszcze mamy Sztukę.

WIECZÓR

Już listopad, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, a my tu sobie słodko bumelujemy i Ohydny Typ z Warszawy, nasz wierny i zagorzały krytyk oraz opiekun duchowy, ma pełne prawo utyskiwać z powodu niepunktualności Frywolitek. Niby racja — miało być co dwa tygodnie. A co ja poradzę, że ogród trzeba skopać, obornik rozrzucić, róże ogacić, posadzić setki cebulek tulipanowych, porozsadzać bujnie rozrosłe byliny i wygrabić liście? Są rzeczy, które muszą być zrobione! (podoba mi się to zdanie). Poza tym praca w ogrodzie sprawia, że ogrodniczka ma zdrowe rumieńce i świeżą cerę, serce jak dzwon i wygimnastykowany kręgosłup oraz ogólnie dobrą sprawność fizyczną. Co do sprawności umysłowej — jeszcze lepiej! W ogrodzie nie ma się czasu ni chęci na czytanie prasy czy oglądanie telewizji, więc niczym nie zamulony, wypoczęty mózg tym lepiej się dotlenia na świeżym, rześkim powietrzu, zaś celowość zadań i efektywność ich wykonywania pobudzają w ogrodnicze poczucie głębokiego sensu istnienia. O zachodzie, kiedy lekki wietrzyk rozwiewa resztki dymu z ogniska, w którym paliło się badyle i suche liście, kiedy na tarasowym kominku płoną, głośno trzaskając, sosnowe gałęzie, szczęśliwa ogrodniczka odstawia grabie, otula się brązowym szalem (udzierganym przez panią Teresę, Kochaną Czytelniczkę), naciąga stosowną czapkę brązową, popija z rozkoszą gorącą, mocną herbatę Darjeeling, chucha w palce i nasłuchuje, co wołają nad jej głową dzikie kaczkę, które wielkimi, zwiewnymi kluczami suną poprzez jasne, morelowe niebo, i to nie — jak można by przypuszczać — na południe, lecz wręcz przeciwnie, w kierunku północnym! No, no, myśli sobie szczęśliwa ogrodniczka, chyba naprawdę wszystko w przyrodzie po trochu się odmienia. Klimat zwłaszcza. Byłoby miło, gdyby w Polsce przestała występować zima. Mogłoby się kończyć na jesieni. No, może jakie dwa–trzy dni obfitych opadów śnieżnych na samo Boże Narodzenie — i już. Od stycznia odwilż, przebiśniegi etc, w lutym już bzy non stop do czerwca — potem szaleństwo róż, lilii i dalii — aż do listopada. I da capo.

Lecz tymczasem — o! — słońce już zapada, na niebie festiwal różów i czerwieni. Robi się coraz chłodniej, trzeba dorzucić do ognia. Orodniczka zjada swój chleb z serem, słuchając Mozarta. Muzyka wspaniale brzmi w listopadowym ogrodzie, zwłaszcza że sąsiedzi opuścili już swoje domki letniskowe i można ją nastawić głośniej. Ogromny żółty księżyc w pełni pojawia się tuż nad sosnami. Całe liliowe niebo promienieje, ogarnięte tym księżycem i tym Mozartem. Adagio z Serenady B–dur (KV 361). To o nim właśnie — w sztuce Petera Schaeffera „Amadeusz” — mówi Salieri, z pełną uwielbienia zawiścią: *„Początek był bardzo prosty: pulsowanie fagotów i rogów w najniższych rejestrach. A potem, nagle, wzniósł się ponad to wszystko jeden, jedyny ton oboju. Wisiał nieruchomo w miejscu, przesywał mnie. Wtem ton przejął klarnet, nasycił słodyczą i rozwinął we frazę tak rozkoszną, że zrobiło mi się ciemno przed oczami. Co za męka”*.

Nawiasem mówiąc, jest to jedna z dwóch najlepszych scen sztuki. Mam sposobność to ocenić, gdyż krakowscy przyjaciele Ela i Marek zaopatrzyli mnie w egzemplarz maszynopisowy „Amadeusza”. Sztuka w czytaniu okazuje się zadziwiająco wątpa, jak na podstawie przejmującego filmu Formana. Właściwie pozwala tym bardziej docenić jego mistrzostwo. Oglądałam „Amadeusza” wieczorem 1 listopada, w telewizji. Zupełnie mimo woli. Przecież niepodobna gapić się z jednakowym zacięciem na ten sam film, już po raz dziesiąty czy dwunasty! — a jednak się gapiłam, na nowo zafascynowana. Profesor Raszewski uważał ten film za oburzający, bo mający ambicję wyjaśnić wszystko w życiu i twórczości Mozarta, który był — tajemnicą. Ale ja myślę, że to nie jest film o Mozarcie. To jest film o Salierim. I nawet nie tyle o nim, co o wielkim wyborze. Wybór dotyczy tego, czy chcemy stać się w naszym życiu narzędziem Boga czy narzędziem

Szatana. Jest to zawsze — niezależnie od presji okoliczności — sprawa naszej wolnej woli. Dostajemy zestaw propozycji, utrudnień i pokus. I wybieramy sami. *„W jakiejś wiedeńskiej knajpie stoi w tej chwili chichoczący smarkacz, który — nie odkładając kija bilardowego — może rzucić na papier niedbale nutki, przy których moje najcenniejsze nuty wyglądają jak martwe gryzmoły. Grazie, Signore! Obdarzyłeś mnie pragnieniem, by Ci służyć, pragnieniem, jakiego zwykli ludzie nie znają... A potem zadbałeś o to, by służba przyniosła wstyd Twemu słudze. Grazie! Obdarzyłeś mnie pragnieniem, którego zwykli ludzie nie czują — a potem odebrałeś mi głos. Grazie tanti! Tchnąłeś we mnie poczucie doskonałości, którego zwykli ludzie nie mają, a potem ukazałeś mi moją bezgraniczną mierność. (...) Wiesz, jak ciężko pracowałem — po to tylko, bym kiedyś, uprawiając sztukę, dzięki której, jedynie, ten świat zyskuje dla mnie jakiś sens, mógł usłyszeć Twój głos! I oto słyszę go nareszcie: powtarza jedno nazwisko, MOZART! (...) Jego to uczyniłeś swoim wysłannikiem. A mnie wynagrodziłeś, ofiarowując mi najwyższy przywilej: oto jestem jedynym z żyjących, zdolnym odkryć w nim Twoje wcielenie! (...) Dio Ingiusto! Jesteś wrogiem! Do ostatniego tchu, ze wszystkich sił, będę Ci szkodził na tej ziemi!”*

Okropne cierpienie zranionej ambicji. „Król miernot” tak bardzo był zadowolony ze swego dzieła, póki nie skonfrontował go z dziełem stworzonym przez wielki talent. Nagłe ujrzał, czego brak jego utworom: żaru, czaru, uwodzicielskiego blasku, tajemniczego promieniowania. I w żaden sposób nie umiał tchnąć tego we własną pracę. Jego dzieła nie zachwyciły — choć budziły aplauz. Choćby starał się ze wszystkich sił — ludzie ich nie pokochają. Choćby za pomocą skomplikowanych zabiegów i wysiłków nadał rozgłos swoim utworom, choćby opłacił, sprowokował czy sam sobie pisał pochwalne recenzje — ludziom jego dzieła nie są potrzebne. Nie kochają ich. Kochają — Mozarta. Więc Król Miernot wybiera — bo cierpi zbyt strasznie: będzie niszczył rywala, będzie zatruchiwał mu życie, zadawał mu ból i próbował usunąć go z drogi. Ta nieubłagana wrogość, te obłąkane wysiłki, nie pozostają bez efektów: wybraniec Boga jest tylko człowiekiem, więc łatwo go zranić. Lecz w żaden sposób niepodobna zapanować nad potężną siłą odśrodkową, nadającą dziełom Mozarta życie wieczne; tajemnicą nie do przeniknięcia jest, dlaczego łączą się one tak nierozdzielnie z ludzkimi sercami i duszami, dlaczego opanowują wyobraźnię i pamięć. Salieri wie, że jego muzyki nie da się nawet zapamiętać, a cóż dopiero — pokochać. Za własnego jeszcze życia widzi śmierć swoich utworów. Nie poruszywszy żadnego serca, odchodzą w zapomnienie — wszystkie! — giną w niebycie, podczas gdy dzieła zmarłego młodo Mozarta już nazajutrz po jego pogrzebie przechodzą do nieśmiertelności — jak on sam.

W „Zeszytach Konwersacyjnych” Beethovena z lat 1823 i 1824 są o tym wzmianki: *„Salieri poderżnął sobie gardło, ale jeszcze żyje”*. *„Salieri całkiem oszalał. Wciąż twierdzi, że jest winien śmierci Mozarta, że go otrul”*. W roku 1823 „Niemiecka Gazeta Muzyczna” pisze: *„Nasz czcigodny Salieri po prostu nie może umrzeć. Szaleńcza wyobraźnia kazała mu się oskarżyć o zbrodniczy udział w przedwczesnej śmierci Mozarta. Są to urojenia chorego umysłu, w które nikt oprócz biednego starca nie wierzy”*.

A on tak chciał, by mu uwierzono! — bo w ten sposób nareszcie mógłby przekonać wszystkich, że jest górą — że zwyciężył Mozarta i Boga — że wygrał swoją wojnę.

Na wieki został cieniem Mozarta — w pamięci ludzkości jest na zawsze tylko tym, który Mozartowi szkodził.

Przeraźliwie smutny finał.

Smutny także dla tego, kto w „Fauście” Goethego, na pytanie, kim jest, odpowiada:

*Ein Teil von jener Kraft,
Die stets das Böse will und stets das Gute schafft.*

czyli:

*Tej siły cząstką drobną,
Co zawsze złego chce i zawsze sprawia dobro.*

Ale — skoro już mowa o Beethovenie — podzielę się z Wami, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, zabawnym odkryciem. Czytając dla potrzeb tego felietonu biografię Beethovena (był on, jak wiadomo, uczniem Salieriego, dosyć nawet przez nauczyciela lubianym, dopóki nie przejawiał geniuszu. Wtedy Salieri zaczął go zwalczać), znalazłam zabawny zapis z „Zeszytów Konwersacyjnych” (porozumiewał się Beethoven za ich pomocą ze światem, kiedy już ostatecznie stracił słuch). Otóż jego brat Karl poleca mu: *„Nie rozdawaj swoich rękopisów. Zawsze można je sprzedać za ładną sumkę. Któregoś dnia będą warte więcej. Tak, jak autografy sławnych ludzi. Weź na przykład Schillera — jego listy są wiele warte”*.

Przypis Redakcji: *„Beethoven nie posłuchał tych rad”*.

Księżyc już wysoko na niebie, ciemność rozjaśniona jak reflektorem. Ogień dogasa, więc kończę tę pisaninę na tarasie, zwłaszcza że oto nadjechał pan Musierowicz, by zabrać mnie do miasta i nie może się nadziwić, dlaczego piszę na tym zimnie. — Nie straszno ci tu było samej, przy tym księżycu? — pyta. A ja odpowiadam: — Trochę.